

PR 2526



SFINKS

Zeszyt 27.

MARZEC, 1910. NR 3

Cena zeszytu rb. 1.25.

Treść Zeszytu III (27), Marzec 1910 r.

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| ADOLF STRZELECKI „Chłopi“ Reymonta | 323 |
| WACŁAW SIEROSZEWSKI <i>Jak liść jesienny, powieść</i> (c. d.) | 348 |
| ROMAN KRECZMAR <i>Grzmiać burzliwe strun akordy</i> . | 366 |
| Dr. ERNEST ŁUNIŃSKI <i>Spisek Smagłowskiego a książkę Reichstadtu</i> (dok.) | 369 |
| JADWIGA MARCINOWSKA <i>Tęsknota Hetmana, poemat</i> (dok.) | 389 |
| F. JABŁCZYŃSKI <i>Echa Zachodnie. Problem artystyczny</i> (dok.) | 402 |
| WŁADYSŁAW ZALEWSKI <i>Dusze w locie</i> | 421 |
| ELEA <i>Jęk</i> | 419 |
| JADWIGA LIPIŃSKA <i>Charyta</i> | 422 |
| ZUZANNA RABSKA <i>Miasto Madonny</i> (nowela) | 423 |
| SAVITRI <i>Brunhilda</i> (dok.) | 437 |

PRZEGLĄDY I SPRAWOZDANIA:

| | |
|--|-----|
| JÓZEFA KLEMENSIEWICZOWA <i>Z literatury Skandynawskiej</i> | 439 |
| A. ZABŁOCKI <i>Wrażenia muzyczne</i> | 463 |
| J. KLECZYŃSKI <i>Z Zachęty</i> | 468 |
| <i>W sprawie pracowni psychologicznej</i> | 471 |
| <i>Nowe książki</i> | 473 |
| <i>Ogłoszenia.</i> | |

DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret WŁ. ST. REYMONTA.

Przodownik, }
Fata Morgana, } reprodukcje rzeźb J. REMBOWSKIEGO.

Na okładce: rysunek J. REMBOWSKIEGO.

RYSUNKI i WINIETY:

A. ANKOWSKIEGO str. 347. J. BOGUĆKIEGO str. 399, 428. J. KOZŁOWSKIEGO str. 365; 436. E. MEJROWEJ 323, 369, 419, 468. Z. PLEWIŃSKIEJ str. 348, 366, 401, 422, 425, 428, 429, 431, 432. T. RADWANA str. 467. F. SIEDLECKIEGO str. 437, 470. A. TABIŃSKIEGO str. 368, 402. W. WŁODARCZYKA str. 357, 433, 435.

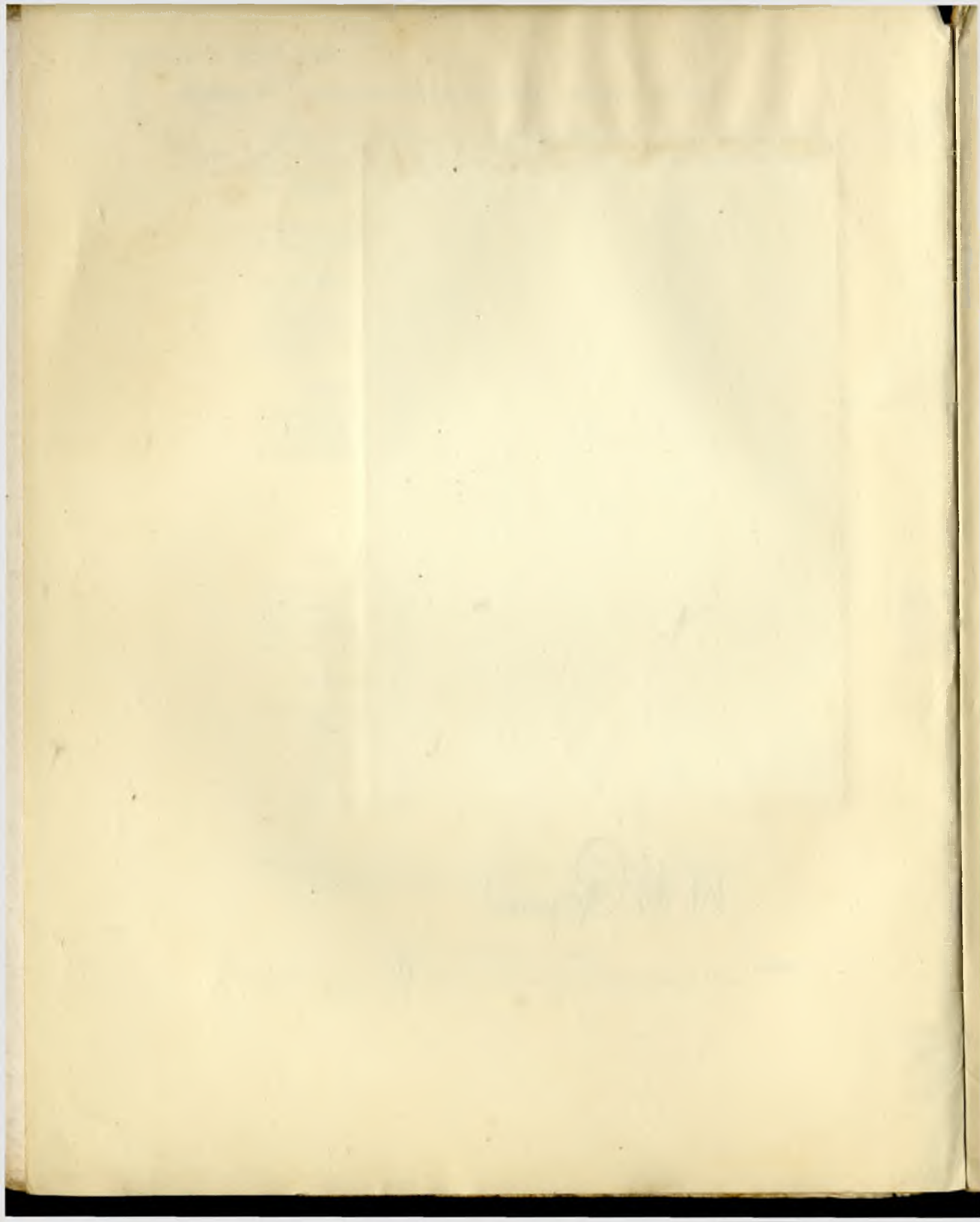
Ciąg dalszy pracy W. GOSTOMSKIEGO p. t. „*W kaplicy Sykstyńskiej*“ z powodu nawalu materiału damy w zeszycie kwietniowym.

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.



Wł. H. Reymont



Bibl. Pub. m. st. W-wy
Dziś. Min. Ośw.



ADOLF STRZELECKI.

„Chłopi” Reymonta.

(Wł. St. Reymont: „Chłopi”, powieść współczesna. Cztery tomy. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1904—1909).



est obraz Maxa Klingera, na którym ślepy rapsod z Chios zaśluchany w jego słowa tłumom prawi o wielkich przygodach bogów i ludzi, o ewnym Odysie, co z wszystkich

obieży zwycięsko się dobywał, o Brezeidzie uroczej, przez którą szlachetny Pellida z Atrydą zuchwałym i pysznym gwałtowny spór wszeźeli, o Kassandrze złowieszcezej, z Pryjama cór pięćdziesiątą najpiękniejszej, o szczekaczu oszczerezym Tersycie, ku wielkiej radości wojów tysięcy sromotnie obitym, o płoczej dworce Kressydzie, której „dach zmysłowy z każdego ruchu jej ciała wyglądał”, o bojach krwawych i zapalczywych, w których legł Patrokl i Hektor szlachetny, mały Ajas cudnie włócznią

rzucal, bogi i boginie a boku ulubionych swych witezio^w do boju stawały, Ares-męzobójca widokiem fał posoki ludzkiej się radował, Afrodyte pięknotyła, w rzeczach wojny znacznie mniej wprawna i doświadczona, niż w rzeczach miłości, Parysa niewieściucha własną swą dostojną osobą osłaniała, by Menelaj-rogacz śmierci mu nie zadał;—prawi o Atenie sowiookiej i Herze haniebnie kłótiliwej, o dziwnych krainach i ludziach potwornych: lotofagach i jednookich kiklopach, sejrenach i ludożerczych lajstrygonach, feakach zaenych, kędy stęskniony za domem swym pan Itaki młódkę śliczną, Nauzykęę ujrzal, giezła piorącą; — prawi o dawnych Achejezyków ludzie, o tem, co lud ten kochał i w co wierzył, jaki był w namiętności porywach olbrzymich i jaki w powszednim żywocie, w walkach, podróżach dalekich, świętach, publicznych sprawach i przyjacielskich gawędach i biesiadach, miłości rodzicielskiej i małżeńskiej, potrzebie chwały i czynu, zabawie i radości, żalobie i smutku, k'ezemu rwały się jego serca i dachy, co stanowiło istotę i treść jego bytu, co w nim z zarodków utajonych rosło, dojrzewało, by stać się kiedyś arką przymierza między dawnymi, a nowymi laty...

Stoi pierś w pierś przed tłumem rapsod ślepy i rzuca mu swe mocarne słowa, boskie i areyludzkie, a tłum go słucha w ekstatycznym zapamiętaniu. *Moc żywego słowa* idzie z niego przepotężna i spada na tłum oniemiały i ujarzmi wszystkie dachy, zespala wszystkie w jedno ognisko, wie dzie je tam, dokąd jej się podoba. Ginie z pamięci każdego świat, w którym żyje, który go otacza, a powstaje w każdym świat nowy, inny, — świat, który w nim tworzy mistrz-twórca swem słowem wszechmocnym, idącym wprost, bezpośrednio, z duszy do duszy, z serca do serca. *Moc żywego słowa* w niepamięci pogrąza rzeczywistość, wszelkie pęta zdejmaje ze skrzydeł wyobraźni, i ta, swobodna, lotna, młodzieńczo silna, ulatuje w bezmiary,

w krainy cudowne, otwarte przed nią kluczem gieńjusza, przeżywa wszystko, co jej przeżyć każe spadające w nią bezpośrednio, zapładniające słowo...

To — w klingerowskim obrazie przedziwnie ujęte — *patos bezpośredniości*, w przeciągu dziesiątek stuleci znikło bez śladu prawie, pozostawiając jeno słabe, nikłe swe odbicie w publicznej elokwencji (w najlepszym trybunów ludu tego słowa znaczeniu), w wymowie kaznodziejskiej, czy świeckiej, wreszcie w surogacie swym: teatrze i scenie. Znikło wzruszenie boskie, co, z piersi twórcy wybuchając, biło przemożną, porywającą falą wprost w pierś zasłuchanego tłumu i, odbiwszy się, wracało z wzmożoną siłą do źródła, z którego wyszło. Zatracił się kontakt bezpośredni poety i ludu; kontakt, który dla twórcy był anteuszowem dotknięciem matki ziemi, czyniącem go niezwykłym, — dla ludu był wzniesieniem go w empirjskie wyżyny sztuki i piękna, w których szlachetniał i subtelniał...

Twórca, zamknięty w samotności, odcięty od bezpośredniego działania na tłumy i czerpania z nich natchnienia, tracąc począł moc żywego słowa, ów tajemniczy patetyczny ogień; tworzyć zaczął sam dla siebie, stawać się lirykiem, dbałym jeno o własne uczucia i przeżycia. Do jednostek przemawia i to nie sam, bezpośrednio, a tylko przez martwą, zimną literę drukowanego słowa. Nie porywa i nie wiedzie on za sobą tłumów, a jeno jednostki, choćby nieskończenie liczne, ale nie związane z sobą żadnym wspólnie odczuciem wrażeniem, wspólnie przeżytem wzruszeniem. Twórca—choćby mistrz największy—za każdym dziełem, które zrodzi, przebijać musi z trudem grubą ścianę, dzielącą go od jednostek, dla których działa, do których chce się przedostać.

A jednak, choć moc żywego słowa zanikła i utaiła się, jednak od czasu do czasu, w długich odstępach po-

jawia się ona, wytryska sporadycznie z żywiołową siłą,— jak w Petöfim, gdy przed murami peszteńskiego uniwersytetu rzuca w 1848 roku w tłum płomienne rytmy hymnu: *Talpra magyar* i masy nimi porywa, — albo koncentruje się w fenomenalnych, potężnych jednostkach, które, raz na zawsze ją posiadłszy, czynią z niej powolne im narzędzie:—Mickiewicz, albo w znacznie mniejszym stopniu Walt Withman, którego strofy w amerykańskich świątyniach do głębi poruszają najoporniejszych na działanie poezji jankesów, albo wreszcie—z wielkimi zastrzeżeniami — ten, co się sam „wynalazcą dytyrambu“ nazwał: Nietzsche.

Z pośród wszystkich twórców naszych tę moc żywego słowa jeden tylko posiadał:—Reymont.

Są inni, mistrze nie mniejsi języka i formy, chwytający nieraz może i silniej za trzewia, by nimi zatargać, nurkowie nieporównani, zapadający w niezbadane przed nimi głębie dusz ludzkich, by dobyć z nich i perły najcenniejsze i potwory straszne; lirycy o niedościgłym napięciu uczuciowem i skali niepojęcie rozległej, odczuwający z intensywnością niebывałą bóle nie tylko własne, ale i społeczne, męczarnie wydziedziczonych i uciskanych. Ale w nich mocy żywego słowa niema; nie jest ona im dana, a zdobyć ją, nie mając jej zarodków w sobie,—nie sposób. Tę moc ze wszystkich współczesnych twórców naszych posiadał jeden tylko:—Reymont.

On jeden z współczesnych mógłby, jak one przedwieczne rapsody i aoidy, stanąć przed tłumem, — ale takim, jak był tłum starogrecki, — i „gadać“ mu swe wizje mocarne i barwne, wydarte duszy w godzinach samotnej, gorączkowej pracy. On jeden zdołałby tem żywym słowem przykuć do siebie te wszystkie dusze spragnione, uczynić z nich jedność, zapanować nad nimi wszechwładnie, narzucić im bezopornie to, co sam przeżył i ujrzał,

wszystkie te wzruszenia i namiętności, porywy i czyny, zwycięstwa i klęski, rozkosze i smutki, które złożył w dziełach swej twórczej pracy.

Ta moc żywego słowa była w nim zawsze wrodzona; w początkach nieświadomiona, nieśmiała, nie znająca swych dróg i szukająca ich, stopniowo, zwolna rosła, rozwijała się, w miarę rozrostu i rozwoju talentu, opanowania przezeń formy i techniki. Były jej przejawy już w pierwszych nowelach Reymonta (jak w tej o koniu, zdychającym na polu samotnem); zataiła się ona nieśmiało w „Komedjantce“ i „Fermentach“; próbuje swych sił w „Pielgrzymce na Jasną Górę“, wystrzela na krótką metę w wielu ustępach „Ziemi obiecanej“, by nareszcie niespodziewanym prawie, oślepiającym blaskiem zajaśnieć w dwóch tak zwięzłych, na wskroś wstrząsających, na zawsze pozostających w pamięci tragiedjach z wiejskiego i miejskiego żywota („Sprawiedliwie“ i „Odwet“) i do pełnej męskości, potęgi świadomej i celowej rozwinąć się w „Chłopach“.

Równolegle i łącznie z tą cechą talentu Reymonta—i jest to zupełnie zrozumiałe,—rosła i rozwijała się druga charakterystyczna jego cecha: jego siła epicka. Jest ona już w pierwszych powieściach, gdzie przejawia się, jako iście zdumiewająca zdolność postawienia i przeprowadzenia mnóstwa typowych postaci. Jest i w „Pielgrzymce“, jako zdolność wyczuwania zbiorowej duszy tłumu i odtwarzania jej. Załamuje się — choć rozwinięta jeszcze wyżej — w „Ziemi obiecanej“, gdzie potężna jej fala rozbija się na tysiące strumieni i strumyków, a wskutek tego i innych jeszcze przyczyn, doskonała ta powieść nie jest wcale wspaniałym, porywającym eposem, jakimby stać się była mogła. I znowu w „Chłopach“ ta siła epicka rozwija się w pełnej męskości, potędze świadomej i celowej.

Odmówi „Chłopom“ miana eposu ta szkolarska estetyka, dla której sztuka nie jest ogrodem cudownym, pełnym wiecznego życia i wieczystej krasoty, pokrywającym coraz to szersze przestrzenie, a jeno zielnikiem, pełnym zasuszonych trupów i poprzyklejanych do nich etykiet. Odmówią dziełu Reymontowemu tego miana ci, dla których epos bez heksametru, czy aleksandryna, bez rytmicznej i rymowanej formy istnieć i powstać nie może, — te nasze Gottschedty i Lemercierzy, co zupełnie poważnie zastanawiały się nad tem, czy Sienkiewiczowska trylogja, czy Fredrowska komedja, to rzeczywiście „poezja“, a jeśli, to czy wielka, czy też mała? Jednak innego miana Reymontowemu dziełu dać nie sposób, nie sposób je w innej postawić kategorii, niż — *toute proportion gardée* — Mickiewiczowskie areydziało nad areydziałami.

Bo poza rytmem i rymem są inne jeszcze, o wiele ważniejsze cechy charakterystyczne eposu, które — mimo, iż ewolucja twórczości literackiej rozsądziła za ciasne dla niej ramy dawnej, klasycznej i pseudoklasycznej poetyki i przeszła nad wieloma z jej kanonów do porządku dzienne-go, — posiadają jednak swój walor i posiadać go będą tak długo, jak długo istnieć będą różne rodzaje literackie (*genres*), a między nimi i epos.

Epopęją jest więc dzieło Reymontowe przedewszystkiem przez szerokość ram swoich, szerokość i wielkość celów, nietylko postawionych mu, ale i osiągniętych. Jest nim i przez swe rozmiary i przez to, że przy tej szerokości zakresu, posiada typ rdzennie narodowy, wybitnie i wyłącznie polski.

Jak Mickiewicz swe „poema szlacheckie“ uczynił artystyczną syntezą polskiego, wiejskiego, starszlacheckiego żywota, we wszystkich zasadniczych, typowych jego przejawach, — tak Reymont swą „powieść współczesną“ uczynił artystyczną syntezą i obrazem całego polskiego życia

chłopskiego, życia wsi polskiej. Bo tak samo, jak „Pan Tadeusz“ — mimo inwokację do „Litwy, ojezyny“, mimo ulokowanie akcji wyłącznie w nowogródzkim powiecie, — nie jest weale dziełem nowogródzkiej, czy nawet wogóle litewskiej *Heimathskunst*, ale dzięki orlemu wzlotowi gieńjusa, stał się — nawet prawie zawsze i pod pejzażowym względem — poematem ogólnie narodowym, *kat'exochen* polskim, pozbawionym partykularystycznych cech, awydatniającym syntetycznie to właśnie, co ogólnie polskie, ogólnie narodowe, najbardziej w tym właśnie kierunku charakterystyczne i typowe, wspólne całej szlacheckiej Polsce owej doby, — tak samo „Chłopi“, acz ulokowani w ciasnych granicach lipeckiej parafii, tam *glebae adscripti*, przez wprost gieńjalne ujęcie i przeprowadzenie rdzennych cech życia i typu chłopskiego, rysów wspólnych chłopu polskiemu na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej, przy zupełnem pominięciu cech wyłącznie lokalnych, stali się obrazem bytu i życia wsi polskiej, chłopskiej, bez względu na jej terytorjalne położenie na północy, czy południu, wschodzie czy zachodzie.

I stąd pośrednio wynika fakt, że „Chłopi“, — tak samo jak „Pan Tadeusz“, — to „epos bez bohatera“. Antek Boryna, — mniej więcej tak samo, jak ów „ułan, jak słonecznik w błyszczącym kołpaku“ — sam w sobie i w czynach swoich nie jest weale bohaterem w stylu Gotfredów, Orlandów, Tankredów, albo Achillów i Hektorów. A jeśli Mickiewicz, — dzięki epoce, w której dzieło swe pomieścił, a właściwie dzięki temu, że sam tę epokę przeżył i zachował o niej własne, najbardziej umiłowane wspomnienia, — mógł oprzeć je o tło dziejowe, pełne blasku, wojennego bohaterstwa i wspaniałej rycerskości, o tę „jedną, taką wiosnę“, jaką sam miał w życiu, i mógł odbłaskiem chwały małego kaprała opromienić Tadeusza i przybrać go w urok ułańskiego mundurą, — Reymont uczynił tego

nie mógł. Epoka ma współczesna—szara; naród jego, mo-
żności wielkich, zbiorowych czynów dziejowych wyzbyty,
jeno wspomnieniami własnej, bohaterskiej przeszłości ży-
jący. To też i tło dziejowe „Chłopów“ musi być szare
i zamglone, nie pada na nie żaden blask, żadna jasność
zewnętrzna. Ale ta perspektywa dziejowa jest... Cienie
współczesności dziejowej rzucają swe kiry na to życie
bajne, oślepiająco barwne; są widoczne dla każdego, co
je chce dostrzec...

Ale, pomijając już to, że niema w nich bohatera
w stylu greckich, czy średniowiecznych heroów, niema
wogóle w „Chłopach“ postaci, któraby wysuwała się wy-
łącznie na plan pierwszy, koncentrowała na sobie całą
uwagę, była osią akcji, jedynym filarem, podtrzymującym
całe sklepienie. Indywidualnego bohatera w tej „powieści
współczesnej“ niema; jej bohaterem jest — znów tak samo
jak w „Panu Tadeuszu“ — nie cały naród, bo to wogóle
prawie niemożliwe, ale jedna jego warstwa społeczna, naj-
liczniejsza i dziś najważniejsza, warstwa odrębna, dotąd,
jakby kasta, sama w sobie zamknięta, na wpływy zewne-
trzne oporna, swem własnem życiem żyjąca. Bohaterem
powieści Reymonta jest chłop polski w swoich uczuciach,
w swoim obyczaju, w swych formach bytu, dotąd jeszcze
tak „bajecznie kolorowych“, w swej bajności i bezpośre-
dniości, w swych wszystkich charakterystycznych właści-
wościach, wyróżniających go od reszty narodu i tych, któ-
re, całemu narodowi wspólne, ale w innych warstwach
przystosowane powłoką kosmopolitycznej kultury, w nim ży-
ją jeszcze intensywnem życiem, stanowiąc „arkę przymie-
rza“ między minionymi dawnymi epokami kultury a dołą
dzisiejszą, pomiędzy podstawową warstwą społeczeństwa
a temi, co nad nią się wzniosły.

Więc nie o rycerzach prawi to epos, w zbrojce zaku-
tych, nie o bohaterach nadzwyczajnych, nie *arma virumque*

opiewa, ni wojenne czyny, pełne blasku. Niema w niem cudowności, żadnych bajecznych ewenementów, a jest jeno życie najpowszedniejsze i najpowszechniejsze, ale w tej formie, w tych przejawach, jednemu tylko naszemu narodowi właściwe i wrodzone, — życie przez pryzmat genialnego talentu widziane i z niedościgłą maestrią w artystyczne kształty ajęte, tak, iż to dzieło przepotężne jest jakby objawieniem nowego, nieznanego dotąd świata, — tak, iż o niem z równem azasadnieniem powtórzyć można to, co Słowacki o drugiej, jeszcze potężniejszej naszej narodowej epopei powiedział, że „się przed tym poematem wali jakaś ogromna ciemność stolica...“

Życie to wre i kipi, bajne, żywiołowe, przewala się z szaloną potęgą i gwałtownością wezbranego górskiego potoku, wystrzela wulkanicznym, niszczącym wybuchem namiętności, nieokiełzanych, przemocarnych instyktów, dąży wciąż naprzód w niepohamowanym pędzie, lśni wszystkimi barwami tęczy, dźwięczy wszystkimi głosami, objawia się ze wszystkich swych stron: i wesołych i smutnych, i pięknych i strasznych, i burzących i twórczych, odurza swą niewyczerpaną pełnią, swem bogactwem, swą energją, — a jednak tam, postawionych mu przez mistrza, nie rozsadza nigdy, kornie posłuszne jego woli władczej, przejawia się tak, jak on chce; mimo swą pozorną zawiłaność i złożoność, przezeń okiełzane i twardą dłonią wiedzione, staje się pełnem prostoty i przejrzystości.

Jak w wagnerowskich arcydziełach niesłychane bogactwo motywów, kontrapunktycznie związanych i prących wciąż naprzód, pozornie rozsadza wszelką artystyczną formę, płącze się w nierozwikłany chaos, odurza, a jednak łączy się w organiczną całość i dąży celowo do wytkniętego kresa, — tak w Reymontowem arcydziele bogactwo motywów: uczuć, konfliktów, wysiłków, postaci, dążeń, katastrof, pejzażowych rysów itd. itd. itd., wiąże się

w bajecznie skonstruowaną, przemyślaną, logiczną i spójną organiczną całość. I to właśnie panowanie nad olbrzymim tematem,—a raczej nad olbrzymim kompleksem tematów,—ujęcie tej całości w organizm skończony i doskonały, związanie wszystkich cząstek w całość przedwzrostnie piękną i przejrzystą, — oto znów moment, wznoszący tę „powieść współczesną“ do wyżyn eposu.

Na cztery olbrzymie pieśni o zimie, wiosnie, lecie, jesieni, podzielił Reymont swą epopeję, opierając tem samem żywot wsi polskiej, żywot polskiego chłopca o to, co w tem życiu najważniejsze, co temu życiu nadaje właściwą treść i formę,—o żywot matki ziemi i jego wciąż powracające fazy; połączył tem nierozdzielnie w dziele sztuki to, co i w życiu nierozłączne, wysunął w dziele sztuki na plan pierwszy to, co w życiu chłopieckim nad wszystkim innem dominuje— ziemię - karmicielkę, której woli i służbie wszystko inne podporządkowane, wszystko bez wyjątku prawie.

Ale ziemia nie staje się tu tłem tylko, dekoracją nastrojową, choćby tak mistrzowsko namalowaną; ona tu, jak i w życiu, jest aktorem wciąż czynnym, co krok wywierającym swój wpływ wszechmożny; obojętna na wszystko, co na niej się dzieje i przemija, działa jednak wciąż— dusze ludzkie do siebie nierozzerwalnie przykuwa, na nich— pani i niewolnica zarazem— odrębne piętno wyciska, kształtuje je na swą modłę, wpływa na wszystkie ich myśli, uczucia i czyny. I niezem innym nie jest właściwie epos Reymonta, jak gigantycznym, nie mającym dotąd równego, ni podobnego w całej literaturze świata, obrazem wiecznego zmagania się, wiecznej wzajemnej niewoli: człowieka we władztwie ziemi, — ziemi we władztwie człowieka. I odwiecznej, żarliwej i namiętnej miłości, nad wszystkie inne przywiązania potężniejszej, miłości człowieka do tej rodnej matki, której plody w pocie czoła wydziera, dając

jej wzamian wszystkie swe siły, wszystkie prawie uczucia i namiętności.

Ta miłość ze wszystkich najpotężniejsza jest i w duszy Reymonta. Jest w nim równie potężna, jak w jego chłopach, a jest i głębsza, bo oparta nietylko o znajomość wszystkich, najsztubtelniejszych objawów życia w przyrodzie, ale i o zdolność wyczuwania wszystkiego piękna, jakie to życie zawiera, zdolność dopatrzenia się w tem pięknie tego, czego przed nim nikt inny nie dostrzegł i nie wyczuł. I stąd też ta cudowna świeżość wszystkich pejzażów Reymonta, ich życie, plastyczność i barwność, ich rozmaitość i majestat, ich gienjalna harmonijność i prostota. Stąd wreszcie ich swojskość, ich „naszość“, ich największe piękno i urok.

Ziemia w „Chłopach“ wciąż żyje; nie zamiera ani na chwilę, ani na chwilę nie przerywa swej pracy, choćby jak utajonej przed okiem ludzkim. Ona wciąż jest w stanie czynnym, wciąż idzie naprzód w swym żywocie, od pozornego spoczynku i snu zimowego, poprzez wiosenne przebudzenie się, letni żar płodności i tworzenia, jesienne wyczerpanie i żałobę, znów do punktu wyjścia wiekaistego koła swej twórczości. Widać nieustannie wszystkie bajecznie podpatrzone zmiany, jak zima dąży ku wiosnie, wiosna ku latu, lato ku jesieni, jesień znów ku zimie. *Panta rei...* I ten wciąż czynny stan przyrody sprawia, że stale ma się wrażenie, iż ona żyje istotnie, sama przez się bierze udział w akcji na mocy swego głębokiego, nierozzerwalnego związku z tymi ludźmi, których dramaty życiowe jej nie wzruszają i nie obchodzą;—sprawia, że przez wszystkie te księgi, od ich pierwszej do ostatniej karty tętni życie przyrody, żywej, przepotężnej, ujętej i oddanej obiektywnie, a nie przez pryzmat subiektywnego nastroju artysty, czy jego kreacji. Pejzaże Reymonta w „Chłopach“ to nie jego *états d'âme*, nastroje

własne, liryczne, a harmonizowane sztucznie w zgodny pozornie zespół z sytuacjami rozgrywających się na temle dramatów ludzkich. Stosunek człowieka do przyrody w dziele Reymonta jest negacją wszelkiego antropocentryzmu. I w sprzeczności z tem nie jest weale owa wspańska, do głębi wstrząsająca, symboliczna scena, gdy stary Boryna, tuż przed zgonem, nieprzytomny, w noc późną, księżycową „błogosławionym, półkolistym rzutem“ posiewa ziemię po zagonach, a zboża i trawy, zielone jęczmiona, ziemia cała w jeden chór ogromny woła nań, by z nią został, by jej nie opuszczał...

Z tą jedną sferą akcji, przyrodą wciąż żywą, pracującą, wiąże się nierozdzielnie, niby koncentryczne koło, sfera druga, sfera ludzkiego działania, ludzkiego życia, toczącego się taką samą, nieprzerwaną, odwieczną koleją tych samych przemian, tych samych trudów, rok w rok wracających. A to życie zbiorowe wsi polskiej, polskiego chłopca, życie w pracy wytwórczej, zawsze jednakiej, staje przed nami żywe, barwne, rozjaśnione blaskiem przedziwnego piękna. Rozbił je Reymont na setki szczegółów, na pozór podrzędnych, setki epizodów, setki obrazów i scen, na pozór bez związku bezpośredniego, na całe mrowisko jednostek ludzkich, z których każda z osobna, czy społem z innymi, zjawia się w innym momencie tej pracy wszystkim wspólnej. A uczynił to z kunsztem iście nieporównanym, tak, iż wszystkie te szczegóły, epizody, sceny łączą się wzajemnie w całość harmonijną i pełną, w której, jak w zegarze doskonałym, nie brak ni najmniejszego kółeczka, najmniejszej sprężyny, a łączą się, jakby przypadkiem, jakby poza wiedzą i wolą tego, który je w ruch puścił. I dzięki temu właśnie, unikając bezwzględnie wszystkich schematów, wszelkiej pedantycznej dydaktyki, która tak niestrawną czyni *La Terre* Zoli, tak za bójezo nudnem „Ziemiaństwo“ Koźmiana, wywołuje wrażenie nieustannego ruchu, nieprzerwanej ciągłości życia, które odtwarza.

I tak od jesiennej orki, pracy kopaczy po kartofli-
skach, ozimych zasiewów,—poprzez zimę, wiosnę i lato
snaje się, po najdrobniejsze szczegóły odtworzony, rok
chłopa polskiego. I tu znów wszystko w nieustannem dą-
żeniu naprzód, nieustannym ruchu. *Panta rei...* Ogrom-
nej siły artyzmu trzeba było po temu, by ten tak proza-
iczny i przyziemny żywot uczynić pięknym i pełnym dzi-
wnego, specyficznego wdzięku. A tego cada dokonała, jak
zawsze w takich razach—miłość. Bo Reymont kocha nie-
tylko wieś polską, ale niemniej głęboką miłością kocha
polskiego chłopca, a z miłości ku niemu odtwarza jego ży-
cie. I dzięki tej genezie, temu zrodzeniu z miłości, w eposie
jego wszystko jest piękne, nawet to, co najpospolit-
sze i najprozaiczniejsze. Ale on nietylko chłopca kocha;
on go i zna na wylot; zna nietylko jego duszę, aż po naj-
tajniejsze zakątki, ale zna i jego tryb życia, jego pracę,
jakby sam strawił na niej wszystkie swe lata. Własnymi
rozmiłowaniami oczami patrzył on na tę pracę, poznał ją
empirycznie, a nie — jak mieszczuch Zola, który chłopca
i wsi nigdy nie znał i nie lubił—z książek tylko i podrę-
czników.

Ale miłość ta nie wyklucza wcale obiektywnego zu-
pełnie stosunku twórcy do tego dzieła, do umiłowanego
przedmiotu. Reymont—jak każdy epik—panuje nad swem
uczuciem, nie daje mu zapanować nad sobą i nigdy nie
pozwala temu uczuciu przejawiać się stronnie i subiekty-
wnie. Ta obiektywność daje dziełu jego iscie homerycki
spokój i majestat, przekonywującą siłę prawdy i realności,
dostojną prostotę świeżość, energję. Ta obiektywność jest
przyczyną zupełnego braku tendencji w dziele, które naj-
drobniejsze źdźbło tendencyjności mogłoby zepsuć zupeł-
nie, obniżając jego ton, jego powagę i bezpośredniość. Jak
Iljadzie i Odysei,—jak Mickiewiczowskiemu eposowi, jak
Szekspirowskim arcydziełom, tak i „Chłopom“ brak tendencji

choćby najszlachetniejszej, ale przemijającej, złączonej z „aktualnością“, daje ten wysoki ton artystyczny, daje gwarancję nieśmiertelności, stawia to dzieło poza czasem i czyni je epopeją. Jest to sztuka dla sztuki w najwspólniejszym tego słowa znaczeniu.

Prócz pracy,—która jest właściwą treścią jej istnienia, — zbiorowa dusza gromady wiejskiej przejawia się w zabawie, modlitwie i gniewie. I tu znalazł Reymont najszersze pole działania dla swej epickiej i plastycznej siły. Chłop polski—jak każdy Polak—gdy się bawi, to do szaleństwa, do zapamiętania. I ten szal właśnie, ten żywiołowy wybuch niewyczerpanych, niezużytkowanych energii, ten war kipiącej, rozszalałej, bajnej, zdrowej krwi, ten typowo-polski rozmach, typowo polski giest odtworzył Reymont z gienjalną, jedyną w całej literaturze świata potęgą i prawdą, z gienjalnym, nieporównanym artyzmem. Ten, czy w karczynie, czy na weselisku rozhalany tłum porywa, unosi, oszalał, oślepił wszystkimi barwami tęczy, oddech w piersi zapiera;—widzi go się i czuje, odurza on, zachwyca i porusza do głębi. Takich pełnych życia i ognia, szala i piękna obrazów, jak te, niema—raz jeszcze powtórzyć i podkreślić należy—w całej literaturze świata, jak wogóle niema w niej epopei chłopskiej, godnej postawienia obok Reymontowej.

Takie same, acz z innych źródeł płynące, w innych formach się przejawiające zapamiętanie opanowuje tę duszę zbiorową w chwilach największego skupienia, w obliczu potęgi, przed którą chyli się kornie w bezwzględne poddanie i uwielbienie. Zamodlony w kościele tłum ukazuje się w „Chłopach“ kilkakrotnie, za każdym razem inny, inaczej uchwycony. I tu także Reymont umie dać nie tylko obraz zewnętrzny, powierzchowny, ale i obraz wszystkiego, co tę duszę zbiorową przepętnia, co ją wzru-

sza i wznosi *ad astra*, przenika błogością i szczęściem naiwnem, a silnem niezmiernie.

Wogóle nie sposób w ciasnych ramach sprawozdawczego szkicu dać szeregówą estetyczną analizę wszystkich wspaniałych scen i obrazów, rozrzuconych w tej eposie z monarszą iście hojnością. Nie sposób zastanowić się, jakimi środkami Reymont osiąga to głębokie, zupełnie nowe za każdym razem wrażenie, które te obrazy i sceny wywierają. Zaznaczyć tylko można, że poza właściwą talentowi Reymonta plastycznością, świetnością kolorytu, jest w nich ruch, jest bajne, wrzące pełnią siły i zdrowia życie, i cały ten świat ludzki — jak w tamtej sferze akcji świat przyrody — jest wciąż w stanie czynnym, wciąż działa, wciąż wyładowuje swą niewyczerpalną energję.

Narzuciwszy sobie celowo i świadomie ściśle zakreślone ramy czterech pór roku w ich kolejnem następstwie, Reymont w tym samym porządku odtwarza i całą obyczajową stronę chłopskiego żywota. Ale i tu znów, jakby bez jego woli i wiedzy, jakby przypadkiem, poszczególne ogniwa wiążą się w nieprzerwany łańcuch; nigdy i nigdzie nie narzuca się natrętnie i namacalnie powzięty z góry zamiar i cel, to też, — parafrazując słowa Goethego: *man merckt nie die Absicht, wird nie verstimmt*. A czy to widząc tłum rozbawiony i rozszalały z uciechy w karczmic i na weselisku, czy ten sam tłum na jarmarku w miasteczku, na odpuscie i pogrzebie, procesji na polach, czy w zaciętej opozycji przeciw narzucanej mu szkole, — zawsze podziwiać się musi tę fenomenalną zdolność uruchomienia mas, panowania nad niemi, odtwarzania ich ruchu, nastroju, ich plastyki i daszy, ich, w każdej sytuacji odmiennego, innego rytmu i tempa, giestu i uczucia. Bo w Reymontowym eposie, jak już powiedziano, masa ukazuje się w najrozmaitszych nastrojach, w najrozmaitszych stanach uczuciowych, od żarliwego zapamiętania się, pokory i ciszy wo-

bec majestatu bóstwa, od szala upojenia radością i weselem, aż po pełen grozy i straszliwej potęgi szal gniewu i walki. I ten właśnie obraz rozwścieczonego, strasznego, obrażonego w swem poczuciu sprawiedliwości i swych praw tłum jest jedną z najwspanialszych kart „Chłopów“: obraz walki o las, żywiołowy wybuch wściekłości olbrzyma, który nagle sam poczuł swą potęgę i paścił jej wodze.

Tłum, gromada, ten—wedle określenia małopolskiego chłopca—„wielki człowiek“ jest bohaterem powieści Reymonta. On jest jej głównym aktorem. A poprzed i ponad tłum — jak zawsze w życiu — wysuwają się jednostki i to te, które wysunąć się muszą, czy to dzięki swym kolejom życiowym, czy dzięki swym szczególnym właściwościom psychicznym. Ale i tłum nie jest tu bezimienny, nie jest masą, której składowych części odróżnić nie sposób. Nawet w chwilach największego afektu tej duszy zbiorowej, gdy jedno uczucie przepętnia wszystkie serca, zawsze jasno i wyraźnie widoczne jest, że ten tłum to społeczność, z rozmaitych złożona jednostek, z których każda inna ma temperament, inne cechy indywidualne.

I tu znów okazuje się całe mistrzostwo Reymonta, jego bajeczna zdolność charakterystyki, uwydatniania tych indywidualnych rysów poszczególnych, wyróżniających jednostkę z pośród tłumy, — uwydatnienia tych rysów indywidualnych tak, by wbijały się w pamięć na zawsze, by na pierwszy rzut oka wyróżniały ową jednostkę wśród mnóstwa innych. Niezwykły w tym kierunku talent Reymonta przejawiał się już w samym początku jego pracy twórczej, znamionował wszystkie jego dzieła, bez wyjątku. Ale w „Chłopach“ występuje on w wyższym jeszcze stopniu, niż gdziekolwiek indziej, mimo, że zadanie tu było bez porównania trudniejsze, wobec faktu, że w chłopskiej społeczności właściwości wspólne wszystkim górują ponad rysy indywidualne; typ ogólny zastania charakter jednostki. A jed-

nak to, co szczególnie wobec mnóstwa najrozmaitszych postaci, było szalenie trudne, tu stało się czynem. Wszystkie, od najbardziej charakterystycznych, aż po najdrobniejsze postacie powieści, raz ujrzone, stają przed oczami na każde wezwanie, każda inna, każda wyraźnie odcinająca się od środowiska. I stary, tajemniczy Rocho, i dziad ślepy, którego pies wiezie, i kowal, i młynarz, i stary Boryna, i Mateusz, parob nad paroby, i Jagata żebraczka, i Grzela mędrzec, i Witek spryciarz, i wójt złodziej, i każda z tego niezliczonego korowodu jednostek ma swój własny typ, swą własną indywidualność. I nie tylko jeden, charakterystyczny rys każdej z tych jednostek daje Reymont, ale z bajeczną maestrią, w jędrnym skrócie otwiera duszę każdą na oścież, ukazuje ją całą, ze wszystkich stron, w całym jej bogactwie, czy ubóstwie. Reymont — przez niektórych, niewiadomo za jakie winy, przedstawicielem naturalizmu w naszej literaturze przewany, — ani myśli, naturalistyczną metodą, wyodrębniać poszczególne jednostki szerokim opisem ich fizycznych właściwości, albo, idąc za przykładem Zoli, obdarzać każdą z nich aż do znudzenia powtarzającym się stale epitetem, określającym najbardziej bijącą w oczy właściwość jej fizjognomji, czy postaci. Przeciwnie, skąpi on rysów charakterystyki zewnętrznej i — prócz jednej chyba Jagny — żadnej postaci nie „opisuje“; żadnej wyglądu nie narzuca, krępując tem samym działanie wyobraźni, ale przeciwnie główną i wyłączną prawie wagę kładzie na charakterystykę psychiki jej, na uwydatnienie indywidualnych rysów temperamentu i charakteru.

Obie sfery akcji: sfera życia przyrody—jako organizmu zbiorowego—i sfera wspólnego, zbiorowego życia wsi polskiej, związane są z sobą tysiącem nieznaczących, a tak mistrzowsko nawiązanych węzłów, że są najeczęściej niedostrzegalne i nigdy nie narzucają się na pierwszy rzut oka. Tak samo tysiącem węzłów z temi obydwoma sfera-

mi związana jest nierozdzielnie trzecia sfera akcji: właściwy dramat, bez którego niema ni eposu, ni najprostszej opowieści. Ale dramat ten, w porównaniu z tamtymi obydwiema sferami, najmniej zajmuje miejsca, jest ledwie drobną częścią całości. A właśnie tu okazuje się cały kunszt przeprowadzenia go, dania go tak, by—mimo swą więźność — wskutek rozłożenia światła i barw, wysunął się poprzód wszystko inne, zapanował nad wszystkim i wszystkie części olbrzymiego organizmu złączył z sobą nierozzerwalnie. Ustosunkowanie wzajemne wszystkich trzech sfer akcji, perspektywiczne ugrupowanie szczegółów, związanie ich takie, by dzieje rodu Borynów, „grzesznej“ miłości Antka i Jagny i wszystkich związanych z tem komplikacji, mimo że nie są właściwą treścią „Chłopów“, jednak nią się wydały, a uwypukliły się odpowiednio,—oto zadanie pod względem technicznym i artystycznym ze wszystkich, jakie miał przed sobą Reymont najtrudniejsze i z największem mistrzostwem, największą misternością wykonane.

Dramat ten był Reymontowi potrzebny nietylko jako sklepienne wiązanie, nietylko jako niezbędne akcesorium każdej bez wyjątku powieści. Użył on go za środek skoncentrowania w kilku postaciach zasadniczych rysów uczuciowego życia chłopca polskiego; w postaciach tych wrą i wybuchają najpotężniejsze uczucia i namiętności ogólnoludzkie w kształcie i napięciu właściwym tylko temu światu, który stanowi środowisko tej epopei. Stają tu ludzie olbrzymi pod względem pierwotności i bezpośredniości swego uczuciowego życia,—ludzie, którym pokrewnych szukać trzeba chyba w świecie szekspirowskich postaci, o tyle stuleci od naszej kultury odległych, o bezporównania wyższej temperaturze krwi i szybszem tempie jej krążenia, o silniejszych i bezwzględniejszych pożądaniach zmysłów, gdzie wszystko posłuszne wszechwładzy instyn-

któw i pierwszego popędu, nad którym zapanować, który poddać mocy rozwagi—niema czasu i ochoty. Uczucia i namiętności przepotężne, ale krótkotrwałe, przelatujące szybkim jak strzała, zmiatającym wszystko, co w drodze, lotem stepowego wichru. Kategorie złego i dobrego giną bez śladu wobec mocarniejszych, niż wszystkie katechizmowe, nakazów krwi rozszalanej. Pożądanie rozkoszy zmysłów, czy rozkoszy zemsty, moc żądz, czy moc wściekłości, jednakowo rozsadzają wszystkie pęta, domagają się natchmianstowego zadośćuczynienia. Ale namiętności te i porywy gasną równie szybko, jak wybuchły; danie im folgi, zadowolenie ich zabija je. Antek Boryna szybko zapomina o swej miłości do Jagny; równie szybko, jak o dokonaniem zabójstwie, po którym niema ni najlżejszych wyrzutów sumienia. I ta przelotność uczuć, mimo najwyższego ich napięcia, ta łatwość wyładowania energii jest w nim nietylko typowo chłopska, ale i typowo polska...

Ród Borynów potrzebny był Reymontowi dla skoncentrowania w nim dramatycznej treści dzieła, ale potrzebny mu był także dla skoncentrowania w nim rodzinnego, powszedniego życia chłopskiego, bez względu na komplikacje, jakie na tle tego życia powstały, a których za „typowe“ i charakterystyczne uważać nie wolno, uznając w nich raczej fenomenalny wyjątek, czego zresztą chciał i sam autor, podkreślając to bardzo wyraźnie. Pożycie rodziny chłopskiej, jej monarchiczny astrój, stosunek wzajemny wszystkich jej członków awydatnia się tu wyraziście i typowo. Pod względem zaś techniki powieściowej, ród ten był Reymontowi niezbędny, by mógł uczynić zeń jakby wielkie koło rozpędowe, od którego na wszystkie strony idą transmisje i pasy,—koło, puszczające w ruch całą maszynę.

Wogóle pod względem technicznym epos Reymonta zasługuje nietylko na osobne studjum analityczne, ale po-

winno stać się dla sztuki powieściowej naszej—*toute proportion gardée*—tem samem, czem dla adeptów sztuki malarskiej w dobie Renesansu były kartony pizańskie Michała Anioła, wciąż badane, wciąż rozpatrywane dla wydarcia im tych niezliczonych tajników najwyższego kunsztu, które w nich są zawarte. Bo, jak przed wiekami już powiedział La Bruyère: *C'est un metier de faire un livre, comme de faire une pendule*, i niezaprzeczoną słusność ma współczesny pisarz francuski, który powiada, że *s'il n'y a pas d'art sans inspiration, souvenez-vous qu'il n'y en a pas non plus sans un „metier“ qui lui serve en quelque façon de support*. A jeśli pod jakim względem, to właśnie pod względem budowy, pod względem technicznym, współczesna powieść polska, nie wyjmując i najwybitniejszych jej dzieł, szwankuje bardzo...

Pomijając już niezmierną trudność, jaką stanowiło harmonijne ustosunkowanie niezliczonego mnóstwa szczegółów, scen, obrazów z wszystkich trzech sfer akcji, przejrzyste ich złączenie w organiczną całość tak, by wysnuwały się z siebie z bezwzględną koniecznością logiczną, a nie czyniło wrażenia zbytecznego wtrętu, przeładowania, sztuczności, — niemniejszą trudność dla twórcy stanowiły ramy zewnętrzne, które sam sobie narzucił, dzieląc dzieło swe na cztery części, wedle czterech pór roku. Pod względem odtworzenia życia przyrody w jej stopniowych przemianach, odtworzenia życia powszedniego i obyczajowego chłopskiego było to niewątpliwie ułatwieniem. Ale niestety trudne było przeprowadzenie w tych ciasnych ramach jednego roku tych wszystkich przejść i katastrof uczuciowych, których Reymont również nie szczędzi. Po temu trzeba było wprost genialnej kondensacji i wprost genialnych skrótów, by zwycięsko zapanować nad wszystkimi trudnościami i zwalczyć je, bez ich omijania.

Tak samo kunsztowną i bez zarzutu, jak budowa całości, jest i budowa poszczególnych jej części. Rytm i tempo zmienia się wciąż, to snuje się szeroko i wolno z majestatycznym spokojem, to jakby scherzo wesole i dziarskie wpada w szalone *allegro con brio*, by wnet znów się rozpuścić w potężnym *largo*, opartem o przedziwne, niespodziane harmonie, by z oszalamiającą maestrią rozwinąć się w pracę z bezwzględną koniecznością ku kresowi swemu finał. Tę sztukę przemiany nastrojów i wrażeń, stopniowania ich nieustannego, aż po najwyższe napięcie w końcowej scenie każdego tomu, posiadał Reymont i stosuje ją mistrzowsko; pierwszy tom kończy zamaszystym, pełnym szalonej werwy i temperamentu obrazem weseliska, ale obraz ten zamyka prześlicznym, kontrastowym, wzruszającym momentem śmierci biednego Kaby, jednym z kilku najpiękniejszych epizodów całego dzieła. Tom drugi kończy pełnym grozy i szalu obrazem bitwy o las. Tom trzeci zamyka wstrząsająca scena śmierci starego Boryny. Tom czwarty...

Ale oto właśnie jedyna może wada tego wspaniałego dzieła. Nie kończy się ono godnie, wzruszeniem, któreby wszystkie inne doznane przewyższyło, obrazem, któryby wyraziściej i głębiej utkwiał w pamięci. Scena wypędzenia Jagny, scena właściwie straszna i bolesna, nie ma w sobie ni tragicznej siły, ni tej potęgi, tej głębokości, jakąby mieć powinna. Pomyślana świetnie, umotywowana zbyt pobieżnie i nieprzekonywująco, wykonana zbyt słabo, zbyt blade, nie budzi innego uczucia, prócz niesmaku i rozczarowania. Niema wątpliwości, że po tylu tak rozmaitych, nigdy nie powtarzających się nastrojach i obrazach, trudno było wznieść się jeszcze wyżej, najwyżej; oczekiwania i nadzieje czytelnika zbyt wysoko są napięte wszystkim, co ten finał poprzedziło. Ale mimo to trudno oprzeć się żalowi, że tej ostatniej chwili, w której

niestety przychodzi rozstać się z tak wspaniałem, tak cudownym dziełem, brak tego piękna, tej tragicznej grozy, która tam właśnie niezbędna... *)

*) Z pośród wszystkich zarzutów, z którymi spotkali się „Chłopi“ w krytyce naszej, tak feljetonowej, jak i salonowej, zwrócić warto uwagę na jeden tylko, a mianowicie na zarzut, że powieść ta nie wyczerpała wszystkich bez wyjątku przejawów życia chłopskiego, nie mówi n. p. nic o „kasach pożyczkowych, kółkach rolniczych“ itd. itd. Przedewszystkiem czas, w którym Reymont epos swe pomieścił, w którym je zresztą pisał, wyprzedza chwilę, w której po manifestacie październikowym rozpocząć było można „pracę organiczną“ na wsi. Moment akcji swej powieści zaznacza Reymont dobitnie i nieraz. Pomijając zresztą i to, i fakt, że dziś jeszcze praca w tym kierunku rozpoczęła się ledwie w drobnej części wsi Królestwa, zaznaczyć należy dobitnie, że powieść nie jest i jako dzieło sztuki nie może być systematycznym, wszechstronnem wypracowaniem statystyczno-ekonomiczno-etnograficznym. Przeładowanie powieści takimi, wcióż zmiennymi, nieustannej ewolucji podległymi szczegółami, nie tylko uczyniłoby ją „aktualnym“ towarem, ale zmieniłoby ją na jakiś dziwaczny podręcznik *ad usum* mieszczachów, obniżyłoby niesłychanie jej artystyczną wartość, która przecież w twórczości literackiej dominuje nad wszystkimi innymi względami. Zresztą „wszechstronne“, wyczerpujące *wszystko, bez wyjątku* odtworzenie życia chłopca i wsi, jest wprost niemożliwe, właśnie wobec faktu, że taka „grantowność“, niezbędna w dziele naukowem, ale zupełnie zbyteczna w dziele sztuki—nie dałaby się nikomu w żaden sposób pogodzić z artystycznie potężnem opracowaniem tak olbrzymiego tematu. Idąc dalej tą drogą, możnaby — ze stanowiska folklorysty—zarzucić, że Reymont za mało daje pieśni ludowych, przesądów itd., — ze stanowiska lekarza, że za mało uwzględnił medycynę ludową, — ze stanowiska erotomana, że zaniedbuje tę stronę życia chłopskiego, — ze stanowiska antysemity, że za mało podkreśla destruktywny wpływ Żyda na wieś polską, — ze stanowiska księdza, że nie rozwinął szerzej religijnego życia chłopca itd. itd. Śmieszne wprost jest stawianie Reymontowi za wzór—Zoli... Przedewszystkiem *La Terre* Zoli jest jedną z jego najsłabszych powieści, w której chłop przedstawiony został tylko jako bydlę bezmyślne, ordynarne, wcióż erotycznie, lubieżnie podniecone i o niczem innem, jak tylko o zadowoleniu swych zmysłowych popędów nie myślące. W żaden sposób w tej powieści wielkiego zresztą mistrza nie

Trudno i nawet nie sposób w dziele tej miary, tak olbrzymiem, jak „Chłopi“, odróżnić to, co jest dziełem twórczości świadomej, co twórczości bezwiednej. Niewątpliwie jednak na pograniczu obu stoi stylowa koncepcja całości. Pomysł odrębnego stylizowania chłopskiego eposu powstał może i bezwiednie, przeprowadzenie go jednak i wykonanie musiało być świadomem i wymagało ogromnego nakładu czujności i panowania nad wizjami twórczymi i ich uplastycznieniem. Widać jednak, jak twórca stopniowo sam opanowuje pomyślany przez siebie styl, jak sam się nim przejmując i w nim doskonaląc. Pierwsze karty, acz piękne i silne, nie zapowiadają tego mistrzostwa, tej bajecznej krasy, tej cudownej harmoniji, tej siły, co się wnet (już w drugiej połowie pierwszego tomu) przejawia, by odtąd aż po koniec rosnąć ustawicznie i nie słabnąć ani na chwilę. *)

Styl dzieła sztuki, to przecież nietylko język, to zharmonizowanie wszystkich akcesorjów, wszystkich szczegółów budowy do jej zasadniczych konturów, to—jak w muzyce—złączenie rytmicznych, harmonizacyjnych, instrumentacyjnych, dynamicznych koncepcji w całość, zgodną z treścią, z tem, czego dzieło sztuki ma być wyrazem, co ma w sobie zamknąć. Otóż ten styl odrębny, własny—styl, zdumiewająco piękny i nowy, posiadają „Chłopi“. Język

można wyczuć ziemi, „jako potęgi kosmicznej i kategorii ekonomicznej“. Chłop Zoli i jego wieś, to fantastyczny, na żadnym „dokumencie“ nieoparty paszkwil mieszczucha, który wsi nie znał wcale, nie widział, nie czuł i nie lubił. Przyznaje to nawet taki panegirysta Zoli, jak Edmund Lepelletzer (*Emile Zola, sa vie, son oeuvre*. Paris. „Mercure de France“, 1908).

*) Trudno tu z zalem nie zwrócić uwagi na niedbałą i fatalną korektę wszystkich tomów powieści Reymonta. Oby wydawcy w następnych wydaniach tego pomnikowego dzieła postarali się o usunięcie mnóstwa błędów, szpeczących je strasznie.

jędrny, wszystko zdolny wypowiedzieć w nowej, przebogatej formie, biorący z gwary ludowej to, co w niej najwyrazistsze i najpiękniejsze, stworzył sobie Reymont sam. Niema w tym języku nic, coby nie było dla każdego zrozumiałe, coby potrzebowało objaśnień i słowniczków; jedyna jego wada—i to chyba Reymonta boli najdotkliwiej—że nie podoba on się prof. Stanisławowi hr. Tarnowskiemu, który widzi w tem areydziele sztuki pisarskiej i pozaćcia językowego jeno „grabe narzeczé“...

Lecz nietylko język Reymonta zasilił się i rozwinął, dzięki niewyczerpanemu źródłu wiecznej młodości i twórczości najczystszej i pierwotnej słowa polskiego. Z życia i widnokregu chłopskiego czerpie on wszystkie metafory, wszystkie obrazy, określenia i t. d., pod tym właśnie względem mistrzowsko, z najsztelniejszym artyzmem stylizując swe dzieło, zatrzymując czytelnika nieustannie w tym świecie, w tej atmosferze, w tym nastroju wiejskim, chłopskim; równocześnie podnosząc znacznie artystyczną wartość i znaczenie swego dzieła.

I jedno, i drugie, i język „Chłopów“, i styl ich odrębny a czysty, wiąże się bezpośrednio z tą cechą talentu Reymonta, której prócz niego nie ma nikt inny we współczesnej literaturze polskiej: z tą przedziwną i porywającą mocą żywego słowa. Ta moc bije z jego epei przemożną, porywającą falą, przykuwa i zniewala bezopornie. A jeśli którą, to tę właśnie cechę jego talentu chciałoby się pochwycić ścisłą analizą i rozłożyć na jej składowe części. Ale tu właśnie wszelka analiza daremna, wszelkie jej próby rozbijają się o nieuchwytność tej potęgi czarodziejskiej, tak niezbadanej, tak trudnej do ujęcia, jak żywiołowe siły przyrody, których ona jest siostrzycą. Ona tak samo, jak tamte potęgi, jest, bo jest, *flat ubi vult*, przejawia się w wybrańcu, którego sama sobie upodoba.

Ale nietylko dzięki tej przedziwnej mocy, dzięki innym cechom genialnego talentu Reymont zdołał w „Chłopach“ dać arcydzieło niedościgłe i wieczne. Osiągnął on te wyżyny także i dzięki nieustannej, żmudnej jak chłopska pracy, pracy nad sobą samym, nad swym talentem, nieustannemu doskonaleniu się i dążeniu do doskonałości. I głównie dzięki temu jego twórczość o tyle wzniosta się ponad całą prawie twórczość współczesną nietylko naszą, ale i obcą, *quantum lenta solent inter viburna cupressi...* I dzięki temu wznosić się będzie coraz wyżej i wyżej, doszedłszy w „Chłopach“ dopiero do okresu swej męskiej dojrzałości.

Powiedziano, że gdyby wszystko, co wiadomo nam o prastarej Helladzie, co po niej zostało, znikło nagle bez śladu, a jeno homerowe eposy pozostały, — to cały żywot Grecji pierwotnej, jej duch, jej typ, jej piękno, z tych pieśni ślepego rapsoda dałyby się odbudować w całości. Tak samo, gdyby kiedyś po tym chłopie polskim, który dziś istnieje, ni ślad nie pozostał, z Reymontowej epopei duch polskiego chłopca, jego typ, jego zwyczaj i obyczaj, jego treść cała zmartwychwstałaby, — zmartwychwstałaby wieś polska w całej swej krasie i odrębności...





JAK LIŚĆ JESIENNY

POWIEŚĆ

przez

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

VI.

Parostatek uciekał, ile pary stało, wprost na południe, od mgieł, od dżdżów, z pod chmur... Ciemne skrzydło popielatych obłoków jeszcze wisiądo nad nim. Ołowiane morze wełniło się dokoła kędzierzawemi, drobnemi falami. Ale w dali smuga słońca już padła na wody, grała blaskami, mieniła się, iskrzyła na horyzoncie, jak złoty brzeszczot, rzucony na pawęż stalową.

Ku niemu, ku słońcu, mknął statek, unosząc rój nowych pasażerów. Skąd się ich tyle nabrało w ciągu nocy? Na pokładzie nie można prawie stąpnąć, aby nie nadeptać na węzły lub ludzkie członki.

— Niema gdzie nóg wyciągnąć — skarżył się Różykiemu okrętowy włóczęga. — W kajutach wszystkie miejsca zajęte.

Największe zainteresowanie budzi druga kobiecea kajuta, dyskretnie przymknięta...

— Cała Josziwara! — wykrzyknął mały artylerzysta ze śmiechem do Różyckiego.

— Daleko jadą? — spytał ten, aby coś odpowiedzieć.

— Nie wiem. Niech się pan spyta tego kogucika, on kokoszki prowadzi!

Wskazał na śniadego Japończyka w europejskim ubraniu, który siedział u stołu, przed kuflem piwa, palił papierosa i wodził bystremi, czarnymi oczami po twarzach obecnych. Zapytany, odrzekł krótko, po angielsku:

— Do Sajgonu.

Twarz Różyckiego przeciągnęła się. Tracił nadzieję rychłego uzyskania lepszego miejsca, a tymczasem sterane jego ciało boleśnie odczuwało sąsiedztwo żelaznych belek i ciężkie przelatujące ponad nim simony okrętowe.

— Zresztą wszędzie teraz przeciągi! — pocieszał się.

I być inaczej nie mogło, gdyż gorąco rosło z godziny na godzinę, jakby w podgrzewanym nieustannie piecu... Ludzie gotowi byli ściany roztworzyć, a z siebie zrzucali, co się tylko dało.

Różycki rychło uciekł na pomost.

Tam wszakże również zrobiło się już ciasno; przybyły nowe góry koszów i skrzyń, oraz moc ludzi. Uciekł się więc niezmiernie, znalazłszy nietkniętą swoją „nyżę“, oraz wązkie przejście przed nią dla spaceru. Siedział z książką w ręku i patrzył, jak błękitnieje dal, jak bieleją pozostawione w tyle chmury, tak niedawno groźne i ciemne, jak tają w powietrzu skaliste wiszary chińskiego brzegu, spadające stromo w toń morza. Już zbłękitniał jak niebo, i jeno przyptyw, bijący wysoko perlistą falą, odcinał jeszcze płowe ich stopy od płowej wody.

Przyszła Kate, stanęła jak za pierwszym razem u barty i, ćmiąc papierosa za papierosem, patrzyła w przestworze. Widocznie myślała, że jest sama, gdyż rozpięta na

piersiach bluzkę i wystawiła obnażoną szyję na wietrzyk łagodny.

— Uciekła od zadachu, a może i od... zachepek!... — pomyślał Różycki i głębiej wsunął się w swe ukrycie, aby jej nie spłoszyć.

Niedługo potem zaczęła w wolnym przejściu chodzić drobnym krokiem z opuszczoną głową. Z jej rysów, z całej postaci bił dziwnie gnębiący, niezwalczony smutek, który coraz bardziej wzruszał i zaciekawiał Różyckiego.

Skąd ona jest i jaka jej przeszłość?... Weale nie wygląda na to, czem, zdaje się, że jest!

Przypomnił sobie ruch palcem po czole jej rudej towarzyszki i serce mu się ścisnęło...

— Ach, pan tutaj! Lubuje się pan błękitem morza... Pod wieczór minimy wyspę Hajnan... — rozległ się niespodzianie nad głową Różyckiego głos „uczzonego“ wachmistrza. Leżał bez mandara, w różowej jeno koszali, na stosie skrzyń, przykrytym rozciągniętą kołdrą wojskową.

— Tu spałem całą noc. Wybornie... Nie znoszę zadachu... Choć zdarzało się, że mieliśmy w czasie wyprawy temperaturę powyżej 40 C. O tak, można się żywcem ugotować... A słyszałem znowu, że pod biegunem zimno dochodzi do 60 C... Jak się to panu podoba?

— Przydałoby się teraz choć parę tych C podbiegunowych — odparł ze śmiechem Różycki.

Kate znikła, i rozmowa wtoczyła się ostatecznie na geograficzne tory. Gawędzili o rozmaitych krajach i ludziach i rozmaitych u tych ludów zwyczajach.

Morze otwarte gięło się słabo w słońcu, jak turkusowa, poźlocista blacha. „Armand“ dyszał ciężko i wił w nieskończoność swój lok czarnego dymu.

W południe przedarł się Różycki z trudem przez zwal podróżnych, rozłożonych pokotem wprost na pomo-

ście, przeszedł uliczkę klatek, gdzie ćwierkał nowy zastęp amierających z zaducha ptaków, i odszukał w kuchennym korytarzu obdartusa z Odessy.

— Niech pan lepiej nie przychodzi... Tu nie wolno postronnym. Tu za wszystko kara...—pouczał go, odbierając imbryk... Już lepiej będę sam przynosił... Niech pan powie, kiedy i gdzie pana szukać?

Różycki objaśnił mu.

— Nie!—zaprzeczył energicznie—Do sali na dół nie zejść: tam bufetowy! Ale zawsze w czasie podwieczorka pierwszej i drugiej klasy, niech pan będzie z imbrykiem koło ptaszarni. Będę czekał! Uwinę się, niech się pan nie boi, uwinę! Tam i napowrót zbiegam w mgnieniu oka... Przyda się choć tę parę groszy, co mi wasza miłość da! Bo mój los, panie, ciężki! Ile już czasu tłukę się bez roboty z portu do portu... Nigdzie nie! Wszystko robią Chińczyki! A dlaczego robią? Bo się godzą tanio, za psie poprosta się godzą pieniądze! On, psia dasza, za 10 rubli miesięcznie będzie robił cały dzień na swoim wkiele!... A dla mnie przy moim charakterze dziennie rubla mało... Ledwie na odzież i tytoń starczy... Dlatego chodzę... bez roboty! Ale wolę to, niż dać się skrzywdzić... Teraz jadę do Singapory, ale wiem, że i tam to samo będzie... Wszędzie Chińczycy... Czy to pan nie widział, jak to się tego nawaliło na parowice! Jak mrowia! I że też to wożą ich te Francuzy?... Tylko statek zatruwają swoim plugastwem!...

Różycki spojrzał mimowoli na okropne łachmany obywatela odeskiego, na jego niestychanie brudną, pijacką twarz, na obrośniętą rękę.

— A do konsula próbował się pan zwracać!? — spytał mimowoli..!

— Do konsula! — przestraszył się włóczęga. — Po co do konsula! Do konsula u nas nie obyczaj chodzić!

Konsul jest od paszportów, od sądów... a człowiek uczciwy do konsula nie idzie! Konsul do byle kogo nie wyjdzie, a jak wyjdzie, to przedewszystkiem krzyczy... A co na parowcach, na robocie, na najmowaniu się, to on weale się nie zna... Nam, panie nikt nie pomoże, jeżeli my sobie sami nie pomożemy... „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!“... czytał pan? To, to, ono to! Mnie teraz towarzysze francuscy pomagają... a przejdę na statek angielski, będą pomagali angielscy... Kartofle skrobię, naczynia myję, buty im poczyszczę... i w ustępach sprzątnę i tak sobie jadę... Mnie tu znają... mnie tu na każdy statek wezmą... Tylko na ojczysty, na ruski, nie mogę... A dlaczego?... A dlatego samego!...

Spojrzał znacząco na Różyckiego i sięgnął do czapki.

— Do przyjemnego widzenia!... Więc przyjdę o piątej tu do ptaszarni. Najlepiej do ptaszarni... Chińczyki dobre chłopy... Dam im parę kartofli... nie nie powiedzą... Milezki ścierwa są!... Jego nożem rznij—nie powie! Tak to! Do przyjemnego widzenia!

Znikł w czarnym jak on sam cieniu kuchennego korytarza.

A Różycki wrócił do jadalni i znowu z tryumfem pił herbatę w oczach wściekającego się „monsieur Torchon“; ba, częstował nawet małego artylerzystę.

Resztę dnia spędził w swej cichej „nyży“ na czytaniu i rozmyślaniu, na pisaniu notatek i na... marzeniach...

Gdy przed zachodem słońca, na sygnał obiadowego dzwonka, spuścił się do jadalni, zastał tam weale wesoły—a nawet nieco romantyczny nastrój. Drzwi do kajuty Japonek były otwarte.

„Podwójne kwiaty wiśniowe“—młodzieuchne „dżoro“ rozmaitego kalibru — w kostjumach więcej niż przejrzy-

stych klęczały przed maluchnymi stolikami z herbacianą zastawą i szezebiotały cieniachnymi głosami... Inne, pół leżąc na pościelach, brzdąkały na „samiusenach“ i nuciły półgłosem.

Młode, świeże głosy, czysty, srebrny śmiech, ciche, melancholijne piosenki ogromnie nęciły francuskich wojaków. Kręcili się po korytarzyku, jak osy dokoła łakoci. Raz wraz który z nich potrzebował przejść, albo zatrzymać się koło drzwi lub na schodach i wszczynali rozmowę między sobą, albo „z rudą“, strzygąc jednocześnie oczami z bezwstydną żartocznością w stronę „kwiatów wiśniowych“.

Nie zwracajcie głowy!... — gniewała się „ruda“. — Cóż to ja nie widzę, co się święci?... Wyoście się zaraz! Idźcie do tych małą bez pośladek... Wąchajcie! — krzyczała coraz głośniej.

Wreszcie Joubert stanął odważnie w samych drzwiach kajaty japońskiej i zawołał szczyglim głosem:

— Szidzaki-Kizaki... Kwiatka dalekiego wyrobu! Wzywam cię, boska Chryzantemo... Zawstydz nadętą, cnotliwą Angielkę... Pokaż Wschodzące Słońce z przyległościami, i pokochaj alpejskiego strzelca!

Cisza, a potem wesoły, stłumiony śmiech, przygrywka figlarna na „samiusenie“, i piosenka rzewna, jak skarga.

Zanim Joubert obmyślił następny koncept, pojawił się obok niego uśmiechnięty Japończyk w europejskim ubraniu i dotknął zlekka ramienia żołnierza...

— O yes! Madame pięknie dziękuje, madame nie może...

— O co to, to nie! To ja czasami nie mogę — madame zawsze może! — błaznował dalej Joubert, pozwalając się jednak Japończykowi odprowadzić za łokieć od drzwi.

„J'aime un petit tapin
Des chassears alpins!
J'ador' foi d'Jeanette,
Son petit coup d'baguette!
Aussi mon bégain
J'vous l'dis cré de coquin!
C'est un p'tit tapin
Des chassears alpins!“

śpiewał Joubert, siadając do stołu, ale śpiewał sam, gdyż zainteresowanie obiadem było zbyt wielkie wśród zgłodniałej publiczności. Dopiero gdy sobie dobrze podjedli, posypały się wykrzykniki, żarty i rozmowy.

— Może panu dolać wody do wina—pyta uprzejmie człowiek-ljana małego artylerzystę, zatrzymując rękę z karką nad jego szklanką.

— Ślicznie dziękuję — krzyczy ten z udaniem przerażeniem. — Lękam się, że dla pana zostanie zamało!

— Istotnie, nie mogę pić czystego wina. Mam od tego zawrót głowy! — odpowiada poważnie człowiek-ljana.

— Cha cha! Zawrót głowy! My też mamy zawrót ale czego innego — raczej nie zawrót, lecz wywrót... kieszeni! Doprawdy nie kłamię!

— Wody zbyt dużo wokoło! Kto słyszał lać ją w siebie...

— Marynarz szczyry boi się wody w środku... Od tego idzie się na dno! Spirytus o wiele jest lżejszy!..

De ce vieux vin
Calme la soif, qui dévore!

— Hej, panie bufetowy, moja butelka już pusta!

— Sapristi! Joubert! Joubert... Czego siedzisz smutny?

— Bo ona się focha, bo ona nie kocha! — wzdycha urwis, kiwając głową w stronę Kate.

Embrasse moi, Ninette, embrasse-moi!
 Remue tes gambettes,
 Ninette, Ninette!

zwrócił się nagle do Angielki i patetycznie wyciągnął do niej rękę.

Kate czerwieni się, potem blednie, jak chusta.

— Jeszcze słowo powiesz, nieponia, a łeb ci rozwałę. Dość mam już ciebie i twoich głupstw!—szeptem, wyciągając rękę do butelki z winem.

— Ehem! Torpeda! — bąka Joubert flegmatycznie i rozwiesza w palcach przed sobą serwetę.

Kate zrywa się, jednocześnie zrywa się czarny Anglik, wstaje Różycki, podnosi się wachmistrz...

— Aj, aj! Ludzie, co wy robicie!.. Nie dajcie, trzymajcie ją... Ona szalona!.. Ja wiem, że ona szalona, ona wszystko zrobić może!..—krzyczy „rada“.

— Nie powiem, żeby to było po rycersku dokuczać samotnej i bezbronnej kobiecie! Was tu jest aż ośmiu!..—zwrócił się do wachmistrza Różycki...

— O tak — zgodził się ten. — Ale on więcej już nie będzie... Daję panu słowo! On niezły chłopiec, tylko... ma język...

Joubert nie zdradzał jednak skruchy i przyglądał się Różykiemu z poza serwetki, przymrażwszy oko i przekrzywiwszy głowę...

— Mój Boże!.. Ośmiu? Czy istotnie zamało? W takim razie zaprosimy do pomocy jeszcze kilku marynarzy! Wygodzimy jej, na Boga, wygodzimy! Będzie trzepotać się, jak ryba na piasku! Może ją pan upewnić!

— Joubert, przestań!—apominał go wachmistrz.

Nagle zrobił się rumor: w powietrzu błysnął biały talerz, potem szklanka i, przeleciawszy mimo Jouberta, z brzękiem rozbiły się o ścianę. Obecni zerwali się z ław, „rada“ szarpała się zawzięcie z Kate, wydzierając jej z ręki nóż.

— Aj, aj, Kasiu! Pluć ty na nich, nieponiów... Daj nóż! Cóż ty mało ich znasz, czy co? Zawsze gałgany są... Przestań, Kasiu, Kasieńko, chodź do kajuty... Nas za takie awantury wysadzą gdzie na wyspę, a wtedy co? Uspokój się... Już bufetowy idzie! — szeptała do przyjaciółki po polsku chrapliwym, zadyszczanym szeptem. Kate upadła twarzą na stół.

— Ach łotry, łotry!... — łkała spazmatycznie. — To wy pogardzacie mną i w twarz mi plujecie, kiedy jestem taką, jak chcecie, a kiedy nie chcę być taką..., to też plujecie i kopiecie mię! Ach łotry, cuchnące kiernozie! — krzyczała po angielsku.

Różycki położył rękę na jej dłoni.

— Niech się pani uspokoi... Już to się nie powtórzy! Poskarżę się kapitanowi! To panie są Polki? — zwrócił się do rudej.

— A tak, jesteśmy Polki... Wiemy, że i pan Polak, ale ona powiedziała, żeby panu nie mówić... Ona się pana wstydzi... Ach, co ona robi, ja nic nie rozumiem! Od czasu, jak ten mały jej umarł, to ona zupełnie oszalała... Żadnego do niej przystępu... Tylko papierosy pali... Dawniej zupełnie inna była... dobra była towarzyszką! My byśmy nawet mogły drugą klasą jechać... Ale ona nie chciała... żeby dla oszczędności. A pan widzi, jaka tu oszczędność... Głód... za wszystko płacić... I w dodatku... dawniej to droga nas prawie nie kosztowała, jeszcze czasami coś zostało... A teraz nietylko sama zarobić nie chce, ale i mnie nie daje... No, niech pan powie, jaki to interes z tego, co?

— A skąd panie są?

— Ja to jestem z Końskich, a skąd ona, to niech sama panu powie... A na mnie to się ona znowu rozgniewa... Ja już zupełnie nie wiem, co robić!?

Nim Różycki zdążył do Kate przemówić, ta podniosła się i odeszła gniewnie do swojej kajaty...

— Bieda, panie, bieda! Czem się to skończy, nie mam głowy do tego!... I co z nami będzie, też nie wiem... Chyba, że pan jej wszystko przedstawi, pan uczony, a ona takich lubi... A teraz ja muszę iść, bo ona tam może znowu co zrobić... Aj... aj! Takie nieszczęście!... kto mógł pomyśleć!?

CMoknęła i pokiwała głową w dobrze znany Różykiemu sposób. Podczas gdy nowi znajomi rozmawiali ze sobą po polsku, reszta podróżnych obsiadła napowrót stoły i zabrała się łakomie do gryzienia orzechów, łupania migdałów, żucia słodkich strączków i nadpsutych pi-stacji.

Trzaskały z łoskotem łupiny w młodych, mocnych zębach, po oporniejszych stukano trzonkami noży, obcasami butów, znalazł się nawet u kogoś „dziadek“.

Jednocześnie brzmiały wykrzykniki i żarty:

— A to chwata dziewczyna!... Jak gwizdnęła?! Pan-cernik!

— O mało nie zrobiła ze mnie bliźniaków... Zawsty-dzić chciała nieboszczyka mego ojca...—żartował Joubert, nie tracąc miny — Polki widzę, ho ho! Nietylko umieją brać fortece chińskie...

— Milez, proszę cię! Dostyć tego! — ofuknął go wachmistrz, rzucając bystre spojrzenie na siedzącego na-przeciw Różyckiego.

— Rodaczki pana? — zapytał go uprzejmie.

Różycki nie zaraz odpowiedział, potem mruknął coś niewyraźnie, spozierając srogo na bufetowego, zbierające-go z jaszczurezym sykiem skorupy rozbitych naczyń.



VII.

Cisza. Ocean gładki, lśniący, jak zwierciadło. Stońce białe, ogromne i jarzące, — rzuca prostopadle, na pobladłe, omdlałe głębiny wodospady żaru i światła. Odbite wracają one ku niebu, rozsiwają się w przeczystem powietrzu, jako przeraźliwa, srebrno-złota pożoga. Świetlany błękit nieba i morza bez cienia i skazy płonie wokół i drży od znoej sieżogi. Nawet delfiny nie odważają się wychynąć z chłodnych otehlani, nie igrają przed statkiem, nie pędzą z nim na wyprzódki, nie koziołkują wesóło. Srebrne rybki ledwie wyruną, natychmiast spadają z opalonymi pletwami. Nic nie maći bezruchu i jasności Oceanu oprócz parowca. Żaden wietrzyk nie trąca kryształów powietrza, prócz przeciągu, wywołanego ruchem statku. W tym skwarze „Armand“ dyszy i łomocze maszynami ciężko, jak zasapany wieloryb; jak wieloryb, wyrzuca wysoko wytryski swych dymów, a po białem jego cielsku sływa kropłami woda, lakier i smoła, jak pot. Nagrzane pomosty, blanki burt, żelazne kraty i okucia parzą w dotknięciu, jak ruszty kuchenne. Majtkowie wciąż obficie zlewają je wodą.

W kajutach upał i zaduch nie do wytrzymania. Nic pomagają ani wentylatory, ani drzwi i okna, naoścież otwarte. Kto żyje na pokładzie szuka cienia i przewiewu. Mężczyźni pozrzucali, co się tylko zrzucić dało, rozpięli kołnierze, w które już nie mieszczą się nabrzmiałe szyje, obnażyli ściśnione piersi i barki, złane potem...

Kobiety pochowały się po kątach.

— Patrzcie—goluśkie! Nawet koszule zwlekły... Jak

Boga Kocham!... Admiralska parada! — szepnął tajemniczo Joubert, zajrzawszy przez szparę do kajuty Japonek.

— Pokaż! Daj zobaczyć! — wołają żołnierze, tłocząc się a otworu.

— Uf! Dopiero teraz zrobili mi się gorąco! Gorzej niż w Tonkinie.

— Cicho, głupty, spłoszycie je!

Nikt im nie przeszkadzał, gdyż uszczęśliwiony „piegas” przyłączył się do nich, a więcej nie było nikogo. Zabiegliwsi zaczęli świdrować seczorykiem w wielu miejscach większe dziurki. Nastąpiła zdradziecka cisza, zamilkły nawet „samuseny”, a potem nagle wybuchł stłumiony śmiech i... rozpostarty papier zakrył od środka otwory.

— Boginie, miejcie litość! Zostawcie choć małą kruszynę... choć maluchną dziureczkę!

— Chodźcie na górę, tu już nie nie wskóramy... A tam poszukamy Polaka z jego miłośnicą... Tylko ani słowa: salutować i przechodzić w milczeniu, jak przed samym prezydentem — bez zaczepki! — pouczał Joubert.

Różycki urządził swoją nyżę z pewnym komfortem, nakrył ją wszechpionym w szparę parasolem, a na pakach rozpostarł kołdrę. Skoro tylko zobaczył na pomoście rodadzki, zaprosił je do siebie.

— Więc pani z Końskich? — Spytał „rudą”, — a dawno już?

— O dawno, pięć lat, a może i więcej, już nie pamiętam. Ja i po polskiemu zapomniała. Kate lepiej pamięta, bo ona umie czytać... I zawsze czyta, gdzie tylko może książkę dostać, czyta... My chcieli prosić pana o książkę, ale się wstydzieli, że pan pozna, co my Polki, bo pan pewnie polskie ma książki...

— Mam i angielskie i francuskie.

— Po angielsku to ja jeszcze przesyłabizuję, na sztydach nauczyłam się, ale tych Francuzów, to ja nienawi-

dzę... Takie gałgany, takie łotry! Co my im zawiniły? Niech pan powie, co?

Różycki mruknął współczująco i zwrócił się do Kate.

— A pani też z tamtych stron?

Zapłoniła się i opuściła głowę.

— Wszystko jedno, skąd jestem.

— Stamtąd też, stamtąd, ze Stąporkowa... Tam huta jest... Może pan tam był? Ona córka majstra... Ona z dobrej rodziny... My się znały z widzenia jeszcze dziećmi... Mój ojciec miał sklepik w rynku... Może pan zna Końskie?

— Znam, owszem,... byłem tam ze dwa lata temu... Mieszkałem w Czarnieckiej górze...

— W Czarnieckiej górze! Ach, znam... bardzo znam! My tam przywozili owoce, jaja, masło, a czasem i kurczęta... Kto tam teraz dostawia do Zakładu?...

— Teraz wszystkiego dostarcza Mordko, on też z Końskich.

— Aj, aj, znam go... biedak był wielki, a tylko szachraj! Teraz pewnie bogaty, co?

— Pewnie. Ma parę koni, bryczkę, jeździ...

— Aj, aj! taki miszures?! Słyszysz Kate o Mordee?.. Albo ja tobie lepiej powiem: „Kasiu“, bo to jak dawniej... Wiesz, co ja ci powiem, ty z tym panem pogadaj, to może ci się zrobi weselej?.. On dobry... A ja potem z nim pogadam. Co? Cheesz? Tylko niech mi pan powie, czy tam jest jeszcze ten duży piękny las w tej Czarnieckiej górze? Czy go już wyrąbali?

— Jest jak był...

O jej! Jaki to był ładny las!.. Jak tam pachniało!.. Prawda, Kasiu? A jakie tam były jagody!.. Ale ja już pójdę, bo ten czarny na mnie czeka, już się gniewa...

A pan niech jej wszystko opowie, może jej dusza zmieni... może się te nasze nieszczęścia skończy!

Różycki i Kate siedzieli czas jakiś, nie patrząc i nie mówiąc do siebie. Potem kobieta pierwsza podniosła powieki i spojrzała na towarzysza długim, badawczym spojrzeniem. Jej piękne, czarne, zamglone oczy rozjaśniły się jednak z wolna, jak gwiazdy.

— Więc dwa lata temu pan był... dwa lata temu?! Wszystko po dawnemu: staw przed hutą, dokoła ziemia, żuźłami wysypana, na rogu we wsi sklep, szynk... Dalej domy... Czy pan nie pamięta?... Piąty domek na prawo... łatwo poznać... Drzewo przed nim rośnie, stara grusza... A w sadzie przed oknami malwy wysokie, wysokie aż do dachu i słoneczniki... Nie pamięta pan?

Różycki patrzy w turkusową dal morza i mileczy.

— Nie, nie pamiętam!

— To może pan pamięta młyn za lasem... Szło się drogą piaszczystą... Ach, takbym poszła... bosymi nogami po ciepłym piasku... Piasek żółty... Dokoła sosny wysokie... Pachnie żywica, aż w piersiach spiera... Grobla między dwoma stawami... na stawach trzciny... Młyn stary, mehem porosły, siwy od mąki... Tam dziadowie mieszkali, mateczyni ojcowie! Do siedmiu lat u nich chowałam się... Było dobrze, pieścili mię... Czy ten młyn jeszcze miele? Kto go teraz dzierżawi? Nie wie pan?... Ach — westchnęła.

— A rydzów, rydzów, co było w tym lesie przy drodze... Rzeczka z kamykami... Pewnie i teraz niema mostu, trzeba w bród przejeżdżać... A kościół daleko za lasem... koło kościoła szkoła. Ale nie chodziłam do niej... Ojciec mi sam z początku wskazywał, a potem to mnie żona młodszego technika za pieniądze uczyła... Boże,

Boże, kiedy to było... Widzi pan, dawniej stamtąd wyjechałam, niż Sara... będzie więcej, niż dziesięć lat, więc pewnie nie wszystko pan zastał tak, jak przy mnie było?... Kto we młynie mieszka? A z majstrów giserskich czy pan kogo nie poznał? Może pan kogo przypomni sobie?... Może pan jakie nazwisko pamięta?...

Wziuszenie jej udzielało się Różykiemu, daremnie wszakże patrzył w dal morza, przypominając sobie szczygóły. Wszystko zatarło się prócz wspomnienia ślicznego, pachnącego, cienistego jak świątynia boru.

— Sara, Sara! Chodź zaraz! — krzyknęła nagle trwożnym głosem Kate.

— Aha! pewnie czerwone djabły idą! Ale czego się ty ich boisz? Ty się ich nie bój!... Ty sobie na nich pluń! Dlatego oni za tobą łażą, żeby twój strach zobaczyć... A ty im pokaż język, albo idź do kajuty... Ja jeszcze posiedzę sobie na zdrowem powietrzu... Ja ich się nie boję... Ja ich sama zaczepić mogę...

Tymczasem wązką przejściem wśród skrzyń przeciągał przed nimi szereg młodych hultajów w czerwono-błękitnych mundurach, świecący się od galonów, wesołości i zdrowia. Na czele maszerował Joubert, wyciągając po bocianiemu nogi, jak patyki. Przed nią Różyckiego zasalutował poważnie i poszedł dalej.

Kate już znikła, Różycki brwi zmarszczył, ale serjo rozgniewać się nie mógł.

Gdy jednak zdybał wachmistrza, miał z nim długą, cokolwiek zgryźliwą rozmowę, którą zakończył ostrzeżeniem, że nie chciałby się skarżyć kapitanowi, ale będzie zmuszony, gdyby...

Wachmistrz ruszał wąsami i nie nic odpowiadał. Ró-

życki wymiarkował z jego twarzy, że w razie sprawy będzie trzymał stronę towarzyszy.

Przy obiedzie Różycki przeniósł się do stołu rodaczek, za nim powędrował tam człowiek-ljana i czarny „bandyta“. Wojskowi zostali sami; nadrabiali minami i głośną rozmową, a Joubert starał się nawet po dawnemu dowcipkować, ale mu nie szło. Koledzy słabo podtrzymywali skąpym śmiechem jego najlepsze żarty. Bufetowy gryzł wargi i mścił się, podając najlepsze kaski wojskowym, a „szpakom“ co gorsze.

Nazajutrz rano Sara powitała już Różyckiego, jak starego znajomego.

— Gorąco było w nocy... Ja myślała, że już powietrza nie tyknę, tak mnie sparło!... Wie pan, co ja chciałyby list napisać do Końskiego... Adres to my napiszemy po prostu: w rynku. Co ja stracę, nie nie stracę! Markę pocztową stracę, a to ja mogę!.. Niech pan napisze, że się im kłaniam, że o nich pamiętam, że wrócę, jak się dorobię... Że nieźle mi idzie... Że im nawet trochę pieniędzy wyszłę, tylko muszę mieć dobry adres... Niech mi go napiszą! Co?

— A dokąd mają odpisać?

— No, niech odpiszą do Kair... Tam my jedziemy. My wzięły bilety do Suez, a stamtąd do Kair to już blisko... W Kair na początku zimy wielki zjazd, to można dobrze zarobić...

— Panie tak wciąż jeżdżą z miasta do miasta?...

— Tak, jeździmy. To niezgorszy interes. My nawet pościel z sobą wozimy. Nasze rzeczy poszły na fracht. A przy nas najpotrzebniejsze ubranie... Kate chciała wszystko sprzedać, ale jej nie dałam... Gdyby ona tylko chciała, jak dawniej być, to by złoty interes. Ona

i wiersze powie, i zaśpiewa, i wesoła, zna rozmaite żarty i sposoby. Sama wymyślić może, a już tych historyjek i przypowiastek, co panowie lubią, to ona jak z książki czyta... Cóż, kiedy to wszystko przepadło! — westchnęła.

Różycki z przykrością spojrział na wdzięczną sylwetkę młodej kobiety, wspartej opodal o burtę statku. Uderzyły go boleśnie szlachetne zarysy jej ładnej głowy, uwienieczone splotami kruczych włosów, przepięknie odrzynające się na przesłonecznionym błękiecie. Takie to wszystko wydawało się czyste, niepokalane, wdzięczne, że drgnął mimowoli, gdy sobie wyobraził, co ci „panowie“ wyrabiali nieraz z tą młodą a uroczą jak kwiat kobietą.

— Pan mówił, co pan ma jakąś książkę, to niech jej pan da!.. Bo jak te żołdacy tu znowu przyjdą, to ona zaraz ucieknie... ja wiem... A może pan ma jaką wesołą książkę... taką dla mężczyznów?.. To ja bym bardzo pana prosiła... może by ją to znowu poprawiło?.. Co?! My by mogły wtedy w Kair dobrze popracować... Ja bym panu nawet za taką książkę zapłaciła, co by pan chciał... Kate, Kate! Chodź no tutaj!... Pan ci da książkę! — prosiła ponownie.

Kate niechętnie zwróciła ku nim głowę. Sami podeszli do niej.

— Towarzyszka pani prosi o książkę dla pani... Mam taką jedną polską książkę, ale niech mi pani jej nie zgubi, to moja przyjaciółka!..

— Przyjaciółka pana?... polska książka?! — ucieszyła się — Bardzo panu dziękuję. Oddam, oddam w całości. A jaka książka?

Różycki wymienił tytuł.

— Może pani już czytała?

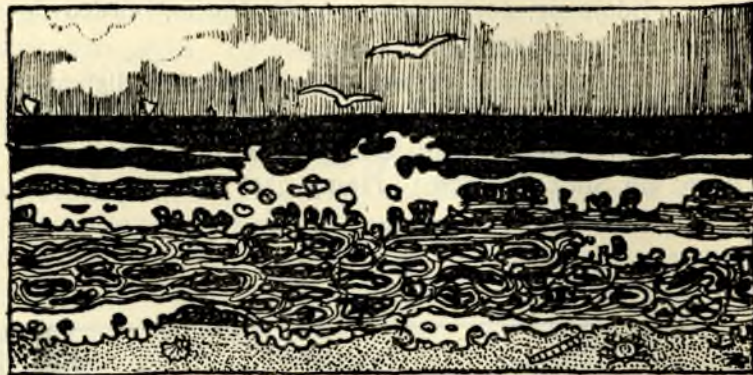
Kate zmarszczyła brwi i usta jej drgnęły.

— Zdaje się, że czytałam... Ale dawno, bardzo dawno... Nie pamiętam!..

— Wprzód niech jej pan da tę książkę, a list napiszemy potem... W Sajgonie staniemy dopiero jutro w południe... Zresztą list tym samym statkiem z nami pojedzie aż do Suez, ja wiem! Mamy czas! Co?!.. Ja prawdę mówię?!..



(Ciąg dalszy nastąpi).



GRZMIĄ BURZLIWE STRUN AKORDY...

*Wszystko, wszystko z serca cieśni
Przebrać w tony, zakląć w pieśni —
Niechaj bucha śpiew! —
Niechaj dzwoni serca tętno
Nutą twardą a namiętą —
Czerwoną, jak krew!*

*Niech nad wrzaski i nad mordy
Grzmią burzliwe strun akordy —
Niebosiężnych strun. —
I szeroko ponad światem
Rozlewają się szkarłatem
Pożarowych hu...*

*Przestoneczne miałaś błyski,
Polsko moja, u kołyski —
Promienisty dzień...
Lecz mijaly szczęsne chwile,
Sny pokładły się w mogile —
Padł dokoła cień...*

*Widzę, widzę — oto sępy
Rwą sztandarów twoich strzępy —
Starej sławy skon...
— Precz mi, harfo, precz mi, skarga!
Zamilcz, bo dłoń ze strun starga
Rozplakany ton.*

*Zamilcz! Jak to serce w tonie,
Niechaj struna mi rozplonie,
Niechaj ogniem skrzy!
Przeminęło, zgasło szczęście —
Zdławić serce, zcisnąć pięście,
Zgnieść na oczach łzy!...*

*Podnieść głowy niepoklonne,
W Chrystusową cierń koronne
I granitem stać!
Wszystkie gromy, wszystkie razy
Brać w swych piersi dumne głazy —
Wszystkie bóle brać...*

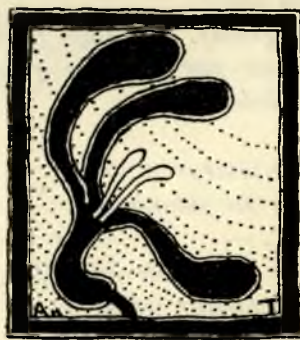
*Nie miłości i nie wiary
Godła kłaść nam na sztandary,
Jeno ducha moc... —
— Bracia! Czy to w dali dnieje?
Czy już sniony sztandar wieje?
Czy to kona noc?*

*Walką przestwór się zadymia,
I potężna i olbrzymia
Wstaje wizja - cud:
Ponad rany krwią ohydne
Czoła czyste, zdala widne —
Dumny, mrący lud...*

*Usta harde i zacięte, —
Oczy, wielką myślą święte,
Patrzą w wrogów zwał...
Przebóg! — pieśni brzmiały wybuchy —
I widomie wstają duchy
Z unieczonych ciał!...*

*...I nad wrzaski i nad mordy
Grzmiały burzliwe strun akordy,
Niebosiężnych strun —
I szeroko ponad światem
Rozlewają się szkarłatem
Nowych wschodu łun!...*

ROMAN KRECZMAR.



DR. ERNEST ŁUNIŃSKI.

SPISEK SMAGŁOWSKIEGO

A KSIĄŻĘ REICHSTADTU.

(Dokończenie).



ad Pełtwią zamknięto go w policyjnych aresztach i poddano przesłuchaniu w sądzie karnym między dziewiątym września a ósmym października. Na nowym gruncie zmienił Smagłowski sposób postępowania, starał się zatuszować dramatyczne wyrażenia o Austrii, zanotowane w protokołach Nowosilcowa, dostarczonych następnie galicyjskiemu trybunałowi. I jak w Warszawie podawał się za głowę, źródło twórcze i natchnienie całego zajścia, aby nadać rzeczy rozmiary nie nieznaczącej awanturki i ująć karzącą dłoń,— tak obecnie, wobec czyhającej w innych ramach sprawiedliwości, przekształcił się z proteuszową zwinnością, odwrócił proporcję, rozdał zamierzenie do wielkiego zdarzenia, do potężnej, uświadomionej podziemnej roboty, a siebie przedstawiał za niewinną ofiarę, martwe narzędzie

w żelaznych kleszczach, popychadło, zwykle „przechodowe ogniwo stowarzyszenia wyższego“, człowieka, napędzonego do działania groźbą śmierci, zostającego zatem pod nieodpornym przymusem. Dlatego wymyślił arcy-romantyczną bajkę i w jaskrawych obrazach rozwijał jej panoramę przed cierpliwymi sędziami lwowskimi, zaznaczając na każdym kroku swoją małość i podrzędność.

Historja przygody z tysiąca i jednej nocy brzmiała zajmująco.

Skutkiem roztoczenia w rozprawie o Jagielle poglądów państwianiańskich, wezwał go w styczniu 1829 r. tajemniczy komitet do stawienia się w kamienicy Resslerowskiej, na Krakowskim Przedmieściu. Dopiero po trzechkrotnie ponawianem żądaniu udał się na wyznaczone miejsce. Przystąpił do niego jakiś człowiek, zaprosił do fjakra i przezornie otulił wojskowym płaszczem. Pojazd zatrzymał się na skraju lasu Marymoneckiego. Niby z pod ziemi wyrosły dwie zamaskowane postacie z nożami, podobnymi do kucharskich, u boku, przestłoniły mu oczy, włożyły na głowę czapkę futrzaną, związaną pod brodą tak, że nie widział i, wzięwszy go pod boki, wiodły kilkanaście minut po zakrętnych ścieżkach. Znalazł się nareszcie w szczupłej izbie, raczej przygodnie skleconej budzie, powleczonej kramarską płachtą, rozjaśnionej światłem lampki, z której mdłych blasków wynurzyły się sylwetki trzech osób, siedzących za stołem, w maskach w kształcie plastrów, przymocowanych do twarzy czarnymi wstążkami, z doprawionemi wąsami, faworytami i okularami... Mimo zimowej pory nie czuł mrozu ani wiatru... Z za ścian, wzniesionych prawdopodobnie z trwałszego materiału, słyszał poszepty liczniejszych głosów. Zląkł się, gdyż jeden z widomego tryumwiratu (towarzysz z fjakra i dwaj inni z lasu przepadli tymczasem) mówił z rosyjska i raz po raz powtarzał: da, da... Uspokojono

go zapewnieniem,—że to brat... Potem kazano mu składać przysięgę na krzyżu, postawionym na pniaku obok ćwierćłokciowego sztyletu i trupiej główki.—„Ja iniejał — to jej tenor—poświęcający się ojezyźnie, przyrzekam wam, ziomkowie moi, słowem nigdy przezemnie niezłamanem na to, czego w tej chwili żądacie, to jest niewyjawiania nawet przed przysposobioną młodzieżą okolicy, w którą się udaję, abym na waszych bywał posiedzeniach, również strzec się będę sposobu opowiadania, jakim mnie przyprowadzacie“. Jeden z obecnych dodawał: „na największą sprawę naszą przysięgamy, że zdrajca od tego polegnie żelazal“... Zaledwie zmiłkły uroczyste zakłęcia, podniósł się spiskowiec w środku, między dwoma innymi i prosił przybysza, aby wypowiedział się w kwestji koronacji. Wówczas Smagłowski równie ciemno odparł,—jakby chciał dopełnić niezrozumiałego, wokół spełniającego się, misterjum: „niech zgromadzenie oprócz wpływu na oświatę, który teraz wywiera, i godności, jaką piastuje w kościele (1), uzyska jeszcze władzę rycerską pod tytułem członków—zbawców ojczyzny!...“ Z chwilą złożenia ślubowania przestał być sobą, bał się własnego cienia. Zwykłe narzędzie w obcych dłoniach kręcił się, jak chorągiewka, za podmuchem nieznanych mu żywiołów. Robił, co kazano, w obawie czyhającej na niepostulanych śmierci od puginału. Sam nie został członkiem zgromadzenia, nie przystąpił do wielkiego ołtarza tajemnic, chociaż roztwierano przed nim zaczarowane i zaklęte w milczenie kraje, gdyż pragnął zwalić ciężar odpowiedzialności na bardziej powołanych i poważnych. Nie znał nikogo, nie widział nigdy żadnego odsłoniętego oblicza. Podjął się ściągać młodzież bez wymieniania wszakże własciwych twórców i dlatego powołał do życia pod własną firmą „Wieniec“. On był jedynie „przechodowem ogniwem stowarzyszenia wyższego“, — owej kuźni spiskowej

z Marymonckiego lasu, kółkiem obrotowem, bezradną, wyrokami zagrożoną, niemocą. Udało mu się przynajmniej wymóc zaniechania gwałtu przeciw członkom panującej rodziny. Odkąd los rzucił go na pastwę nieszcześliwej awantury, stracił wolny oddech. Ile razy chciał zetknąć się z Marymontczykami—jak ich przezwał—powtarzały się zawikłane praktyki, z niecodziwną maskaradą. Zawsze musiał podkładać pod kamiennego lwa przed namiestnikowskim pałacem karteczkę, biały patyczek lub kawałek piórka nanizanego na nitkę, poczem na drugi dzień zachodził do Resslerowskiej kamienicy, czasem do kościółka za źródłami, gdzie już czekał wysłaniec partji. Od wplątania się w przygodę prześladowały go czujne argosowe oczy. Wystarzało przypadkowe spotkanie się na ulicy z agentem policji, Goreckim, aby go o zmierzchu zabrano z Łazienek, zawieziono do Marymonckiego zakamarka i nastraszono boleśnie. Znowu siedziała nieruchoma trójca,—istny sąd westfalski... Rozpoczęło się badanie, ciągnięcie za język, krzyżowy ogień pytań. Jeden z trybunału odchylił czarne sukno z pnia i rzekł: „Patrz, co zdrajców czeka!“ Na drzewie był kubek i zwykły nóż kucharski z małym sztylcikiem. Żachnął się z oburzenia, zaczęto go przeproszono i wygłoszono dla podniesienia patrijotycznego nastroju wiersz Tymowskiego: „O! ty, co ogień rozpalasz w mem łonie, ojczyzno! — ciebie szukam, za twem szczęściem gonię. W twej sprawie piramidy i alpejskie skały nieraz szczękiem oręża sarmackiego brzmiały...“ Ogółem uczestniczył w czterech czy pięciu posiedzeniach. We wnioski obfitowało drugie. Odrzucono jednomyślnie na niem targnięcie się na życie monarchy, natomiast roztrząsano zamiar zawikłania Rosji w wojnę, aby umożliwić postępowemu odłamowi stronnictw wewnątrz cesarstwa zburzenie samowładztwa. Poważnie zastanawiano się, jak postąpić w razie niezatwier-

dzenia ustaw Aleksandra, dokonania zamachu na obrządek łaciński i próby zamienienia Kongresówki na gubernję. Wystąpił tedy Smagłowski z planem wyprawienia do monarchy deputacji z osób cywilnych i wojskowych i zażądania przez jej usta przysięgi konstytucyjnej, a dopiero na wypadek odmowy ogłoszenia aktu detronizacji. Wywiązała się gorączkowa rozprawa i ostatecznie przewaga (zawsze niewidoczna, za ścianą) była przeciw wszelkiej połowiczności, wszelkim układom i „uczoności“. Zmienił zatem Smagłowski front i rozwinął myśl otoczenia panującego i członków dynastji w sali koronacyjnej, aby wymusić w obowiązującej formie uszanowanie praw zasadniczych, lub z jego odmówieniem ofiarować berło komu innemu. Pomysł spodobał się. Polecono Smagłowskiemu zaciągnąć chętną młodzież, a „reszta miała być przez związek wyższy“, owych Marymontczyków, dokonana. Pojawiły się zaraz kandydaty Piasta, jak za dobrych czasów Rzeczypospolitej, księcia Leopolda sasko-koburskiego i księcia Reichstadtu. Za ostatnim rozwinął eks-kleryk żywą argumentację. „Jego Najjaśniejsza Mość, książę Reichstadt, — rozumował — potomek bohatera-monarchy pod którego chorągwiami tyle uzyskaliśmy sławy, dziś bez tronu, zdatnym jest do korony naszej, bo utrzyma nam konstytucję w swej nietykalności, przeniesie ustalenie praw austriackich w Królestwo nasze, które niezbędnie tego potrzebuje. Nadto spodziewaliśmy się, że jego cesarska mość austriacka, jako dziadek rzeczzonego najjaśniejszego księcia, przyczyni się do tego wyboru, ustępując niejako w posagu albo części Galicji albo oddając do samego Królestwa dziś wolne miasto Kraków“. Osadzenie zaś Polaka na tronie zwalczał z następujących powodów: „Nie życzyłem krajowi uzyskania wszystkich prowincji, które Rosja zagarnęła dlatego, abyśmy w chwili powstania mogli rachować na pomoc samych Rosjan, którzy żą-

dają konstytucji i którzy z uszczerbkiem przywłaszczonego oddawna kraju naszego nie byłiby nigdy stronie naszej przychylnymi“... Dopiero na trzeciej sesji, w początkach marca, zgodzono się czterdziestu dwu głosami na powołanie syna Napoleona i przedstawiono Smagłowskiemu gotowe już wypracowanie, zmienione nieco po myśli Marymontczyków, przewidujące powstanie federacji słowiańskiej. Dokument był ułożony alfabetem symbolicznym, a zamiast podpisów widniały na nim trzy rodzaje znaków, jako zewnętrzny wyraz trzech klas, z których składało się towarzystwo. Przy każdym znaku figurowała liczba porządkowa, celem odczytania nazwisk, których lista spoczywała w rękach prezesa, czyli starszego brata. Bliższych wyjaśnień o trójjedności i stopniowaniu spiskowych wzorem łóż wolnomularskich nie umiał podać eks-kleryk, z wyjątkiem, że członkowie najniższego szczebla, inicjałowie, (on do nich należał) nie wiedzieli o niczem i nie byli dopuszczeni do zebrań... Na czwartym posiedzeniu oznajmiono mu, że związek słowiański ma być zrzeszeniem państw pod własnymi monarchami, — jak achajski lub niemiecki... Gdy go dotknęła „cicha relegacja“ stracił z oczu Marymontczyków, — tylko od czasu do czasu znajdował kartkę na drzwiach swoich z tajemniczymi słowami: „strzeż się!“ lub „nie martw się, wszystko będzie dobrze“... Zapytywany w sprawie ujemnych, obrażających Austrję docinków, poczynionych w zeznaniach warszawskich, bronił się przekręceniem jego słów, — które ostrzem swoim zwracały się przeciw Rosji nie habsburskiej monarchji ¹⁾).

Ciężka kara za zbrodnię stanu zawisła nad głową niedowarzonego polityka.

¹⁾ Wszystkie szczegóły według protokołów zeznań Smagłowskiego w lwowskim sądzie karnym. Arch. Bernardyńskie.

Gubernator Galicji, książę Lobkowitz, przesyłał akta śledcze lub sprawozdania z nich do biur ministerjam spraw zagranicznych w Wiedniu. Metternich, główny prześladowca syna Napoleona, dostarczył br. Oechsnerowi wyniku lwowskich badań, prosił o dotarcie do namacalnych śladów sprzysiężenia, zawiadomienia o wszystkim w sposób najpoufniejszy wielkiego księcia Konstantego i „pozostawienia mu dalszych rozporządzeń w kwestji“¹⁾. W Belwederze nie zrobiły żadnego wrażenia sensacyjne odkrycia Smagłowskiego, chociaż zarówno przed Szwejkowskim jak Nowosilcowem zamilezał o istnieniu spisku. Cesarzewicz — wielkorządca wzruszył podobno obojętnie ramionami i uznał rewelacje za twór chorego umysłu lub rozmyślne usiłowanie wprowadzenia władz w błąd. Wyraził jednak pragnienie, aby wicherzyciela wzięto pod stały nadzór i przeszkodzono mu wrócić do Królestwa..., „gdzieby bez wątpienia oddał się na nowo nierozumnym i zbrodniczym zabiegom“²⁾. W wykonaniu tego życzenia polecił prezydent policji, hr. Sedlnitzky, gubernatorowi Galicji z wyraźnego rozkazu kanclerza, rozciągnąć ustawiczną kontrolę nad więźniem lwowskim i odciąć mu możliwość udania się za kordon³⁾.

W więzieniu prześlęczał Smagłowski koło dwóch lat.

Wyjątkowo wyrozumiałe postępowanie władz rządowych w Królestwie stało się też źródłem niezaszczytnych domysłów. Oechsner widział w Smagłowskim agenta pro-

¹⁾ Arch. dworu i państwa w Wiedniu. Weisungen an Baron von Oechsner. Metternich do Oechsnera, 5 października 1830 r.

²⁾ Tamże. Konsulate. Oechsner do Metternicha, 22 października 1830 r. Załączył do relacji notę br. Mohrenheima, zawierającą odpowiedź wielkiego księcia.

³⁾ Tamże. Weisungen. Metternich do Oechsnera, 21 listopada, 1830 roku.

wokacyjnego lub umysłowo chorego, Niemeewicz, szpiega Szaniawskiego, Sołtyk, podejrzanego człowieka, wielki ksiązę Konstanty, mistyfikatora... Wszelkie posądzenia mogły być cieciami w puste powietrze. Cóż łatwiejszego było, jak zostać wówczas za lada potknięciem nogi judaszem ze sfery Różnieckiego? Jeżeli podzegał z cudzej namowy, padł kozłem ofiarnym czarnych duchów. Nie było w nim z pewnością świadomej złej woli, ani niszczyielskiej pasji za srebrniaki ze szkatuły tajnej poliejii, nie było nic z fizjognomji zdrajcy—zбира, podkładającego pożar i rozdmuchującego iskry z djabolicznym spokojem. Czyn jego nie miał planu i zdrowego sensu, przedstawiał wieżę chaosu, igłę przekutą na widły,—gaskonadę, pewien rodzaj żartobliwej larwy, którą dzikość czasów i nieprawidłowość stosunków wykrzywiły w poważny grymas... Chorobliwie ambitny, załamał się w początku swej odyssey na granicy między chłopięcą igraszka a surowością życia. Jak uczeń chciał świat ubrać w szaty doktryn, zaczerpniętych ze studenckich skryptów. Pewnie nie mniej od drugich, a może stokroć goręcej, kochał niedolę swego kraju. Z takich zadatków wyrastali gdzieindziej ludzie hartowni po ustaniu się moszezu i postarzeniu młodego wina, w Królestwie zaś ginęli w sekcjarstwie politycznym i przedwczesnych wzlotach w roli przewódców... W śledztwach okazał dar orjentacyjny, umiejętność zabarwiania rzeczy i mijania się z prawdą. Instynkt zachowawczy kładł mu w usta dziwy nad dziwy i wytworzył z nich istny teatr marjonetek, nakręcany rozmaicie w miarę potrzeby. W innych ramach, niż społecznych polskich, należałby pomysł Smagłowskiego do właściwego zakresu, do wybryku żaków — studentów, zatopionego w protokółach uniwersyteckich; na swojskim gruncie, przesiąkniętym jadem prowokacji i intryg, nabrał odmiennego znaczenia. Ponętniejszym jeszcze dla historii uczyniły go pewne ana-

logje ze spiskiem koronacyjnym podchorążych. I tu i tam ukazało się nazwisko Niemcewicza, jako cień ostrzegawczy, donośne *memento*, uchwycone w „Kordjanie“:

„Wstrzymać ich, na Boga!

Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi proga,
 Niech spisek z czarną twarzą na świat nie wychodzi,
 Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
 Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
 Bo mogę wezwać prochy królów na obrońce”...

Tu i tam odbiło się echo prawie równobrzmiących żądań, które miano postawić przed koronacją. Bo zniszczenie artykułu dodatkowego w programie podchorążych i ewentualne wywołanie powstania pokrywało się z wymuszeniem gwarancji konstytucyjnych, uplanowaniem przez Smagłowskiego i idącym za nim wypowiedzeniem wierności. Pomijając inne bałamuctwa, niepodobieństwa i śmieszności pomysłów eks-kleryka, już obie powyższe styczne narzucają pytanie, czy zaprodukowani we Lwowie „Marymontczycy“ nie byli podchorążymi, a „Wieniec“ ich ekspozyturą, ogniem i wabikiem na młodzież akademicką? Są to pokrewieństwa o powierzchniowym podobieństwie. Wszystkim zarówno ciężła sprawa obkrojenia konstytucji, dążono do odzyskania czystej karty wolności Aleksandra I, nie zatem zastanawiającego, że wspólne pragnienie znalazło słabszy lub potężniejszy oddźwięk w sercach jednostek. Toż z Niemcewiczem. Adjutant i powiernik Kościuszki uchodził za symbol całości i niepodzielności ojczyzny, a jego rada za chryzmat i namaszczenie dla przedsięwziętej sprawy. Odpowiedzi sędziwego poety były zresztą różne, i inną dał Krotkiemu, inną Karolowi Paszkiewiczowi. Może być,—że coś z tajemnicy podchorążych przeciśnięto się do szerszej wiadomości i otarło o uszy Smagłowskiego... Całe przedsięwzięcie jego nosiło zresztą

znamiona naiwnej roboty, wyraźnego *foetus in promptu*, mocno następnie zabarwionego i puszczonego przez alembik dobrze przeprowadzonej obrony w Warszawie i Lwowie. Do godności dziejowej podniosła je także okoliczność, że jedno z pragnień spiskowca polskiego żyło na dnie duszy księcia Reichstadta...

Syn Marji Ludwiki tłukł się w złotej klatce w Schoenbranie i mimo starań urzędowej pedagogji nie szedł w ślady zwycięzcy z pod Malplaquet, Zenty, Hochstedtu,—Eugieńjusza Sabaudzkiego. Opięty w mandar pułkownika austriackiego regimentu księcia Wazy trzymał się twarde przykazania testamentu Napoleona, które mu kazało pamiętać, że *est né un prince francais*,—zaczem wzdychał do zbawczego cudu, do zielonych stoków Wogezów, do minionej przeszłości rodzica ¹⁾. Sto wichrów huczało w jego głowie, dusza rwała się do „bezgranicznego pragnienia czynu“ i ziszczania wizji „nadzwyczajnej ambicji“. Wybiła godzina burz, trony waliły się: Belgja i Grecja stanęły w znakach zawieruchy. W obu chciano wnuka cesarskiego osadzić na tronie. Twarde, Metternichowskie *non possumus* utworzyło przeszkodę, niby ostrą, najeżoną, nie dającą rozsadzić się skałę. Lipcowa rewolucja w Paryżu olśniła smutny widnokrąg księcia i oblała go barwną tęczą nadziei. Na bulwarach brzmiał znowu potężny okrzyk: „Niech żyje Napoleon III!“ Jeden z wykonawców ostatniej woli wygnańca z wyspy Św. Heleny, generał Montolon, obiecywał dworowi wiedeńskiemu w swoim i w imieniu przewodcy lewicy, Mauguin’a, złote runo za dostawienie „króla Rzymu“ do granic Francji, bo panowanie nad całemi Włochami i Polską, a nawet wskrzeszenie

¹⁾ Schlitter. Testament Napoleon Bonapartes. (Punkt czwarty pierwszego artykułu testamentu). Archiv für Oestereichische Geschichte. Band, 80.

świętego cesarstwa niemieckiego pod berłem dynastji habsbursko-lotaryńskiej. Dla prześlągania Metternieha ofiarował mu na nawiązkę zdradzenie tajemnie rozmaitych sekt i łóż wolnomurarskich, tudzież wspólne zwalczanie jakobinizmu ¹⁾. Próżne zabiegil Ksiąę Reichstadtu został poza nawiasem wszelkich kombinacji! Każde nowe zdarzenie działało na niego ocucajaco, — rzeźwiąco. Na wiadomość o wypadkach nad Wisłą wstrząsnął nim dreszcz wiary, ale i katuszy... Nowe rozchylenie ramion do wolności, do wydobycia się z pętówl.. Polskę i Polaków kochał bardzo i za wierność ojcu dochowaną i za rycerskość, poświęcenie, okazane w obronie domowych ognisk. Przy każdej sposobności podnosił piękne rysy dziarskości sarmackiej, wyższą miarę zapła, bohaterstwa, niż w samych nawet Francuzach. Ubolewał też nieraz, że ojciec zamiast wskrzesić dawną Rzeczpospolitą i przy jej udziale zapewnić sobie zwycięstwo, hazardował niepotrzebnie wyprawę na Moskwę. Przed swoim zadłanym i druhem serdecznym, hr. Prokesch-Ostenem, zwierzał się: „Gdy wybuchnie powszechna wojna i stracę widoki odzyskania Francji, a z zamieszania wyłoni się zjednoczona Polska, życzyłbym, aby mnie oddała się. Naprawiłbym ciężki grzech przeszłości“ ²⁾. Słowa te znalazły mimowiedny oddźwięk. Nazajutrz, po wybuchu w Warszawie, trzydziestego listopada, przebiegał konno ulicę pewien francuski oficer w galowym uniformie, ozdobionym trójkolorową kokardą, w towarzystwie ogromnego tłumu i wołał gromko: „*Vive Napoleon II, roi de Pologne!*“...³⁾ Na posie-

¹⁾ Wertheimer: Der Herzog von Reichstadt. Str. 379.

²⁾ Prokesch—Osten: Mein Verhaeltniss zum Herzog von Reichstadt., selbstbiographische Auisaetze. Stuttgart, 1878. Str. 18, 35, 36.

³⁾ Archiwam dwora i państwa w Wiedniu. Konsulate. Relacja karjera gabinetu wiedeńskiego, Renarda, który przybył do War-

dzenia sejmu z 4-go lutego 1831 r. przytoczył poseł Dembowski, jako dowód, że rewolucja pragnie rządu monarchicznego, artykuł *Journal des Débats*, odzwierciedlający zamiar partji wojennej powołania na tron zwycięzcy z pod Aspern, arcyksięcia Karola, ewentualnie książąt Nemours lub Reichstadta...¹⁾ Odgłosy wydarzeń w Kongresówce przeciskały się do Schoenbrunn, dolewały oliwy do ognia i przepajały nadwątlony suchotami organizm młodzieńca gorączką wypłynięcia na morze dziejowe. Po Belgji, Heladzie i wymykającej się Francji widział w Warszawie ostoję, deskę ratunku i sposób odegrania znaczącej roli. Każda wiadomość stamtąd dochodząca oszołomiała go, jak uderzenie pioruna, elektryzowała i przyprawiała o nerwowe paroksyzmy. Wdechając wojenne powietrze od wschodu, musiał kryć wzruszenia i maskować przed badawczym otoczeniem wewnętrzny szal udanym spokojem na pięknej, bladej twarzy. Hamował się ze strasznym nakładem trudu i wytężonej męki. Gdy sam na sam został z ucziwym, współczującym Prokeshem, wchłaniał cheiwie dziennikarskie nowiny, o wyzwolenieczych zapasach Polaków, poczem wodząc błędnymi oczami po czterech ścianach komnaty padał pół-omdlały na szeszląg — „opłakiwał położenie swoje i nieprzeniknione mroki przyszłości“, której ani sam ani wrażliwy przyjaciel rozjaśnić nie umiał. W podobnej rozterce dał raz Prokeshowi rysunek konia Napoleona I, własnej ręki, podług Horacego Vernet'a, symbol zwierzęcia, które wielkiego wojownika wio-

szawy 29 listopada o godzinie 7-ej wieczorem. 5-go grudnia opuścił stolicę Królestwa i przywiózł nad Dunaj wiadomość o powstaniu. Patrz: Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. 5 Band. Metternich do Ficquelmonta. Str. 83.

¹⁾ Dyaryusz sejmu z r. 1830 — 1831. Wydał Michał Rostworowski. T. I. Str. 491. Posiedzenie z 4-go lutego.

dło do zwycięstwa. Ustawicznie „śledził z największą uwagą, jakby o jego sprawę chodziło — wojenne wypadki i drżał nad błędami, które odkrywał bystrem okiem i połączone z nimi obawę o wynik walki“.¹⁾ Przed jednym ze swoich wychowawców, radcą rządu dolno-austrjackiego, profesorem uniwersytetu, br. Józefem Obenausem, nie mógł opanować coraz bardziej wzbierającego nartu wstrząśnień psychicznych: „Obserwuję się częściej — rzekł — w lastrze i myślę: skronie te nosiły już koronę, a obecnie ogołoczone są z wszelkiej świetności. Jeżeli Polacy obiorą mię królem, utrzymam równowagę między Austrią a Rosją“²⁾. Za ledwie wypowiedział te słowa, rozbił przez nieuwagę lustro, które miał w dłoni, i uważał tę drobnostkę za złowrogi prognostyk dla swego planu. Tak bujając ciągle po niebotycznych szlakach, rozciągnięty skutkiem choroby i cierpień moralnych na łożu Prokrusta, — z demoniczną mocą chciał wyfrunąć z żelaznej obręczy znienawidzonych stosunków, zaludniał światy swoje marzeniami o Królestwie, one były jego piołunem ale i podniecającym narkotykiem. Klasyczny świadek niemej tragedji stwierdził: „nie ulega żadnej wątpliwości, że pozwoliłby się z radością i bez wahania wprowadzić do Polski, gdyby tylko znalazł się uwodziciel“, aby dokonać prawdziwych cudów na czele bitnego narodu...³⁾ Książę nie pozostał w odosobnieniu ze swojemi marzeniami. W pewnej części wyż-

¹⁾ Prokesch—Osten l. c. Str. 40—41.

²⁾ Tagebuch des Freiherrn von Obenaus. 4 Juni. Ohne Jahresangabe. Z rękopisu tego pamiętnika, będącego obecnie w posiadaniu wnuka wychowawcy księcia Reichstadtu, pensjonowanego generała von Obenausa, korzystał Wertheimer. Str. 348. Słowa odnośne księcia brzmiały: „Wenn mich die Polen als Koenig waehlen, so will ich das Gleichgewicht zwischen Russland und Oesterreich erhalten“.

³⁾ Prokesch—Osten. l. c. Str. 35—36.

szego wiedeńskiego towarzystwa wyłonił się zamiar wysunięcia go na króla Polski i stworzenia w ten sposób wału ochronnego przeciw Rosji. Zawziętą krzewicielką pomysłu była pani Grasalkovich, z domu księżna Esterhazy, kobieta wpływowa, uduchowiona, chociaż nader namiętna i wybuchowa. Nieodstraszona niezem, broniła projektu przy poparciu węgierskich współziomków w kołach kanclerskich, bez zwracania uwagi na słowa Metternicha: „raz na zawsze od wszystkich tronów wykluczony!...“¹⁾ Pod młotem tego powiedzenia padły fantastyczne gmachy. Bole księcia Reichstadtu przeżyły tylko krótko zgliszcza, dymiące z polskich pobojuwisk, były ich pogrobowym cyprysem. Kto wie, czy skruszenie się tej ostatniej kotwicy, nie przyspieszyło katastrofy i nie wpłynęło poważnie na skoszenie młodego, do słońca nieśmiertelności wijącego się życia. Gdy gwiazda księcia zagasta na wieki w Schoenbrunie 22 lipca 1832 r. mogli i Polacy do urny też, spływających ze źrenic tysięcy, przelać także swoje i powtórzyć strofę ody Wiktora Hugo:

„Tous deux sont morts... Seigneur, votre droit est terrible;
 Vous avez commencé par le maître invincible,
 Par l'homme triomphant;
 Puis vous avez enfin complété l'ossuaire;
 Dix ans vous ont suffi pour filer le suaire
 Du père et de l'enfant“!...²⁾

¹⁾ Tamże. Str. 40—41.

²⁾ Victor Hugo: Oeuvres complètes. Paris. 1880. T. III. Str. 52. Zauważyć należy,— że na podstawie znakomitego dzieła Wertheimera oparł swoją pracę Masson: Napoléon et son fils. Paris 1894. Deuxième édition. Dochodzi on jednak do innych konkluzji i widzi w księciu Reichstadtu potomka po kądzieli Habsburgów, wiernego idei dynastycznej, która Napoleona przyprowadziła do drugiego małżeństwa.

Tragedja w Schoenbrunie roztwarła drzwi celi przed Smagłowskim. Nie wydawał się groźnym władzom austriackim na tle gruntownego przeobrażenia. Przecież już znamknął oczy syn Napoleona, a z Kongresówki zostały popioły... Na wolnej stopie wrócił do dawnego zajęcia i guwernerką u obywatelstwa ziemskiego zarabiał na chleb powszedni. Ożeniwszy się z Józefą baronówną Lasollaye, córką właścicieli Frysztaka, (družbował mu Pol) wziął w przededniu wichury galicyjskiej z 1846 r. w dzierżawę Wolę Grządzką, w cyrkule tarnowskim, satrapii starosty Breinla, przyjaciela Szeli, tego samego, co za szlacheckiego trupa wtykał grosze w chłopskie, krwią splamione, dłonie. Zbity okrutnie wraz z szwagrem swoim, Treterem, leczyl się w Tarnowie, i został uznany przez lekarzy za należącego do kategorii „najniebezpieczniej chorych“ ¹⁾. Majątek ograbiono, żona i dzieci zaledwie ocalały! Ze szpitala zawleczono go wprost do więzienia, podejrzewając o knowania rewolucyjne. W samotni celkowej odczwał się w nim duch wierszoroba. Skupił go całego w tej, która w nim drżała rozegraną harfą. „Polsko moja! tak-kaś biedna, wszystkoć zdarto, tak masz mało, że wśród tylu świata ludów jesteś tylko sama jedna, a z powodu krwawych trudów serecé tylko pozostało“. ²⁾ Przed świętem „wiosny narodów“, pamiętnym 1848 rokiem, opuścił więzienie i osiedlił się we Lwowie. Wierny swoim zasadom, popłynął na fali wypadków i z grona literatów wszedł w skład deputacji adresowej do Wiednia. Znalazł się w towarzystwie w tym samym celu wyprawionych: Jerzego Lubomirskiego, Florjana Ziemiałkowskiego, znakomitego dzien-

¹⁾ Visum et repertum der ämtlich fungierenden K. K. Kreis-Aerzte etc. Paryż 1872. Świstek ulotny.

²⁾ Smagłowski: Wincenty: Rodowód i pojęcie świętego tego każdemu Polakowi wyrazu ojczyzna r. 1848. Wiedeń, A. Pichler. Str. 7.

nikarza i mówcy ratuszowego, Jana Dobrzańskiego. Nie zawsze sprawiedliwy a często zgryźliwy, minister dla Galicji, Ziemiałkowski, pozostawił z tych czasów krótkie o nim wspomnienie. „Serdecznie pożegnałem się ze Smągłowskim, tym mistykiem zarozumiałym, który, powstając przeciw przesądom, trzyma się form skamieniałych i nadskakuje, jak lokaj, księcia Jerzemu. Piękny komplement powiedział mi ten człowiek, zawsze pełen tajemniczości i przeczuć...“ Smągłowski, nie mniej, nie więcej, odnalazł w mężu stanu gieńjusz Pola, narzekał na pieśniarza, że mu się mimo usilnej nad nim pracy sprzeniewierzył i napominał towarzysza podróży, aby pozostał na zawsze wiernym ojczystej sprawie. Z powodu tych uwag nie posiadał się Ziemiałkowski ze złości i zanotował w pamiętniku: „Już mi raz ktoś powiedział, że z twarzy podobny do Pola, co mnie nie bardzo ucieszyło, doczekałem się tego, że mi przypisują gieńjusz Pola“ ¹⁾.

Po powrocie do Lwowa miał się Smągłowski pióra, bawił bruk „krakowiakami porabacyjnymi“, słał w świat ulotne świstki, nastrojone na elegijną nutę, pod cudacznymi tytułami. Ukazały się więc „Hymny za ojczyznę“, wiersze do „zaonych Polek“, — „Modlitwy synów moich“, — nie obeszło się i bez „Myśli pobożnych, rymem oddanych, w pamięć religijną młodzieży“ ²⁾. Wydawnictwo kalendarza „Liwoczanin, jako lico części jednej Podgórze naszego od góry Liwocza nam odślaniający na rok Pański 1851“, (I) zawierające bogaty zbiór przypowieści i przysłów gospodarskich, zbliżyło go znów do twórcy „Pieśni

¹⁾ Pamiętniki Florjana Ziemiałkowskiego. Cz. I. Str. 40.

²⁾ Estreicher wymienia w bibliografji XIX w. T. IV. Str. 291, 292, druki Smągłowskiego z tych czasów. Niektóre z nich, jak „Kra-kowiaki porabacyjne“, ukazały się pod pseudonimem Jacentego Toporka. Lwów. 1848. Druk Pillera.

Janusza“. W podziękę za ofiarowany egzemplarz nazwał Pol Smagłowskiego „mężem dobrego posiewu w ojczyźnie“, a jego książkę kolendą z kwiatów, zebranych cicho i z zaparciem na rodzinnej glebie. Przyczepiając się do przypisku czy dedykacji, określającej go, jako słowika „u dworu“, dziwnie rzewnie bolał poeta nad własnym losem, nad bezdomnością, nad słowiczością nie „u dworu“, ale na dworze, bez gniazda... Czy Smagłowski użył aluzji do cesarskiej katedry geografji, z której Pol właśnie wykładał na uniwersytecie Jagiellońskim? Nie wiadomo,—to tylko widoczna, że buchał z niego potężny nurt skargi za gorycz, doznaną od swoich, i konieczność szukania sprawiedliwości u obcych, za bronienie się przed rodakami „zaprzeczającymi mi wszystko i na każdym polu“... ¹⁾

Niebawem pokutował Smagłowski na nowo w więziennych murach. Nieuleczalny spiskowiec, jeden z tych, co szerzyli hasło nieprzerwalności powstań i uniemożliwiali uspokojenie społeczeństwa, ugrzązł w sprawie pseudo-poety, Juljana Goslara. Ów odezwą do włościan zapalał żagiew rozruchów, agitował po Galicji na rok przed rzezią, walezył, jako oficer légji polskiej w październikowej rewolucji, w Wiedniu, a potem pracował we Lwowie nad wznieceniem burzy we wszystkich trzech zaborach. Stawiony przed sądem wojennym w stolicy państwa, zawisł na szubienicy w 1852 r. ²⁾. W poczecie aresztowa-

¹⁾ List Pola do Smagłowskiiego z 30 lutego 1851 r. jest własnością p. Sokulskiego. Był niegdyś drukowany w lwowskim „Słowie Polskiem“.

²⁾ Schnür-Peplowski: „Z przeszłości Galicji“. Lwów. 1895. Str. 400 i 600, 601—Wiesiołowski Franciszek: Pamiętnik. Str. 70—71. Lwów. 1868. Zauważyć należy, że Smagłowski w notatkach, jako powód uwięzienia, podaje udział w wojnie węgierskiej. Więc i tam był... Wszelako od 1848—1851 r. upłynęło 3 lata, a władze go pozostawiały.

nych była córka generała Samuela Różyckiego, Anna, i Smagłowski. Skazany na dwadzieścia lat twierdzy, cierpiał na razie w Jozefsztaście, w Czechach, potem w Ołomuńcu, na Morawach. Amnestjonowany 13 maja 1857 r., objął obowiązki nauczyciela dzieci hr. Skórczewskich w Poznaniu, gdzie z powodu demagogicznych przekonań wpadł rychło w sprzeczność z otoczeniem. Poszedł więc szlakami pielgrzymstwa do Paryża i tam zdobywał podstawy bytu udzielaniem lekcji uczniom kolegijum francuskiego. Uchodził za świetnego pedagoga, zdobywał uznanie, a z nim zaproszenia na członka rozmaitych naukowych towarzystw francuskich. W kołach emigracyjnych odgrywał rolę wybitną, był współzałożycielem „Komisji potrzeb“ i „Zjednoczenia“, przystąpił do *alliance polonaise de toutes les croyances religieuses*, zawiązanej przez Jana Czyńskiego i Ludwika Królikowskiego. I nadal nie pozbył się mrzonki rozgmatwania sprawy polskiej za pomocą „machnięcia orężem“... Wyszukał nawet męża opatrnościowego w osobie Henryka Dembińskiego! Przedstawiony zasłużonemu wodzowi przez generała Butharyna, otworzył przed nim serce i morze nadziei. Dembiński odparł charakterystycznie: „O! kiedy widzisz—nikt nie spyta o mnie. A młodzież woli tam kogoś innego!“ — „Hal to trza życie okazać, panie generale!“, odpowiedział Smagłowski, a w jego pojęciach miało to sens ścisły i nadto zrozumiały ¹⁾. Nigdy nie wygasł w nim zapal mimo niedostatku. Czasem musiał pukać do dobroczynności, opiekującej się emigrantami,—do pani Adamowej Kamińskiej,

stawily w spokoju. Czaplicki w dziełku: „Rzeź w Horożanie“ przypisuje aresztowanie wplątaniu się w sprawę Gosłara. To samo twierdzi Peplowski, który z innego czerpie źródła.

¹⁾ Z listu do niewiadomej osoby.

przewodniczącej Towarzystwa imienia Klaudji Potockiej ¹⁾. Przebaczyli mu dawni przyjaciele z „Wieńca“, wierzyli w jego uczciwość, a Bońkowski utrzymywał z nim bliskie stosunki ²⁾. Rozjemca w sporach i swarach wychodźstwa, wyteżzał Smagłowski słuch w stronę Wisły. Sam zniszczony, chorowity, wyprawił syna, Konrada, na pole boja w 1863 r. Kampanję prasko-francuską przetrwał w udręczenia fizycznym i moralnym, uginając się pod ciężarem nędzy i nadechodzącej starości. Mimo to, odejmując sobie od ust, skupował z dwoma emigrantami, Stanisławem Janowskim i Filipem Kuławskim, na licytacjach książki, w myśli utworzenia większej biblioteki i przewiezienia jej do kraju. Dwaj drahowie Smagłowskiego zmarli z głodu, przelewając przed śmiercią prawa do swoich części księgozbioru na Ignacego Miodaszewskiego, majora byłych wojsk polskich. Znany w prasie galicyjskiej publicysta, Gniewosz, zwrócił w artykule „Dziennika Polskiego“ p. t. „Weteran u wyłomu“ uwagę ziomków na losy nieszczęsnego tańca, — skutkiem czego posypały się publiczne ofiary. Zaczny burmistrz i poseł sejmowy, Ignacy Kamiński, przywiózł w 1872 r. Smagłowskiego wraz z biblioteką do Stanisławowa, a właściciele z wdzięczności za to podarowali ją miastu. Dla steranego rozbitka zastrzeżono posadę bibliotekarza z roczną płacą 300 złr. i wolnem mieszkaniem ³⁾. Smagłowski zabierał się do

¹⁾ Bibl. Polska w Paryżu. Ręk. Tek. S. J. — Smagłowski do pani Kamińskiej, 17 lipca 1861 r.

²⁾ Tamże. Ręk. Tek. S. List Smagłowskiego do Kubalskiego z 9 Października 1857. Prosi o oddanie w ręce Bońkowskiego zaślanych papierów familijnych, aby je tenże u siebie nadal przechowywał.

³⁾ „Kronika Stanisławowska“ z 21 lutego 1886, № 8, wydrukowała akt darowizny. Powtórzył ten dokument „Kurjer Stanisławowski“ z dnia 29 kwietnia 1906 r. № 1075.

uporządkowania swego skarbu, ogłosił katalog o szumnym tytule „Światowid“¹⁾ i dożywał burzliwego żywota. Zamknął oczy na wieki w styczniu 1883 r. i leżał na miejscowym ementarzu, na ziemi, kryjącej prochy pieśniarza Maurycego Gostawskiego i Agatona Gillera, — uczestnik ciekawych spraw, dusza gorąca do ostatniego tchnienia.



411. Tab.

¹⁾ Pojawiała się tylko część pierwsza we Lwowie, 1875 r.



JADWIGA MARCINOWSKA.

TĘSKNOTA HETMANA.

Poemat, nagrodzony na konkursie poetyckim „Sfinksa“ imienia JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

III.

Już dwakroć skrzydła swoje błyskające
wzniosło zwycięstwo ponad srebrną głowę
hetmańską, której wierne jest. Jak słońce
wchodzi czyn zbawczy... Dwakroć w dal stepową
rwie się z okopów garść rycerska. Gońce
powietrzne, orły, nie tak chyżo słowo
roznoszą wichrom, jak rycerze owi
zamigotali śmiercią w twarz wrogowi.

Jutro potrzeba trzecia, tak daj, Boże...
Znagła namiotu płótno rozchylone,
blask czerwony wpłynął, bo już zorze
wieczne stały się w zachodnią stronę.
Kilku poważnych mężów tam na dworze,
a wnijsia stojąc, odchyła oponę.
Hetman spoczywał w przedwieczornej chwili;
spojrzał: „Bywajcie, towarzysze mili“.

Weszli. „Z czem Pan Bóg przywiódł?“ Jedno mgnienie
milezeli. Patrzył, oczyma spowiada...
Więc rzekli: jako ich tu prośba żenie,
stary obyczaj, który od pradziada
bywał, zachować pragną w dawnej cenie;
chęć, niech wojenna zbierze się narada.
Krótco rozważał w nagłej dum rozterce:
„Zgoda“. Lecz dźwiękto smętkiem wielkie serce.

Posępne błyski od pochodni kładą
po czołach smugi, zagładają w oczy...
Niejedna twarz się tu wydaje bladą;
wnętrze namiotu męci się i mroczy...
Już noc nadbiegła z ciemności kaskadą,
zaległa cisza w dzikich pól roztoczy:
zrzadka wśród nieba gwiazdy błysk... Na dole
w namiocie podmuch rwie hetmańską wolę.

Zrazu przyziemne były rozhowory,
szemrzące strugi ciche. Potem w jedno
spłynęły wrzenie, w skargę: iż zapory
takiej nie przemóc, gdy sił wrażyeh bezdno.
Próżno wylata miecz do cięcia skory,
opadnie. Głowy w wysileniu bledną...
Wszystkim rzecz jawna, jak co dnia topnieje
naszyeh garść; kędyż usadzać nadzieję?

W żółtawem świetle pochodni, na radzie
posępnej mówią to nie pierwsi z brzegu,
lecz męże, którym się na skronie kładzie
dobra cześć, w życiu alfa i omega.
Dziś przepomnieli, lub w żałosnej zwadzie
duszom enotliwym nagły strach dolega;
rzekli: „Odstąpić! Prut w pobliżu płynię,
sprzyja noc; ujdziem za Prut w ćmy godzinie“.

TEŃSKNOTA HETMANA.

Hetman wstał. Wolny był ruch, dostojnoście
tak pełen, że się patrzącym zdawało,
jako ten człowiek, wstawając, wciąż roście,
aż w końcu nie jest już śmiertelne ciało,
jeno, jak owi z wyższych światów goście,
wielki wid niemy, a gnębiący chwałą...
I zrozumieli wszystek wielki przedział,
gdy im wstawaniem onem odpowiedział.

Nie padło słowo żadne. Potrwożeni,
cofając, tłoczą się ku drzwiom. Gracjana
chytra twarz miga kędyś na przedsieni;
zakotysała się namiotu ściana,
chwilę w ponurem świetle tłum się mieni...
I oto cisza znów do wnętrza wlana.
Sam. Ręce złożył na piersiach. Noc głucha,
ale myśl rzeczy nie mówionych słucha...

Więc tak, nadeszła przełomu godzina...
Oto na skrzydle przepotężnej woli
przyniósł tu serca, w których dziś się wszechyna
tajemny robak. Zrazu niezbyt boli
gryzące żądło, lecz dość, by jedyna
zadrgała ranka, zwątlon lot sokoli
i jad zwycięża... Bowiem nie ustanie,
gdy się poczęło straszne sere pęknięcie...

Z jakich ezeluści wznoszą się te ciche
żądła zabójcze, nigdy nie zgadnione?
Głębiej niż pokład, skąd nędzę i pychę
wywodzimy, aby każda szła w swą stronę,
bardzo głęboko, (nie zna sama Psyche,
pod jaką trzeba zstąpić tu osłonę),
jest ziarno losu w przepaściach człowieka,
lecz tak, że nie wie on sam, co go czeka...

Tęskno hetmańska myśl, zda się, rozdziera
przed sobą ciemność, obóz wzrokiem garnie,
aż mu otwarta noc tych dusz i szczenia
troska ginących... Przejrzał wódz męczarnie,
któremi zwolna duszę bohatera
przemienia robak w rzecz wywiętdą marnie...
Usłyszał szelest klęsk, biegnących w czasie...
A wtem wstrząsnęło nim, że spojrzął za się...

Rzeczpospolita wielka jest, spoczywa
w szarych, bałtyckich, wzdętych fal koronie.
Senna żniwiarka na przededniu żniwa,
kędy z zasianych swobód grom zapłonie;
była przez wieki mocą sere szczęśliwa,
więc zaufaniem uwieńczyła skronie...
O, Pani! u stóp twoich drgnął szyderca
chichot, obwieszcza: że rdza padła w serea...

Od przedniej straży, która tu daleko
zgubiona w stepach, a rozdarta w sobie,
pójdzie wiew, technienie, niewidzialną rzeką
odpływające w twoją głąb. W żałobie
gorzkich upadków lata się powleka,
aż ty, świetlana dzisiaj, na tym globie
staniesz się larwą, której imię znaczy
niezagojony, wieczny krzyk rozpaczy...

Straszno mieć chwilę takich przeczuć... „Panie,
zagaś wzrok duszy, aby nie widziała“...
Hetman się modlił tehem, jak wichru łkanie,
modlił się wola, że chce być jak skała
nienaruszona, gdy powinność stanie.
Obręcz żywota niech się zamknie cała.
Którą miłował czećciel, syn, obrońca,
Ojezyzną stwierdzi w sobie aż do końca.

Noe się pogłębia. Nadechodzą godziny
czarne, milezące, w bezdeń zapatrzone.
Cyt! wśród okopów lekki szmer... Z głębiny
ciszy wydzwignął się jak przez osłonę;
arasta w szelest, w pogwar, w głos jedyny;
kroki i szepty snają się tłumione.
I oto ciemność była pełna treści,
i powiał smutek, który hańbę wieści...

„Stać“ krzyknął Hetman; wielki dźwięk spiżowy
przeszył powietrze. Ale cóż powstrzyma,
gdy zdarta w piersiach nie wieszceży osnowy
i strach ślepemi patrzy się oczyma?
Dokoła wodza są nieliczne głowy,
skupiony orszak przy boku olbrzyma,
a dalej kręgi przerażenia rosna,
pęd wzbudzon siłą głuchą, bezlitosną.

Przyszło z tajników sere i tak owładło
nagle a strasznie, bo tak całkowicie,
jakby nad wszystkim obozem widziadło
stało obłądne. Którzy wczoraj życie
nieśli z odwagą, dzisiaj twarz poblądła
i oczy mętne mają w tym zenicie
męczarni, w trwodze... Jak wiatr liście żenie
zwiędłe, tak onych ludzi gna zhańbienie.

„Za Prut! Ha! bracia, komu żywot miły,
zbaw się!“ W ciemnościach tu i tam tętent;
szczęk, gdzieś o zbroję szable zadzwoniły;
brzmi krzyk ochrypty, dodając zachęty...
I cóż że Hetman był jak duch, co siły
ostatnie skupia... Wielki płomień wzdęty
w walce z otęhłanią gradem iskier ciska,
ale nie przemóc ogniem émy koliska...

Pluśnięcie. Zbiegi śnać dopadli rzeki.
Zaszemrał bełkot roztrąconej wody.
A wtem wrzask straszny: „Ałłal“ Niedaleki
brzeg przeciwległy obsadzon... O, gody
zdradzieckie! radość tłuszczy! Niech na wieki
sławi się prorok, gdy niewierni giną!
Wzniósł się ogromny jęk nad fal głębiną.

Słychać tonących zgiełk: to odpychani
od brzegu w nurty lecą bezpowrotnie.
Świst. Kto wypłynął, w strasznej jest przystani:
oto w ciemnościach niewidzialne sotnie;
choćbyś sprawność miał jak chyża łani,
świszcząca szabla dojmie cię i dotnie.
Charczenie rannych stało się straszliwą
gęźbą; świeciła luta śmierć swe żniwo.

Rzeczpospolitej dola nachylona
wiecznie nad tajnią, w której dziwne sprawy.
Niejednokrotnie synom swego łona
wieści jedynie szlak tragicznie krwawy.
Wolność wyboru chociaż się dokona,
to jeno w stronę sławy lub niesławy...
A oni, ślepy, myślą umknąć cało
i giną w hańbie—ci co mogli z chwałą...

IV.

Przez siedemnaście dni garść topniejąca
dokoła wodza w okopach się broni;
wreszcie pod światłem przybladłego słońca
wyszli ostatni. Na cecorskiej błoni
ten smutny orszak; grad strzał go potraça,
coraz się trupy nagłe walą z koni;
dzień w dzień utarezka, Tatarstwo się mrowi:
mozolny pochód sunie ku Dniestrowi.

Hetman rannego syna miał w taborze
za sobą. Sam się zdał nietknięty zgoła...
Czyliż zaprawdę dola nie przemoże
dostojnych barków, nie ujarzmi czola?
Patrzył oczyma, które jako zorze...
Aliści w piersiach jest ból! Głucho woła,
nieznośnie... Sercem szarpie w tysiąc drgnień:
„Pijesz z kielicha? Pij! Wszak przyszedł dzień!”

Hej! na ramionach był bezcennie lity
płaszcz, gdy ramionom tym w osłonę dana
wszystka dostojność Rzeczypospolitej...
Zezerniał płaszcz, zwisa marny kształt łachmana.
Spadła dostojność. Rwały wichrów zgrzyty...
A zdercie strzępa każdego jak rana
boli; spływają ze krwią szczęsne moce;
są obnażone barki i sieroce...

Rycerstwo tego nie widzi. Gdy z siodła
rażony grotem nagłym człek się wali,
to mu twarz, która jak chorągiew wiodła,
błyśnie raz jeszcze w srebrnych włosów fali.
Tak pokazane są przed śmiercią godła
drogie, by ludzie, patrząc, lżej konali;
gasnącym oczom rosa, słodka zlewa...
Choć się duch wodza w bólu swym rozdziewa...

Bowiem tu w smętku Cecorskiej doliny,
gdzie niebo, zda się, szydzi nad głowami,
kąsają ogniem niespełnione winy
i wstyd nie własny, jakby własny plami.
Każdy strach, wstając, jest jak upiór siny
i w twarz hetmańską patrzy; zdarta kłami
każdej rozsypki dusza wodza szczera
i każdą śmiercią w szeregach — umiera.

Ha! ha! ta-ć polska ukochana chwaja?
Tych-li prowadzisz? ten widmowy lud?
Spójrz: owo larwa... Cicho z ziemi wstała;
wymierza sereu pocisk z spiekłych grad...
Iżeś kość z kości ojczystego ciała,
widzisz tajemne odchylenie wrót,
poza którymi świeci się oczyma
larwy... kto? — hańba... Pocisk w rękach trzyma.

Ciężko się stało już nie do zniesienia!
Na nieboskłonie ogromnym blask dniowy
złotawe* strugi smętnie rozezerwienia;
kolor krwi w słońcu... W dół opadły głowy
znojne nadmierną męką utrudzenia...
„Spocząć“! Ostatni wyraz ludzkiej mowy,
najboleśniejszy... Kładą się na ziemię:
„spocząć!“ Żołnierzy w proch zwałiło brzemię.

Nikt się nie troszczy, że Tatarów kręgi
zwarły się bliżej i podchodzą z wrzawą,
Śmierć rozwinęła kartę wielkiej księgi,
liczy imiona, zapisując krwawo...

Nikt się nie dźwignie. Stoją dwie potęgi;
przesyt boleści i znużenia prawo;
tłoczą... Rozwarto tabor: szept ponury;
bezkarnie snują się i kradną ciury.

Hetman w pośrodku nędzy tej cichemi
słowy jął mówić nieledwie łaskawie:
„Otoście rosa, co nie koi ziemi,
oto się wami jako z żył swych krwawie...
Płyniecie kraśni stramykowie niemi,
by najsmętniejszy upust w wielkiej sprawie.
Rozczerwieniona jest naokół niwa;
patrzę, jak z serca mego krew wypływa“...

Mówił... Łaskawość w słowach okropniejsza
od krzyku... Ptacy się tak czasem ważą
nad zdartem gniazdem... Gdy już nie nie zmniejsza
ciosu nadzieją, wstaje męka z twarzą
lekką-szyderezą. W ciszy tem snadniejsza,
zatapia szpony jak łagodność — wrażą;
nie chce nie, bulgot krwi ma za tłumacza
i straszniej niżli gromiła — przebacza.

Teraz ci, wodzu, oprzeć się nawale
od chmar Tatarstwa przeraźliwszej! W sobie
stoczysz bój. Rzecz się zda przegrana weale,
gdy nie masz drogi w pośrednim sposobie...
Nie wykrzesano piorunu wspaniale...
Oto podnosisz k'piersiom dłonie obie:
tam łoskot serca kładł się w dźwięk: „Ojczyzna“;
nynie? Ha! słuchaj; może — pustkę wyzna.

Okrężna linja tatarska zezerniała:
już są tak blisko, wypuścili konie;
tuman kurzawy wzniosł się i wrzask: Allā!
Za chwilę tabor nieszczęsny utonie,
jakby w zalewie wód wysepka mała...
Ciemno w powietrzu, głuchy jęk jest w tonie
stepu i rośnie, tętniąc jak kaskada;
w nagłym pomroku zgiełkiem ziemia gada.

Gdy nieco spadły osłony, widziano
na wielkim stepie tu i owdzie smugi,
uciekających popłoch i rozlaną
szeroko pogoń. Nie jest pościg długi;
krew ścieka w brózdy, a z tych każda rana
zda się i piętnem okropnej zastugi,
którą zabójstwo czyni, chodząc w zdradzie,
potem na piersi matee ziemi kładzie...

A tam?... a w wielkim sercu bohatera?
Usłyszcie tajny świst myślowych węży:
jak pokusami obrzydzenie wzbiera;
jak się załęga rozpacz, aż zwycięży;
bowiem na gruzach ona jedna szczera
mieszkanka... Pękła dawna moc pawęży:
lec za Ojczyznę życia jest koroną;
lec za chwalebna... Ale za zhańbiona...?

We wzdętym wiehrze zwycięskiej rozpaczy
zagasnąć może światło długich lat;
święta tęsknica będzie jak tańczy
krzyk znikczemniony. Zwiędnie dacha kwiat;
jadem trucizny gorzko się poznać,
co upragnionem było; zaczem w ślad
błogostawione klątwą się namaści...
Jakaż moc dźwignąć zdoła z tej przepaści...?

Drgający promień spłynął na jedyną grupę wśród szczątków taboru wyniosłą.
 Jeśli sprzęc konie w okrąg, to godziną
 bodaj obronne zdłuży się rzemiosło;
 w ruchomym szańcu można iść — aż zginą
 kolejno wszyscy... Z końskich łbów urosło
 żywe półkole ciasno ustawione,
 ostatni sposób dając na osłonę.

Wierny towarzysz koń w pochód zwycięski
 nosił przy orlim husarskich piór szumie.
 Wierny towarzysz... Dzisiaj w chwilę klęski
 idąc, rży zeicha; rzekłbyś, los rozumie.
 W gronie rozbitków szarpnął się duch męski,
 kołace... Wszakże na dnie w uczuć tłumie
 błysk: gdy z ostatnich sił opadnie krwawi,
 może--ginących grzbiet ramaka zbawi?

Zanim ruszyli, Hetmanowi wiodą
 wierzchowca. W słońcu migoce sierść biała,
 rozdęte chrapy. Podniósł głowę młodą
 koń—ulubieniec, patrzy, w oczach pała
 ogień. Wędzidło zlekka gryzł, przeszkodą
 bawiąc się... Pędu pragnie. Zna go chwala
 bitew, lecz nigdy, choć przemienna dola,
 siwego jeźdźca nie unosił z pola.

Stała się cisza. Nagle ku wodzowi
 pobiegły oczy wszystkich. Zanim jeszcze
 ręką do boku sięgnął, ci i owi
 poczuli w piersiach przerażenia dreszcze;
 zda się, już wiedzą, co on postanowi.
 Chwilkę ważyło się milczenie wieszce,
 chwilkę, lecz bywa: w jednej chwili łonie
 rzecz się przesili, wypełni i spłonie...

Z przepaści dźwiga miłość... Ona sprawia,
co zda się cudem, kiedy twórcze ziarno
z odnětu bólów szalejących zbawia
i na sakrament wznosi moc ofiarną.

Jako powrotna girlanda żórawia
zwołane jasne dni znów się pogarną...
Która przez otchłań przeszła, wróci chwała,
jeno wspanialsza, -- bólem zolbrzymiała.

Błysnęło ostrze. To bez słów jest mowa:
„uchodzić nie chcę.“ Upadł koń przebity,
spływa krew, taśma gnie się szkarłatowa...
Pojęli wszyscy, iż tu moc na szezycy
wzeszła, ofiara święci się odnowa,
gdy dar żywota, wieniec w blaskach wity,
pełnię chwalebnej Matce ślubowaną
nynie — zelżonej — równem sercem dano.

Stało się. Naraz wszystek świat z przed oczu
starca odjęty świetlistą oponą.
Głowy współbraci w złotych mgieł roztoczą
maleją, bledną, gubią się i toną.
Duch się odnalazł wolny, sam w przezroczu,
mając za sobą służbę wypełnioną,
i cały jasną się obrócił twarzą,
gdzie się przez miłość wieczne światła jarzą...

Nie mu, że oto nastrożona chmura
tatarska wali, przygaszając dzień.
ani że w twarzach bratnich ta ponura
ostatnia bladeść kładzie szereg drgnień.
Nie mu, kto uszedł, a zaś postać która
spłynęła, w piasku ścieląc krasny cień...
Był sam, wydzwignion, orzeł, rycerz Boży
na stepie śmierci i potomnej zorzy.

Widział... Daleka przestrzeń otworzona:
 z toni podnoszą się upadłe kraje,
 zelżywość dumne strąciły ramiona,
 w złotych promieniach chwała zmartwychwstaje.
 I w tem tryamfa świeci się korona,
 że ból, przemożon, — potęgą się staje...
 Wielkiemu dachem w wielkiej zgonu chwili
 rzecz pokazana, która nie omyli.

W takiej roztoczy k'niemu szło żądane
 szczęście, królewskie awienienie dni.
 Zestąpił spokój na żywota ranę,
 ostatni, krótki moment dusza śni...
 Wionął szept poprzez pola krwią oblane:
 „nasycaś tęskność swoją, ducha lwi“...
 Falą słodyczy, w której blask się stawa,
 od widnokregu szła ku niemu zjawa...

Falą słodyczy... Już strudzoną głowę
 objął świt uczuć, niezrównanych z niezem.
 Słyszysz głos? Dźwięki zdają-ć się echowe:
 „Otom jest, która wznoszę się obliczem
 nad pełnię, kończąc znojnych lat wymowę
 w błysnięciu gwiezdnym, niestartem, strażni-
 „Dulcissima mori“... [czem...

Tak na dnie kielicha
 ostatnia kropla: światłość...
 Wszystko zcicha.





ECHA ZACHODNIE.

F. JABŁCZYŃSKI.

PROBLEMAT

ARTYSTYCZNY.

(Kilka obrazów).

(Dokończenie).

— Muszę wyjść! Do widzenia! Zajmij się sam kocią, jest w szafce masło, przyniosłam trochę szynki. Schodząc, powiem stróżce, aby przysłała nastawić samowar. No, bądź zdrow, mój stary!—rzekła, całując go przełotnie w czoło.

Ubrana była o tyle dobrze, o ile zręczna i skrzętna kobieta potrafi sobie stworzyć tualę prawie z niczego, Usta były lekko uróżowane, gęsta woalka pokrywała twarz. Wyszła pośpiesznie, pozostawiając po sobie zapach perfum.

Stał na środku pracowni tak, jak go pozostawiła, patrzył w ziemię. Był to malarz—jeden z tych nieszczęśliwców, którzy przez fatalne nieporozumienie zostali

pehnięci na drogę dla nich bez wyjścia — na drogę sztuki.

Od dawna już, z wyjątkiem ostatnich czasów, on i jego żona, młoda kobieta, która tylko co wyszła, żyli w ostatniej nędzy.

Obecnie jest już schorowany, sterany beznadziejną walką już nie o sztukę, sławę, o swoją indywidualność, lecz o chleb powszedni, łach na grzbiecie i dach nad głową.

Kiedyś miał nadzieję, pracował, uczył się, miał stypendja. Nie był nigdy piękny. Ale miał jasne oko, zwycięski uśmiech, fantazyjny krawat, aksamitną kurtkę, kapelusz szeroki, fantastyczny. Mówił o sztuce, miewał ostre poglądy, miał chwilę rozgłosu i związał się z kobietą, której podobało się to wszystko: i jasne oko młodego malarza, i fantazyjny krawat, i rozgłos, i nadzieję, i długie dyskusje o sztuce, którym przysłuchiwała się, nie rozumiejąc nie prawie. Podobała się jej własna jej przyszłość.

Tymczasem talent zawiódł, aksamitna kurtka wytarła się, jasne oko stało się szarem, ołowianem, o blasku chmur w jesieni, ustały dyskusje. Rozpoczęły się natomiast nieudane najeczęściej zabiegi o portrety, o zamówienia, o przyjęcie na wystawy, o dobre wzmianki w pismach. Rozpoczęły się zatargi z gospodarzami o komorne, kłopoty z powodu obiadów, opału etc. etc.

Następnie zaczął chorować.

I jej przyszłość nie sprawdziła się.

Stał na środku pracowni, zawalonej gratami bez wartości — ani jednego sprzętu, przypominającego mebel. Ściany wylepione rysunkami i szkicami przeważnie z dawniejszych czasów. Lampka pstrzyła się pod żółtawym abażurem.

Stał, wpatrzony w ziemię. Ciemno blond włosy, pozlepiane, brudnawe wicherzyły się na głowie. Twarz wychudła, poczerniała, oczy wpadnięte. Wytarta nieokreślonego koloru kurtka i obstrzępione spodnie wisały na wychudzonem ciele, jak na kijach...

... Arista ubierała się. Stara jej matka krzątała się około niej, niby ogrodnik około drzewka jabłoni. Bezczębna, pomarszczona twarz starej hetery wpatrywała się w młodą dziewczynę okiem znawcy, kontrolując, wykończając, niby malarz obraz, tualetę swojej córki.

Arista musi dziś wyglądać niezwyklejnie. Od tego zależy przyszłość jej cała.

Miasto Kos szykuje się do wielkiej uroczystości.

W budynku przy bramie Posejdona czynią się przygotowania do procesji. Wszystkie ołtarze, wszystkie świątynie przybrane liściami i kwiatami. Na dachach domów od ulicy kwiaty i kosztowne zasłony. Na rogach, przed Hermami dymią kadzielnice. Ulica Posejdona od morza do zamku wysypana liśćmi i gałęziami.

Wszędzie lud przybrany świątecznie, w wiankach z róż, hijacentów, lewkońji. Od czasu do czasu pomykają wozy kwieciste, wymalowane cynobrem i złotem, zaprzęgnięte w białe, tessalijskie, ogniste ramaki o wspaniałej uprzęży i jeszcze piękniejszych woźnicach. Ruch, gwar, twarze rozpromienione, szczególnie zaś u młodych kobiet, wyrostków i dzieci.

Święto!

Tegoroczne pięciolecie będzie upamiętnione w Kos wypadkiem nadzwyczajnym. Miasto gości w swoich ojczystych murach jednego z najstawniejszych swoich synów.

Praksyteles, twórca bogów i bogiń, sławny na cały świat, przybył i weźmie udział w procesji.

Dzień piękny, jak może być pięknym dzień na najłagodniejszym z wybrzeży morskich, gdzie ciepłe fale wód pachną, niebo pachnie i pachną róże ciężkogłowe, a białe miasto lśni się, rozłożone nad swoim portem.

— Evohe! Evohe! — rozlegają się wszędzie okrzyki. Krzyczą dzieci, biegnąc przez ulicę w białych, krótkich, lamowanych koszulach, ubrane w róże.

— Evohe! — wołają kobiety i starcy przed bramami podnosząc w górę ręce.

Żołnierze biją miarowo w tarcze. Procesja posuwa się wolno od morza do świątyni Posejdona, po świętej drodze.

Sznurem ciągną białe byki, ubrane kwiatami, prowadzone na postronkach. Idą stadka baranów z wyłoczonemi rogami, młode dziewczęta i chłopcy niosą bańki oliwy, puszkę z wonnościami. Ciągą orszak ofiarny z tłumem ofiarników. Idą dziewice z kwiatami, pękami owoców dojrzałych, niosą na głowach dzieże i niecki z ciastem ofiarnem, z mlekiem i miodem. Idą młodzieńcy w barwistych tunikach, niosąc gałęzie palmowe i wieńce oliwne, poprzedzając tanecznicę. Idzie orszak kapłanek Tetidy, niosąc naczynia z wodą morską, za nimi postępują młodzieńcy z sieciami, pełnemi świeżo złowionych ryb, połyskujących srebrną, złotą i czerwoną łuską na słońcu. Za nimi suną starcy, ubrani w zielone wianki z traw morskich, poprzedzając chór śpiewaczy. Niosą starożytną figurę Posejdona, następnie jeszcze starszy posąg Nereusza i Tetidy, oraz boga wiatrów, wycięty z kła olbrzymiego węża morskiego. Niosą skóry hiperborejów, szczątki świętego okrętu, na którym przybyli tu pierwsi koloniści, założyciele miasta. Procesja idzie wolno, ciągnąc

się uroczyście, wśród tłumów, wyległych z całego miasta i zebranych tu, na jednej ulicy.

— Na matkę bogów, nie będę gotowa nigdy! Przekłete loki rozkręcają mi się ciągle! Oeh! Co ja pocznę... Już śpiewają, procesja w drodze, wszystko się zaraz skończy!

I dwa rześiste potoki łez trysnęły obficie, niby ze źródła, z pary ładnych, podmalowanych oczu, spływając po haftowanym napierśniku na wzorzystą tunikę na kolanaach.

— Cicho bądź, nie płacz! Patrz, coś zrobiła—rzekła stara, kościstym palcem pokazując na mokre ślady łez.

Arista niecierpliwi się. Z poza niskiego parkanu do jej ciasnego i biednego gineceum dolatują gwary z ulicy i odgłosy procesji.

Wreszcie nie może już wytrzymać.

— Niech jak chce będzie, niech mię matka puści, bo nie znajdę miejsca i wszystko na nie—wykrzykuje na pół z płaczem, porywając się z miejsca i strzepując ze złości i niecierpliwości rękami w powietrzu.

Po chwili była już na ulicy, w zaułku, który piął się w górę ku miastu. Trzymała oburącz welony, aby ich nie rozedrzeć o jaką gałąź oliwną lub szylid szewca. Biegła po kamienistych schodkach, potykając się co chwila. Nie spotykała w drodze nikogo. Wszystko, co żyło, wyszło z domów, aby zobaczyć procesję i artystę.

Przebiegła w ten sposób kilka uliczek i stanęła na rogu jednej z nich.

Ulica wychodziła na drogę świętą. W głębi widać było przesuwającą się wolno procesję. Leez tłumy ludzi, zapychając ulicę, odgradzały biedną dziewczynę od apragnionego celu. Ani myśleć o przepchaniu się tędy. Młodzi chłopcy oskabaliby ją napewno.

Nie namyślając się długo, zawróciła i poczęła biec

pędem przez ulicę, równoległą do świętej drogi, chcąc w ten sposób wyprzedzić procesję.

Ale w następnych poprzecznicach było to samo. Wszędzie zbite masy ludzi zapychały wązkie uliczki dzielnic, że ani sposób przedrzeć się nawet silnemu mężczyźnie!

Arista poleciała dalej, potykając się o kamienie. Musiała zatrzymać się w drodze, aby zawiązać trzewik, który się jej rozwiązał. Przy nachyleniu się podczas tej czynności jeden lok najważniejszy, gruby i ciężki, rozkręcił się, inne wydłuziły się. Pomimo tego, że trzymała rękami welon, pracowicie zrobiona fryzura zepsuta się podczas przyspieszonego biegu.

Naturalnie! Jak mogła się utrzymać! Kiedy cała głowa trzęsie się! Szczęśliwe te, które mają niewolników, wozy i lektyki. Te mogą się ubierać.

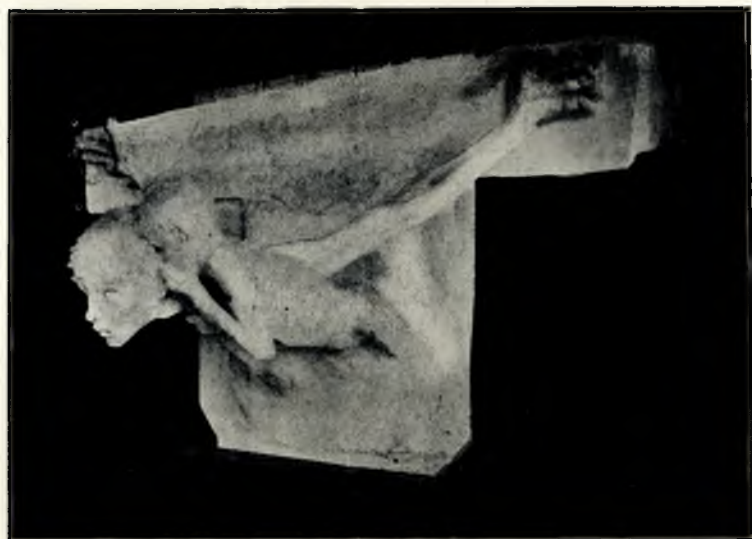
Biegła dalej pomimo tego, zdyszana. Welon zaczął się o gałęź. Ale to nie. Ludzi mniej w ulicy. Jest już na początku procesji. Niestety, nim dobiegnie do niej, tłum znowu napłynie.

Znajduje się na tyłach świętych gajów Afrodyty. Trzeba je obejść—a to kawał drogi! Ale niema się nad czem namyślać, innego sposobu nie ma. Tak napewno wyminie procesję i znajdzie się na placu Posejdona weześniej niż wszyscy.

Myśl ta dodaje jej otuchy. Arista pędzi dalej, lekka jak nimfa. Ogrody ciągną się straszliwie długo. Uliczka pełna wybojów. Białe trzewiki i dół taniki są zupełnie zakurzone!

Wtem widzi, że jeden z domów, otwarty na przestrzał, wychodzi przed samą świątynię. Procesja jeszcze nie weszła na plac. Trzeba tylko przeleźć przez parkan.

Arista, naturalnie, potrafi łązić po parkanach. Niedawno temu wdrapywała się, jak kot, na drzewa i łąziła



Przodownik.

Rzeźba J. Rembowskiego.



Fata Morgana.

Rzeźba J. Rembowskiego.

po dachach. Nie namyśla się długo. Niestety, przełaząc, rozdziera sobie całą tunikę od rękawa do samego dołu! Biedna! Na nie wszystko. Usiadła i poczęła rzewnie płakać. Jej przyszłość, jej sny!..

Tymczasem procesja weszła na plac, zmierzając ku wielkiemu ołtarzowi ofiarnemu, ustawionemu przed schodami świątyni.

A na schodach, w gronie najpiękniejszych dziewic, wśród których brakło Aristy, wśród członków najwyższego sądu, pośród członków rady, wśród wszystkich tych, którzy zajmowali pierwsze miejsca w mieście, odznaczając się bądź urodą, mądrością, bądź starożytnością rodu, walecznością, bogactwem, stał sławny gość.

Świątynia Djany Efeskiej leżała w zgliszczach, wielkie dzieło sztuki zamieniło się w bezkształtne gruzy owej pamiętnej nocy, kiedy Grek Herostrates w napadzie szału puścił ją z dymem, chcąc osiągnąć sławę!

Djana Efeska nie pozwoliłaby spalić swej świątyni, gdyby była obecną. Niestety, musiała pomagać przy urodzinach Aleksandra Macedońskiego.

Co za różnica między Aleksandrem Wielkim a Herostratesem! Tamten mógł być sławnym, skoro już przy urodzinach pomagała mu bogini.

Potężny Filip Macedoński mógł przekupywać sędziów na wyścigach wozów, aby w ten sposób zdobyć wieniec olimpijski. Alecbjades, bogaty i wielkiego rodu, mógł uciąć ogony psom kosztownym, aby o nim mówili Ateńczycy. Perykles mógł otaczać się artystami i ich sławą. Leonidas mógł dokonać czynu pod Termopilami, Temistokles pod Salaminą, bo byli wielkimi żołnierzami i wodzami. Homer, Fidjusz, Eschylos, Demokryt, Pytagoras, Archiloch, Likurg, Orfeusz mogli mieć sławę, bo otrzymali od bogów gienjalność w podarunku, Rodopis, Lais Aspazja—bo były wielkimi heterami, Herkules, Tezeusz, Kadmos, bo

byli półbogami, Zeus, Hermes, Ares, Hefeistos bo byli bogami.

Ale biedny Herostrates, który nic nie miał, nie nie dostał?

Właśnie za czyn swój ma być sądzony. Bogowie zostali ciężko obrażeni — sprawa ważna, bo zemsta bogów jest straszna, a obywatele Efezu wcale nie życzą sobie pokłócić się ze swoją boginią.

Sędziowie rozpoczynają czynności w powadze i w skupieniu. Wyprowadzają Herostratesa i stawiają go przed sądem, obok obrońcy.

Jest to młody jeszcze człowiek, lat najwyżej trzydziestu. Piękne, błękitne, jasne, południowe niebo Grecji przypatruje się, uśmiechnięte, sędziom, tłumom Efezan i podsądnemu. Stoi, wynędzniały, z włosami w nieporządku, usta zacięte, spieczone, policzki zapadłe, tunika oberwana, ręce i nogi czarne od więziennego brudu, oczy błyszczące, głęboko osadzone w czaszce, puste, przepaściste, patrzają się w jeden punkt, przed siebie, z nocą w źrenicach, nie widząc nic.

Znano go! Znano go wszędzie! Znały jego wybladłą, wygłodzoną twarz przekupki portowe, handlujące produktami spożywczymi, znały go rynki i place, znali go robotnicy portowi i ich kochanki, znały go szynki i przytułki nocne. Widywano go wszędzie, jego obszarpany płaszcz, podarte sandały i błyszczące gorączką oczy. Przedstawienia teatralne, igrzyska, procesje i obrzędy, przedśionki bogaczów, halle gmachów publicznych, poeci, śpiewacy, aktorzy, żonglerzy uliczni, nadzorca rynków, celnicy przy bramach, stróże świątyń, synowie bogatych rodzin, handlarze końmi — wszyscy znali Herostratesa. Widywano go za dnia i nocą, dyskutującego, rozprawiającego o sztuce, polityce, wśród pisarzy ulicznych i gawiedzi, czytającego swoje poezje lub ustępy z dramatów, opowiadającego o swoich sukcesach na scenie, o planach

na przyszłość. Był już wszystkim: poetą, filozofem, rektorem, przekupniem, stręczycielem, pasożytem bogatych i pracownikiem, próbował gimnastyki, aktorstwa, był nauczycielem i przyjacielem kurtyzanek, modelem i rzeźbiarzem naprzemiennie i... zawsze bez powodzenia!

W gronie sędziów widziano poważne, zasępione twarze. Rozdano czosnek. Andronides, handlarz ryb, gryzł brodę, wydawszy wargi, zły, że ważna sprawa odrywa go od jego własnych spraw, jeszcze ważniejszych. Barka ryb, którą kupił, zapłaciwszy naprzód wyjątkowo małą cenę, nie miała zwykłego, pełnego ładunku — na spodzie, zamiast towaru, były kamienie.

Filoktes, z pochodzenia Pers, zgreczony, rozmawiał z Kallinosem o znakach szczególnych, które znaleziono na zgliszczach świątyni—dowód, że byli tam bogowie, zaniepokojeni tem, co się stało.

Sędziowie byli poważni, przejęci wielkim zadaniem uspokojenia zagniewanych bogów. Skutkiem tego wyrok na Herostratesa już był gotowy.

Obraza bogów—wymaga krwi.

Wśród publiczności zgromadzeni byli wszyscy. W grupie, po lewej stronie, siedzieli przedstawiciele arystokracji, przeważnie młodzi potomkowie dawnych rodów, odsuniętych obecnie od rządów, spiskujących ciągle to z królem perskim, to z Filipem Macedońskim, to z Atenami, to ze Spartą lub Tebami. Wśród nich wyróżniała się blada, duża twarz starszego już mężczyzny, z długą, rudawo-blond brodą, starannie utrzymaną, w której błąkał się uśmiech sardoniczny i dobroduszny. Był to Teopompos — wielki pan i historyk arystokracji, filozof, jeden z wodzów partji konserwatywnej. Gładził delikatną ręką, pełną pierścieni, długą blond brodę, w której majaczył sarkastyczny, pogardliwy, ale jasny uśmiech, i rozmawiał z młodym, pięknym Ifiktesem.

Przeczytano dosyć krótki akt oskarżenia. Następnie na mównicę wstąpił obrońca i mówca publiczny, Ateńczyk Demoklides, wypędzony z ojezyny. Był to stary już, siwy człowiek, z krótko na jeża ostrzyżoną brodą, bez zębów, łysy, z oczyma bystremi, przenikliwymi, pochylony.

Znany był już, jako mówca, uczony i oryginał.

Umysł młodzieńczy, gorący, południowy, kwiecisty. Jego mowy były zawsze niespodziankami. Nigdy nikt nie mógł zgadnąć naprzód, co powie. Nie należał do żadnej partji i drwił sobie ze wszystkich. Nienawidził Demostenesa i jego planów, ale zarówno drwił sobie z Eschinesa i z Filipa. Był to indywidualista między indywidualistami, jeden przeciwko wszystkim, który pomimo tego miał poważanie u wszystkich. Posiadał on to, co było wtedy cenione nadewszystko, był starym Ateńczykiem z urodzenia, miał niezwykły dar wymowy, myśl zawsze jasną i dowcip nieuchwytny — ten, na który zdobyć się mogą tylko jednego gatunku ludzie — urodzeni mieszkańcy starych stolie świata.

— Sędziowie i obywatele—rozpoczął głosem męskim, czystym i donośnym, który rozszedł się dźwięcznie pod błękitnem sklepieniem otwartego nieba, nie nękając weale.

Czyż który z was wątpi o tem, że wszelkie dążenia do lepszego są rysem pięknym? Nagradzamy za to, a nasze grobowce wzdłuż dróg, które wiodą do miast naszych, są najlepszym tego dowodem! Do cudzoziemca przemawiają one nazwiskami wielkich, z których jesteścieśmy dumni, opromienieni ich sławą. Duch ich wielki ogarnia podróźnego, zanim stopy jego zetkną się z kurzem bram miejskich. Nasi starcy, siadając wieczorami w bramach miejskich, cieszą się myślą, że nie będą zapomnieni, że będą żyć dalej we wspomnieniach, że ich wnukowie bawić się będą u ich grobowych kamieni. Ci, których życie przeszło bez śladu, którzy pełzali przez całe życie pod stopa-

mi innych, niechaj płaczą, bo śmierć ich jest podwójna. Duch ich rozwieje się i zniknie tak, jak niknęli oni w szarym tłumie, bez czynów, bez zasługi, jak niewolnicy, dla których nieśmiertelność nie istnieje!

— Sędziowie i obywatele! któż z was nie myśli o tem, aby nie umrzeć, nie przepaść, nie zniknąć w zapomnieniu bez czei i bez sławy? Każdy chciałby przedłużyć życie, które jest krótkie, dać mu siłę i znaczenie, bo jest ono słabe. Sława daje bogactwa, miłość ludzi i szczęście. Więc zdobywacie ją, zdobywacie wszelkimi siłami tak, jak walczyście o chleb powszedni! Sława karmi nie tylko wórek, ale i ambicję. To też uczyście dzieci wasze tych samych prawd, któremi rządzą się w życiu sami. W szkołach i akademjach czytano nam nieśmiertelne pieśni ślepego wieszczu o bohaterskich czynach naszych przodków. Historycy nasi sławią przeszłość, ukazując nam wzory do naśladowania. Uczymy się tego od lat najwcześniejszych, nasze babki, matki i piastunki usypiały nas legendami o czynach bajecznych, które rozpałały dziecinne wyobraźnie, rysując ludzi, świat i rzeczy nie z tego świata. Sławimy poetów i artystów, naszych wodzów, prawodawców. Ryjemy imiona zwycięzców i bohaterów na spiżu i w marmurze. Sława ich, razem z naszą, rozechodzi się po świecie, bita na pieniądzach, rysowana na wazach i puharach. Urządzamy konkursy śpiewaków, atletów, dramaturgów, architektów i rzeźbiarzy, nagradzając zwycięzców sławą, wiankiem i pieniędzmi. Oklaskujemy ich i nosimy na rękach—tych, którzy zyskali powodzenie u nas czy na obczyźnie.

Nadstawiamy czujnie ucha, czy kto o nas nie mówi. I uczymy postępować w ten sposób dzieci nasze. Idźcie na place i zobaczcie, w co się one bawią? Nauczycielcie je, że sława daje wszystko: nieśmiertelność, wianki oliwne, cześć współziomków, bogactwa i powodzenia w życiu.

I pędzicie ich do czynów wielkich, głośnych, każecie im piąć się, dążyć, zdobywać, obiecując im tyle! Dobrze! Ale czy mówicie im, ilu pada, ilu jest zwyciężonych, rannych, zawiedzionych, ilu zostaje na placu, nie osiągnąwszy celu? Cóż powiedzielibyście o człowieku, który by mówił, ukazując na góry, idźcie, droga łatwa, zobaczycie tam złote łoża słońca, dotkniecie się sklepień niebieskich, zdobędziecie skarby! Albo o pilocie, który posyłałby między Seylle i Charybdy wszystkich bez wyjątku, słabych i mocnych, wątłe łupiny i silne statki, nie mówiąc nic o trudnościach i niebezpieczeństwach, które ich tam czekają?

Co powiedzieć o was, co pędzicie dzieci wasze, synów przyjaciół waszych, na drogi trudne, chociaż zaszczytne, pędzicie je bezmyślnie, idąc za prądem czasu i za głosem tłumów, które niezawsze wiedzą, co czynią? A skutek? Place portowe, halle, przedsionki wszystkich urzędów publicznych, portyki świątyn, teatry, place targowe, sądy—pełne są ludzi, którzy chodzą, szukają, wietrzą, wiecznie głodni, wynędzniali, jak psy bezdomne, wyczekując uśmiechu fortuny i wszyszkodajnej sławy. Rezultaty wyścigów, konkursów, sukcesy aktorów i atletów spać im nie dają. Sto razy łatwiej znaleźć chętnych do wzięcia udziału w procesji, niż do zaciągnięcia się do wojska. O miejsca wolne w chórach teatrów biją się. Filozofowie, retorzy, prawnicy mają tysiące uczniów, szkoły atletów i jeźdźców są przepełnione—a tancerki, flecistki nie potrzebują długo szukać, aby znaleźć kochanków i obrońców, którzy z nich żyją.

Każdy chce być poetą, artystą, retorem, zapaśnikiem, wodzem. Prawodawców, tworzących nowe prawa, jest bez liku. Ale nikt z projektujących sam stosować się do nich nie myśli. Ojcowie, obywatele i sędziowie! Mówiliście waszym synom o sławie i zaszczytach, o dążeniach do lepszego, do wielkich czynów. Dobrze! Nie powiedzie-

liście im, że to droga tylko dla silnych, zdolnych, odważnych, wytrwałych—dla wybranych. Dobrze! Nie wiedzieliście o tem sami, czy nie chcieliście mówić umyślnie, aby młodzieży nie zrażać. Zgoda. Chcieliście wypróbować synów waszych tak, jak się próbuje konie. Niechaj będzie! Ale czemu nie powiedzieliście im, że owa droga, oprócz trudności, godnych bohatera, ma też i inne, godne... złodziei, oszustów, tchórzów, kłamców i krętaczy? Co winien młody chłopiec, nawet mocny, który, uzbroiwszy się w zdolności, w lepsze dążenia, który, zdecydowawszy się na walkę wielką i świętą o nieśmiertelność, o sławę, o doskonałość, o wszystko, co zawsze i wszędzie przez najlepszych za najlepsze jest uważane; który, wszedłszy w szranki i zetknąwszy się z przeciwnikiem, po kilku starciach spostrzeżga, że jego partner posiada broń podstępnie fałszywą, że ma on do czynienia nie z przeciwnikiem godnym, lecz z oszustem? Co ma zrobić, skoro pozna, że sędziowie jego są sprzedajni, stronni, że publiczność klaszczących jest najęta, że współzawodnicy jego mają zapewnioną podstępną pomoc, podczas gdy on pozostawiony jest tylko własnym siłom i zdolnościom? Kto go nauczył, że trzeba rozsyłać podarki sędziom i ich pięknym kochankom, aby zdobyć sławę? wiecie o tem, ale nie mówicie tego głośno nikomu, a tembardziej dzieciom własnym, bo nie chcecie ich psuć, bo wstydzicie się. Ale zamykacie im w ten sposób oczy na własną ich starość, ukrywając wasze winy. Kto ich objaśnił, że wieńce laurowe, które Filip Macedoński każe bić na monetach, sławiąc się nimi przed całym światem, są kupione? Kto im powie, że Animesdes otrzymał wieniec w walce atletów tylko z tego powodu, że znalazł podobnego do siebie atletę, który za pieniądze stanął za niego do walki? Co pomogą wyrobione mięśnie, umiejętność zapaśnicza, gdy wszystkie zalety zdolnego szermierza, uczciwość, honor

stają się wadami i najbardziej szkodzą, bo nie pozwalają uciec się do podstępów i broni niegodnych! Kim-że jesteście wobec nich wy, którzy jedną ręką ukazujecie wielkie przykłady historii, a drugą przekupujecie cichaczem, aby coś zdobyć dla siebie? Czemu tego nie robicie przy dzieciach, aby wiedziały? Czemu każecie im zdobywać sławę krwią i zasługami, a sami kupujecie ją za marne pieniądze? Dobrze! Winni jesteście wobec silnych! Ale niewiele, bo ci albo padną, albo wreszcie, przejrząwszy, nauczonywszy się żyć sami, poznawszy, czym jesteście wy, czym wasza sława, dadzą sobie radę — znajdą wkońcu środki i sposoby do walki z wami, do walki właściwej o prawdziwą sławę, i zwyciężą. Wobec tych nie jesteście winni. — To są bohaterzy i wasza kupiona sława prędzej czy później przy ich sławie zniknąć, zgasnąć musi. To są silni. Ale owe rzesze wielkie słabych, naiwnych, wierzących, niezdolnych? Co z tymi się staje? Niewielka ich część, sprytniejsi, poznawszy, o co chodzi, uczą się szybko waszego rzemiosła i oszukują, przyłączając się do jakiejś bandy. Ale pozostali, którzy są za uczeni, aby upaść, a za słabi, aby zwyciężyć i zatryumfować? Ci, którzy są tak niezdolni, że nawet oszukać dobrze nie potrafią — bo i do tego zdolności pewnych potrzeba? Co ci, najliczniejsi, są winni, że skazujecie ich zgóry, od dzieciństwa, na kroczenie po fałszywej drodze w życiu, która nie im nie da, oprócz nędzy i zawodów, zatruwając życie wam i wszystkim? Po co każecie im zdobywać palmy i nagrody, o których wartości dziś wątpimy wszyscy mniej lub więcej otwarcie? Sędziowie i ojcowie! Oto stoi przed wami jeden z tych okłamanych, oszukanych, jedna z ofiar waszych! Matki, babki i piastunki, pełne naiwności i dobrej wiary, zamroczyły mu wyobraźnię widokiem tęczowej bajki przyśrołści, dając mu trudny ciężar swoich własnych rojeń, w których spełnienie się nie uwierzyłyby same nigdy.

W szkole deklamowano mu o wielkości bohaterów, popisując się własną wymową, sztucznym entuzjazmem pedagogów, recytujących dla własnej przyjemności Hezjoda lub Homera. Życie w dalszym ciągu robiło to samo. Ale zapomniano mu włożyć do kołyski odpowiedniej ilości talentów, zdolności, siły, wytrwałości, bez których cóż pomoże stawiać mety, i tworzyć nagrody, gdy ktoś jest... kulawy! Próbował wszystkiego bezskutecznie. Był pisarzem, retorem, śpiewakiem, aktorem, poetą, tragarzem, żołnierzem, pasożytem, sykofantą i zawsze próbował bezdarnie. Aż pewnej noey wymyślił i wykonał czyn, który go postawił tu przed nami. Stoi przed wami nie podsądny, ale uczeń wasz, nie szalony, lecz zwiedziony, oszokany, otumaniony bezmyślnymi bajkami, w które z was nikt nie wierzy. Nie wy jego, ale on was winien sądzić. Nie wy jego pytać: czemuś to uczynił? ale on was: coście uczynili ze mną? Czemuście mi stracili i zmarnowali życie, za co mię teraz sądzić chcecie jeszcze?!

Herostratesa, jak wiadomo, stracono. Sędziowie zabronili Grekom wspominać jego imię, aby w ten sposób pogrzyżyć go w niepamięci. Ale Teopompos, historyk arystokracji, przełamał zakaz ojców miasta i przekazał nazwisko skazanego potomności.

Paryż ma ogromnie wiele ludzi zmarnowanych, którzy przybyli tu, przypędzeni bajką. Jest tu sześćdziesiąt tysięcy malujących, nie o wiele mniej piszących, którzy w ogromnej większości wypadków żyją w nędzy albo w głodzie sławy, do której tylko minimalna garsć ma jakie takie podstawy.

Biedni ludzie! A tyle im obiecywano, tyle mówiono! Niema tu ani jednej świątyni Djany, którą by spalić było można.

Więc marnują życie sobie i innymi!

Paryż w lutym.



DUSZE W LOCIE.

Kochanka.

Kochanku! Duszę poi twój głos, jak szeptanie
Noenych niewinnych kwiatów — głos z nieprzefraniętej
Przestrzeni — taki czysty, na gwiazdach poczęty — —
O mój rycerzu! powiedz, czy trwa nieprzerwanie,
Jak światłość boża — hejnał, wykąpany w zorzy,
On śpiew, co serce moje zamilkłe otworzy?...

O mój rycerzu złoty, mój luby, co duszę
Wiedziesz nad srebrne brzegi ruczajów, gdzie pocznę
Śnić, jak pasterka, swoje szczęście bezobłoczne —
Czyli najdę swe siostry, kwiaty piosnką wzruszę?
Czy chadzać będę w nieba błękitnej odziewie,
Jak anielica w szumie swoich piór i w śpiewie?...

Bo mnie mówiły siostry najmłodsze, co pasą
Na łąkach śpiewających bielachne jagnięta,
Że na niebie, płonącym niewystówną krasą,

Widziały huf lecących rycerzy, jak ptaków — —
 O tyś, kochanku, spłynął z obłokowych szlaków!
 Śpiewasz — jak arfa, dłońią miłującą tknięta!...

* * *

Kochanek.

Nie ja śpiewam o duszy cudownym uroku,
 Lecz ty ze mnie swój akord dobywasz najprościej:
 Słowa stają się cichsze od łez — w samotności
 Wypłakanych, a wiotsze — od westchnień obłoku;
 Wytchnione z piersi kwiatów, co woniami słyną,
 Spójrz! jak po niebie klaczem żórawianym płyną!...

Niebianko! Dusza twoja promienista mieszka
 W dziedzinie, co jest natchnień skrzydlatych ostoją —
 Tam się modli do Boga o czystość — a moją
 Jest na lazurze cichym wyzłocona ścieżka
 Do gwiazd, któredy duch mój białe pióra włóczy
 Co dnia, nim w światłość wieczną, jak w płaszczy się obłó-
 [czy!...

Tam ja ciebie, o różo edeńskiego krzewu,
 w ogrodach rajskich widzę — w zefirów pieszczocie,
 Pełną uczuć najświętszych słodkiego wylewu!...

Tam, kochanko, twe serce w ciche dłonie biorę,
 Jak wonnościami tehnącą niebianów amforę,
 Gdy gwiazdy trącam czołem w ponadziemskim locie!

WŁADYSŁAW ZALEWSKI.

J Ę K.

Kserkses, król, stoi sam ponad morzem. Wokoło króla nic,
prócz kamieni. Słyszy z pośród nadmorskich skał jakieś szmery
i szeptania.

Kamienie szemrzą.

O królu! gdybyś znał bezdeń cierpienia
fali, kiedyś ją biczem kazał smagać,
gdybyś ty wiedział, jakie ją rozpacze
chwytają, pierś jej ciskając zieloną,
pierś jej, śniegami pian zbielałą wściekle,
pod twoje stopy...

O, gdybyś ty był, królu, doznał kiedy
tej męki strasznej, która wśród rozpaczy
wydziera sercu wszystkie skargi żalu,
która odbiera mu wszystkie rozkosze
smętku, a każe w strasznej poniewierce
tarzać się z bólu, —
i tylko własne swe upokorzenie
powtarza wyciem, i szlochem, i zgrzytem,
i syczy pianą, jak węże w ementarzach...

Tedybyś, władco potężny i możny,
pokłony czołem bił przed męką świętą
i wielbił rozpacz, i boleści srogiej,
która prześciga wstyd upokorzenia,
stawiałbyś jasne ołtarze...

Królu okrutny! och, okrutny królu!

E L E A.

CHARYTA.

Jak hieroglify egipskich piramid,
Które w mgle wieków na głazach wryto,
Takie w twym sercu, płonąca Sulamit,
Są nieczytelne słowa, o Charyto...

Próżno na ustach kładziesz mi aksamit
Swych pocałunków, tuląc pierś w pół skrytą
Płaszczem swych włosów, niby greckich chlamid
Zwojem, ze złota tkanym, o Charyto...

Bo wiecznie pośród miłosnej ekstazy,
Zawrotnych szałów i upojnych pieszczot,
Na pierś wślizguje mi się wąż odrazy.

I serce rani bólu krwawy brzeszczot
Na myśl, że jesteś dla mnie, jako głazy,
Hieroglifami tajne, o Charyto...

JADWIGA LIPIŃSKA.





ZUZANNA RABSKA.

MIASTO MADONNY.

„Każda dusza ma ojczyznę swoją,
za którą tęskni“.

Ksiądz Marjan szedł w skupieniu, z oczami spuszczone, po szerokich schodach świątyni, i dopiero, gdy już był na ostatnim stopniu, podniósł je.

Oto spełnia się sen...

Stał przed nieporównaną fasadą sienneńskiej katedry!
Był więc w Sienie, w wymarzonej swojej Sienie!

Patrzy naprawdę, własnymi oczami, na rzeźbione, marmurowe słupy fasady, na splety wawrzynów i na wykwitające z pośród nich ludzkie głowy i postacie. Pozdroził je w duchu najserdeczniejszym słowem miłości. Podlegał uczuciu niewystłowionego szczęścia z nagle spełnionego marzenia.

Jak we śnie, wszedł do wnętrza przecudownej świątyni, którą Siena wymarzyła i stworzyła w ciągu długich dwu wieków. Zmierzch pustych naw objął go swemi długimi, chłodnymi skrzydłami. W lesie gigantycznych słupów w czarne i białe pasy cicho dzwoniły jego samotne kroki. Spoglądając w skupieniu dokoła, przeszedł między dwiema misternymi kolumnami, niosącymi kropielnice, zdobne w figury, w hipogryfy, w ptaki, w fantastyczne liście akantu.

— Mistyczna brama życia mego... — egzaltował się.—
Oto poza tobą jest już wymarzone królestwo Piękna...

Jakże naturalnym byłby impuls, któryby go rzucił na kolana przed Madonną Duccia, patrzącą nań z pośród wielkiego ołtarza podłużnymi, łagodnymi oczami czarnookiej Sienenki... Impuls, któryby mu kazał na długie chwile pograć się w nastroju głębokiej, prymitywnej wiary, jaką tętnęły wieki, które tę katedrę wydały! Ale szczegóły wspaniałej świątyni narzucały się oczom artysty, spragnionym widoku prawdziwego Piękna!

Ksiądz Marjan w skupieniu błędził wśród naw bogatych, jak po salach muzeum, w którym kult jedyny—jest kultem Sztuki... Ze wzruszeniem, któremu nastrój religijny był zupełnie daleki, zatrzymał się przed słynną katedrą, przed tym marmurowym bukietem najcenniejszych kwiatów prymitywizmu, i w uniesieniu rozpatrywał szczegóły, które w marmurze wyciosało dłuto genialnego Pizańczyka. Wtedy — z głębi duszy, jak ptak niespokojny, zerwało się pytanie, które od tej chwili krążyło już bez wytchnienia wkoło niego: „*O Sztuko, czy ty w przybytku tym czarodziejsko-swiątym zabijasz Wiare, czy też ją wzmacniasz i pogłębiasz?*“ Pytanie o twarzy złowrogiej, niepokojącej, nie dające duszy ani chwili zapomnienia...

Jakże tu tak zaraz znaleźć odpowiedź, jeśli dusza z zachwyty w zachwyty popada, na falach obłądnych unie-

sień się kotusze i nie chce szukać usprawiedliwień dla swej egzaltacji...

Ksiądz Marjan nie myślał w tej chwili o słowach ewangelji, które z wysokości przepysznej kazalnicy rzucał kapitan w tłum, żądny Słowa... Ani przez myśl mu przeszły plany efektownych, literackich kazań, które z tej wysokości, na tle całego bogactwa renesansu, mógłby recytować w uniesieniu, tą drogą podniecając znicze entuzjasmów, które w nim płonęły! Skapiony, do głębi przejęty, pozdrowiał bez końca znajome z wydawnictw artystycznych Madonny, apostołów i świętych, patrzących nań białymi, dobrotliwymi oczami. Pozdrowiał swe sny spełnione i napowrót w marmur zakłete — uśpione a żywe!

Cofnął się, by jednym, gorącym spojrzeniem objąć całość katedry. Wtedy to spostrzegł, że, patrząc w tłum marmurowych posągów, po takim samym tłumie stąpa niebaczny krok. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się łąka czerwono-białych „graffiti“. Przez chwilę oko spoczęło na Judycie, cienkością, łagodnością wyrazu przeczuwającej gienjusz Botticellego, zatrzymało się na „Alegorji szczęścia“ sypiącej kwiaty pod stopy marzyciela... A potem już zgubiło się w chaosie figur, metafor, krajobrazów, zamków, rycerzy, kwiatów i dziwnych masek... Gdzie iść? Zalękniony świętokradztwem dotknąć swych nóg, błądzących po tajemniczych światach Odrodzenia, powitał prędkim spojrzeniem freski Pintaricchia z rzeszą sztywnych, dobrotliwych „angioletti“, ciborium Veechnietty, św. Jana Dana Donatella, w swej mrocznej niszy, i z głową pałającą, z sercem wezbranem uczuciem radosnego zdumienia, wyszedł na schody świątyni, na których ciągnęły się jeszcze subtelne „graffiti“, a lazzaroni, z wytrwałym wrzaskiem, nawoływali przechodniów do datków.



Było to jego pierwsze powitanie Sieny. Z kolei, z walizką w rękę, pobiegł w wązką uliczkę, w jeden z promieni gwiazdy, jaką jest Siena, rozłożona na pagórkach. Nie czuł zmęczenia, nie pamiętał o zdrowiu, o konieczności ustawicznego kontrolowania swej fizycznej istoty, wbrew potrzebom wieczystej łaknącej i tęskniącej duszy. Zatrzymał się przy drzwiach, nad którymi widniał napis: *Albergo delle due Torre*, a przez które buchała nieznośna, charakteryzująca małe włoskie miasta woń frytury. Nie pytając o cenę pokoiku, nie chcąc nawet go obejrzeć, oddał walizkę ślicznej, czarnookiej, zdumionej nieco tym pospiechem gosposi, i pobiegł na miasto.

Całe życie roił, by móc kiedyś żywymi oczyma oglądać cuda i dziwy tego aduchowionego miasta, przez które szedł powiew gorącej wiary średniowiecza. Wierzył święcie w swe odrodzenie na tle Sieny, miał przeczucie, że tam wreszcie kres położy swym walkom i wątpliwościom, że tam *siebie odnajdzie*, swą gorącą, młodzieńczą duszę, która umiała kochać i wierzyć bez zastrzeżeń. Lecz miastem ku ołtarzom i konfesjonałom, biegł w utęsknieniu ku dziełom sztuki, które tu były wyrazem wiary, najgłębszym uczuciem, jakie z duszy człowieka dobywa religja. Zwracał się w myśli do Simona Memmi, do Martiniego, do Duccia i obu Lorenzettich, jak do starych przyjaciół, którzy skorzy są nieść pomoc w złej godzinie.

Wierzył, iż dusza może się odrodzić tylko przez Piękno!

Bo ksiądz Marjan był przedewszystkiem i do głębi duszy artystą. Marzenia o sztuce były najgłębszym, najistotniejszym wyrazem jego duszy, jej siłą, natchnieniem, religją. Dusza ta młoda, marzycielska, pogłębiona czytaniem mistyków: Jakóba Boehme, Silezjusza, Campanelli, Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego i ukochanych poetów: Shelleya i Kasprowieza, dusza, która żyć poczęła na słowo zaklęcia Platona i Spinozy, pożywała głębokich wzru-

szeń, w których mogłaby się zanurzyć bezpamiętnie i właściwą swą treść odnaleźć.

Dni, pełne sprzeczności, kompromisów, głębokich przepaści między prawdą duszy, a jej zewnętrznymi formami, wyczerpywały go; łagodna, wytworna jego natura nie uznawała głośnych protestów. Brutalny giest buntu sprzeciwiał się jego pojęciom o równej, prymitywnej, estetycznej w swej prostocie linii życia... Więc w rozżaleniu na zewnętrzny świat obłudy, jaskrawych prawd, niepojętych niedorzeczności, zbudował sobie siłą tęsknoty do Prawdy, swój własny, wewnętrzny świat Piękna i żył w nim samotny, cichy, zrezygnowany.

Pozornie spełniał ze spokojem i sumiennością swe obowiązki kapłańskie. Zewnętrzne formy jego egzystencji były poprawne, bez zarzutu. Ale w nim wrzały ognie buntu, paliły się znicze nieugaszonych pragnień...

Naprzykład, gdy po spowiedzi rozgrzeszał łagodnymi słowami nadmiernie wymowną penitentkę, rozwodzącą się z pewnem zamiłowaniem nad szczegółami swych grzechów, myślał w duchu:

„Idź na łąkę, stań twarzą ku drzewom, gdy o zmierzchu wiotkie gałęzie, poruszane ręką wiatru - artysty rysują na wodzie nikłe, cudne cienie... Patrz w obłoki, gdy zachodzą ciepłym rumieńcem zachodu... Wtedy drzewom, wodzie, obłokom mów, dziecko, co masz na sercu... Co mnie zaś do tego?“

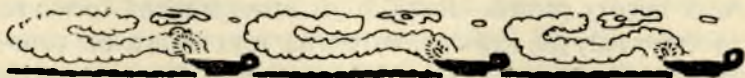
Gdy słuchał ze współczuciem rozpaczliwych skarg kobiety z ludu, której dzieciątko zmarło, mimo jej gorącej modlitwy, niespodzianie stawiał pytanie:

— Gdzieście się o to modlili, kobieto?

— A przed wielkim ołtarzem w jegomościwym kościele!

Ksiądz Marjan uśmiechnął się znacząco. Już rozumiał... Głębokich, rozpacznych prośb może tylko wysłu-

chać Madonna Memlineka, ta z twarzą łzami zalaną w opactwie Bruges, lub jedna z najśodszych twarzy Duccia sienieńskiego...



Ponad wszystko kochał ks. Marjan sztukę chrześcijańską i najpierwszych jej mistrzów, tych, którzy w ekstazie, na klęczkach, w swych celach klasztornych malowali Madonnę. Na stole jego bawialni piętrzyły się albumy, katalogi galerji miast włoskich, gdzie nigdy nie był i wątpił, by mógł być kiedykolwiek. Na ścianach, zbożnie poprzytwierdzone szpilkami, wisiały wyblakłe fotografie i pocztówki z Włoch. „Włochy! Siena!” — tak się nazywały sny księdza Marjana. Ze smętkiem oglądał tę swoją „galerję“, te artystyczne zbiory, z artyzmem, prócz tego, co w nie kładł ks. Marjan, tak mało mające, wspólnego! Pod zasunięte w marzeniu powieki naprowadzały tylko cudne sny o sztuce...

Ale oto nagle spełnia się marzenie, śnione w długie bezsenne noce i w dni pełne męki. Ksiądz Marjan zapadł na płuća. A gdy miesiącami gorączka nie mijała, młoda jego twarz stawała się coraz bardziej szarą i chorą, a organizm się wyczerpywał, trzeba było usłuchać lekarza i jechać co prędzej na południe.

Włochy! Rozjaśniło się suche, ascetyczne oblicze księdza Marjana. Pojedzie! Ostatni grosz wyda, a pojedzie! Ale nikt wiedzieć nie powinien, po jakie to on zdrowie pojedzie do Włoch!

— Amalfi, a jeszcze lepiej Korsyka...—radził lekarz.

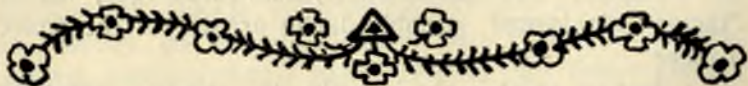
Ksiądz Marjan uśmiechnął się chytrze. Miał więc pretekst.

Wiedział już, że pojedzie do Sieny...



Oddawna, od najmłodszych lat, miłość jego dla Sieny była owiana teńnieniem mistycyzmu, była jakimś przeczućem odnalezienia własnej treści, swego najgłębszego *ja*. Była to owa miłość prawdziwa, gdy siebie wreszcie, po latach tęsknot i męki, odnajdujemy w przedmiocie kochania... Ksiądz Marjan taką właśnie miłością kochał Sienę. *Widział w niej siebie...* Dusza jego była tak samo prosta, smętna, prymitywna, zamknięta w sobie, jak dusza Sieny. Formy jej zewnętrzne były chłodne i surowe, jak fasady starych pałaców, wznoszących się wzdłuż niekończącej się *via Cavour*, podczas gdy wewnątrz nich, na przestronnych, kamiennych dziedzińcach, w wieńcu kolumn, zieleniły się bujne drzewa, kwitły słodko wonne, różowe migdały i glicyńje — tak jak w duszy ks. Marjana płonęły gorące, młode uniesienia, czekające odkłęcia...

„Dusza moja jest naprawdę jak dusza Sieny—stwierdził nazajutrz, gdy już przebiegł i poznał miasto w ogólnych zarysach. — Dużo w niej religijności, świętej wiary, ekstazy miłosnej, w jakiej starzy mistrze malowali „predelle“, zdobiące ołtarze. Oto jej podłoże. Są też w niej ciemne, ciasne zaułki, w które zejść się boję, jak w owe uliczki wązkie, ze stykającymi się dachami i balkonami, które biegną w dół, nie wiadomo, czy ku łąkom zielonym okalającym wzgórze, czy ku jakimś lochom i rowom obronnym, jakimi okalano w średnich wiekach stare zameczyska? Są też w niej ogrody, tak zielone i wesołe, jak Lizza, gdzie się bawią setki małych „bimbi“. Często też snują się po niej, nie rozumiejąc jej piękna, jej wspomnień, obey ludzie—obee myśli, które nie wiadomo skąd przybyły i dokąd dążą...



Pod wpływem wieści o rychłym końcu, zrodziła się w ks. Marjanie silna i konsekwentna żądza intensywnego

życia, wyczerpania do dna darów ostatnich dni. Zapra-
gnął w przyplwywie duchowego hedonizmu żyć pełnią du-
szy, pełnią jej najistotniejszych pragnień. Trzeba nietylko
zbliżyć się do Sieny, ale przeniknąć ją do dna, jak w go-
dzinie zadamy wieczornej przenika się samego siebie—obec-
go człowieka, który nagle staje się najdroższym powier-
nikiem.

Spędzał dnie w podnieceniu. Przebiegał w rozma-
rzeniu kościoły, galerje, klasztory, stawał na placu del
Campo, oparty o fontannę Gaja, i upajał się widokiem
misternej wieży *Mangia*, którą uduchowił swem natchnie-
niem Lippo Memmi... Wiedział, o której godzinie, w ja-
kim kościele, słońce, wnikając przez łukowe okna, oświec-
tli najładniej Madonnę z Dzieciątkiem, jej twarz litosną,
pełną świętej zadumy... Każda mała, wązka salka Aka-
demji była dlań odrębną kaplicą, gdzie sercem rozptomie-
nionem modlił się u ołtarzy prawdziwej sztuki... W Libre-
rii przerzuciał iluminowane księgi w takim skupieniu, jak-
by to był modlitewnik, w którym, wśród kart pożółkłych,
zasuszone były kwiaty jego najświętszych, nieodżałowanych
dni dzieciństwa...

Nietyle zachwycaty go płótna olbrzymów epoki: So-
domy, Peruzziego, lub rzeźby Cozzarellego i Quercii, ile
małe, ołtarzowe tryptyki pokornych sług Marji: Sana i Lo-
renza di Pietro, Beccafumiego, Duccia, Martiniego, malu-
jących z modlitwą na ustach sztywne, dobrotliwie posta-
cie świętych.

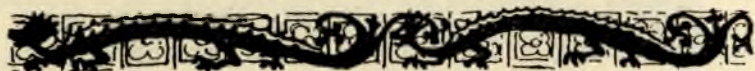
I obcując z obrazami tymi, z których wiał płomień
wzniosłej miłości i pokory, czując, jak mu na duszę kła-
dły Madonny swe uduchowione, dobrotliwe ręce, ksiądz
Marjan odnajdywał w sobie ducha prostoty i niepamięć
o męce.

Ani się spostrzegł, jak, idąc ku Wierze, napotykał

Sztukę, i ona to dopiero rzuciła go w objęcia Wiary! A Wiara owa, skąpana w słodkich uśmiechach świętych, w pogodnych spojrzeniach „angioletti'ch“, czuwających koło świętego tronu, w ekstazach św. Katarzyny, w ascetycznym obliczu św. Bernardyna, sama Sztuką się stawiała, iż istoty jednej od drugiej już rozróżnić nie mógł!..

Z pokorą odwiedzał dom Katarzyny Benincasa, oglądając z uwielbieniem relikwie, które pozostały po świętej, kawałki jej szaty, jej kij pielgrzymi, latarkę, z którą w nocy chodziła do chorych, poduszkę z prętów żelaznych, na której spała. Widział ją, gdy, w ekstazie, ta męczennica miłości, z zawartemi oczami i rękami skrzyżowanymi na wątych piersiach, dyktowała swe pisma. Układał w myśli kazania na cześć tej mądrej i dobrej Sienenki, które mieć będzie, gdy wróci. U Dominikanów, gdzie pochowana była czaszka Terejarki, modlił się z pokorą i uniesieniem, ale go z tej ekstazy religijnej wnet wyrwały płótna Sodomy i popadał w drugą ekstazę, równie silną—w ekstazę nad Pięknem odtwarzanego w barwach życia!

Jakże tu myśleć było można o wyjeździe, o ratowaniu zdrowia! Cel podróży był zapomniany, istniała tylko potrzeba pogrążania się, pogrążania coraz namiętniejszego w źródłach ekstazy!



Książd Marjan przestał analizować, zgłębiać siebie. Stał się pod wpływem Sieny tak nieskomplikowanym, tak prostym i pełnym wzniołej zadumy, jak postacie świętych na obrazach Duccia i Martiniego. *Wrócił do samego siebie.* Wrócił do tej młodzieńczej fazy życia, gdy kochał, wjczył, umiał płakać z radości i bólu, gdy dzieje cichych dni plotty się, jak śnione legiendy...

Przepadły kędyś w dalekich, sinych górach Toskańji, ccha udręczeń dacha, wymówki srogie, jakie dasza ustom czyni, które prawdy powiedzieć nie chcą i nie mogą...

Z mroków pamięci wynurza się wizja wieczora, roziskrzonego światłem gwiazd, gdy przysiągł sobie, iż służyć będzie Najświętszej Paniencie.

A teraz oto, po tylu rozterkach, powraca do Niej, do tej Dobrej, ma ją przed oczami stęsknionemi w stu obrazach, skupioną, cichą, w swej błękitnej sukience, przyzywa ją słowami św. Jana z Apokalipsy, cudownie piękną, w złotej koronie o dwunastu świecących w niej gwiazdach, stojącą na półksiężycu... Kocha ją miłością dojrzałą, pogłębioną bólem doświadczeń, miłością marzyciela, który przestąpił bramy wymarzonych ogrodów...



Fundasze wyczerpywały się powoli. Zdrowie nie powracało, ale bo też powrócić nie mogło wśród wilgoci naw kościelnych, wśród omszałych kamieni starych zamczysk. Słońce płonęło tylko wewnątrz, w duszy marzyciela — przepalało ją całą. Słabł, ale wyjechać nie chciał, nie mógł.

Musi umierać — o tem wiedział. Niechże się nacieszy przynajmniej Sieną, niech się spełni przeznaczenie jego tęsknot gorących! Jeśli Tam są wspomnienia, które stanowią rdzeń i sens bytu, niechże wspomnienia jego pełne będą Sieny, jej czaru, jej smętku, jej poezji.

Począł oszczędzać. Chodziło o to, by pieniądze starczyć mogły jak najdłużej. Tyle jeszcze do widzenia, do zaznania!

Prawie nie jadł, a tem samem wyczerpywał się coraz bardziej. Biegał bez wytchnienia dzień cały po ko-

ściołach i galerjach, jadał w nędznych *trattoriach*. Wreszcie postanowił nie jeść wcale. Jedyne i naiwne rozwiązanie kwestji... Odłożył kilkadziesiąt lirów na podróż powrotną, ale wnet napoezył i ten fundusik.

Teraz już wiedział, że nie wróci, że ostatnie jego spojrzenie będzie spojrzeniem na Sienę...

W miarę jak roztapiały się pieniądze, czuł zbliżający się koniec—nieodwołalny i nieubłagany. Z ostatnim centymem powinien przestać żyć. Powinien! Lecz jeśli się starczy na dłużej? Jeśli mu zdrowie spleta figła? Wzywał więc buddyjskiej *samadhi*, owego najwyższego skupienia, które poprzedza wspaniałe narodzenie woli, owej *prany*, która cuda czyni.

Musi umrzeć w porę!

Musi umrzeć w ekstazie, w zachwycie!



Przestał chodzić do Akademji, bo szkoda mu było lira za wejście: za to wejście do starych pałaców nie nie kosztuje. Tam też można się pogrążyć w błogostawione, pieszczotliwe sny o Życiu, które jest nieskończonem marzeniem, i o Śmierci łaskawej, która przybywa z zaświatów, zamknąć człowiekowi oczy na najpiękniejsze widoki ziemi...

Wchodził przez szeroką bramę do kolosalnych budowli średniowiecza, ponurych, jak fortece, z rzadkimi oknami, przedzielonemi marmurowemi „colonelli“, do pałaców Tolomei, Sansedoni, Piccolomini; siadał między rzędem kolumn, a góry tworzących arkady z wieńcami białych glicyńji o ametystowej barwie, owych cudnie pachnących, wiotkich glicyńji, które tak kochają stare mury.

Myślał o przeszłości smętnej, zadumanej Sieny tak, jak się myśli o przeszłości pięknej, zaciekawiającej kobie-

ty, w której rysach dawna królewskość zastygła. Przypominał sobie jej wojny publiczne i domowe, wojny z Pizą, Florencją i Perugją, rozruchy lennego rycerstwa, wojny mieszczan z ludem, walki na ulicach, rzezie, wygnania, czasy ciemństwa Viscontich, zwycięstwo Koźmy II i upragnioną wolność miasta. A potem despotyczne rządy Pandolfa Petracci, owego znakomitego mecenasa sztuki, za którego renesans rozwinął swe wielkie, barwne skrzydła. Stawały przed oczami marzyciela cudowne lata rozkwitu sztuki, gdy w powietrzu unosiły się atomy piękna, które wraz z tem powietrzem wchłaniali wielcy artyści; gdy żył i tworzył taki della Guercia, lub Sodoma, wznosiły się zamki i pałace według florenckich, najmistrzniejszych wzorów.

I biegł, by jeszcze raz oglądać te cuda, by mówić z nimi o wiekaistej sile Piękna, które duszy powraca jej młodość i wiarę...

Żył jak duch. Całkiem roztopił się w Sienie, pograżył w kontemplacji jej starzejącej się, a wiecznie młodej piękności. Przestał myśleć o potrzebach ciała, o głodzie, o śmierci, o wyczerpaniu funduszów. Chwilami miał wrażenie, że opuściła go jego własna dusza, i że ta dusza, umęczona, pełna tęsknot i marzeń *stała się duszą Sieny*.

Żył życiem jej starych, kruszących się murów, jej marmurów i rzeźb bezcennych, odczuwał ból kamieni, które z rozkazu czasu musiały odłączać się od całości, od dzieł i sztuki rozkruszać w proch, odbierając młodość i piękność posągom. Gdy w oczach jego wyjmowano z posadzki katedry owe subtelne „graffiti“, które były tak charakterystycznym jej czarem i tam tylko, na miejscu, mogły być zrozumiane i odczute, i te martwe, już nie mówiące marmurowe płyty przenoszono do „Opery“ katedry, jako ciekawość muzealna, miał wrażenie, że dobywano

z niego najskrytsze dzieje serea, żyjąc na dnie jego duszy, wspomnienia najdroższe i odczytywano je przed zgromadzonym mottochem z dużej, spłowiałej księgi...

Rozmowy podróży, zatrzymujących się przed fontanną Gaja i zatopionych w książkach z informacjami, podobnym wydawały mu się bluźnierstwem, jak głośny śmiech w kościele, podczas podniesienia.

I tak z topieli zachwytu przenosił się w otchłanie męki i znów wypływał na fali rozmarzenia z modlitwą na ustach do cudu wzmożonej przez Sztukę piękności Życia...



Pewnego dnia, gdy szedł przez uliczkę Fonteguista przed kościołkiem tej samej nazwy, by jeszcze raz spojrzeć na Madonnę Fungaia, (miał wtedy ostatnie dwa liry w kieszeni), mały złom marmurowy oderwał się z jednego z misternych kapiteli, zdobiących wejście, i w samą skroń go uderzył.

Lekkie, prawie nieznaczne, było uderzenie, lecz ksiądz Marjan padł na kolana, twarzą ku ziemi, z rozkrzyżowanymi rękami, a w tym ostatnim ruchu wielbił jeszcze wymarzone miasto, które go zabiło szczytkami swej umierającej piękności, w chwili najwznioślejszych zachwyków...

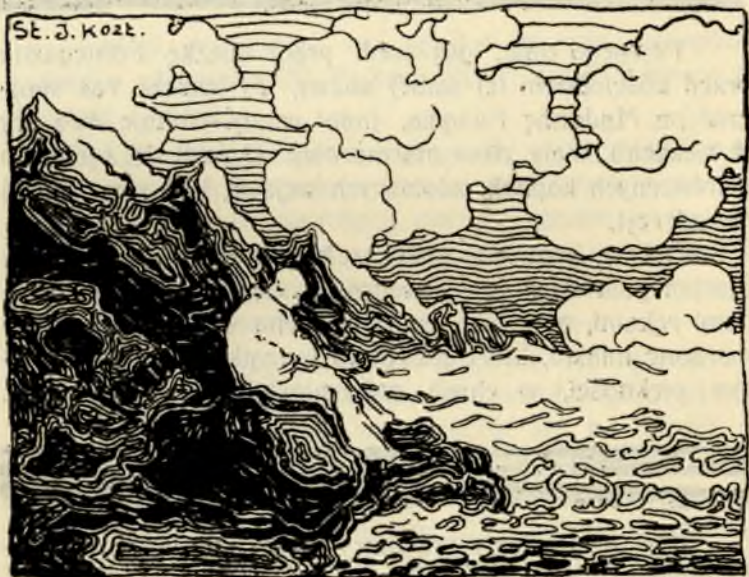


Oto kruszą się stare mury Sieny; kiedyś z cudownego miasta, z jego pałaców i kościołów, kupa gruzów zostanie. Wreszcie po setkach tysięcy lat grazy te zetrą się na proch, który wiatry na wsze świata strony rozniosą, bo murom nie kopią mogił, jak ludziom. Ciało w ziemi

spocznie i ziemią się stanie. Ale z ziemi nowe pokolenia
nowe czerpać będą pokłady kruszców i gliny, nowe budo-
wać świątynie i pałace. I tak: *dusza ludzka w duszy mia-
sta nanowo się odrodzi...*

Inna to już będzie dusza, bo inne będą mury. I in-
na forma miłości...

Sorrento, w Maja.





SAVITRI.

Brunhilda.

(Dokończenie).

IX.

KOMNATA w WIEŻY o jednym ostrołukowem oknie.

W alkwie skromne łoże. Nad niem wyciąga bolesne ramiona czarny, duży symbol — krzyż.

W dwóch ciemnych amforach stoją lilje.

Na ścianach zawieszono pęki ziela i polnych kwiatów mówią barwne opowieści o ziemi.

Przy oknie stoją BRUNHILDA w powłóczystej, czarnej sukni, opływającej ją falami bezwiednego smutku, i GUDRUNA.

GUDRUNA.

Z Islandji oddalonej
przybyłam tu za tobą —
i z bólem, bólem patrzę,
jak lica twe wciąż bladsze —
nie tobie to, ślubionej,
odziewać się żałobą!

BRUNHILDA.

Z Islandji oddalonej
przybyłaś za mną wierna
i widzisz, jak się zrywa
tęsknota ma niezmierna.
Lecz ona mi odkrywa
ludzkiego bólu źródło,
na ból mi daje leki,
i czarem jasnowidzeń
otwiera mi powieki.

GUDRUNA.

Kochaną dłoń twą biore,
w czuwaniu tak wychudłą...
Two serce bardzo chore...

BRUNHILDA.

Me serce bardzo chore
całego świata bólem...

GUDRUNA.

Nie lepiejże to z królem
godować, niż tu w ciszy
przywdziewać habit mniszy?

BRUNHILDA.

Pamiętaj — ja walkira
z wichrami mknę w zawody,
nie dla mnie miękkie gody!
Lecz teraz, dziewczko droga,
czuwając, stań u proga
i wpuszczaj po kolei

tych, co szukają u mnie
pociechy i nadziei.

GUDRUNA wychodzi.

Wchodzi PIELGRZYM (zakąturzony).

PIELGRZYM.

Od twej skroni, wysokiej męczeństwem,
w tajemnicy, w miłczeniu spowitem,
idzie jasność smugami po ziemi,
spływa cisza bezchmurnym błękitem.
Oto w duszach, miast nędznych lepienek,
zbudowałaś zorżane pałace,
oto tłumy z popiołów i prochu
swe czuwania dźwignęły i praec
mocą myśli, twej woli poddane;
rozłamałaś przyszłości wierzeje,
niezrodzone pojęłaś już dzieje,
i obwieszczasz nadzieję radosną,
że królestwo cierpienia już zmierzcha...
Daj i mnie rozpromienić się wiosną,
mów, że ból, nawet mój, w końcu pierzecha!

BRUNHILDA.

Oto słucham, skupiona i chętna.

PIELGRZYM.

Opętała mnie moc potępieńcza,
okowała mnie żądza namiętna,
i zabija, i gnie, i wycieńcza,
i szalonem wybuchu zarzewiem...
Mów, gdzie schron, gdzie ratunek?

BRUNHILDA.

Ja nie wiem...

PIELGRZYM.

A — ty nie wiesz?! Ty — wieszczą walkira,
czyż nieznane ci czary i leki
na żrącego człowieczą pierś skira?

BRUNHILDA.

Dzień wybawień daleki, daleki...

PIELGRZYM.

Pierś człowiecza tak strasznie się krwawi,
pierś człowiecza tak chora miłością!
Miłosierdzia! Kto zleczy, kto zbawi?

BRUNHILDA.

Wyniszez w sobie palące pragnienie,
zagaś życia szkarłatne płomienie,
biała cisza się w tobie uczyni,
i owionie ekstazą — wiecznością...

PIELGRZYM.

Lecz ja żyć chcę — chcę żyć, choćby w męce,
za purpurę mych żył nie chcę bieli
pogrzebowej, trumiennej pościeli...
Zbaw!

BRUNHILDA.

Nie mogę.

PIELGRZYM.

Ty możesz! Ofiarna!

ogrzej pierś, w której cisza ementarna
 zgrzyta szczęką spróchniałą, szkielecą.
 Jak w zwierciadło, w twe oczy pogodne
 daj mi patrzeć — i usta me głodne
 nasyć miękką pieszczotą kobiecą.
 Mnie tęsknica niemocą obarcza,
 skroń ma zgięta, dłoń żółta, jak starcza —
 Nie skąp blasku twej cadnej urody,
 dość mi spocząć na piersi twej młodej,
 a powstanę z niej w szczęście — kolosem!...

BRUNHILDA.

Ktoś ty?! Mówisz tak znanym mi głosem!

(PIELGRZYM odrzuca kaptur,
 ukazuje się jako GÜNTER).

GÜNTER.

Mnie deptała twa stopa wzgardliwa,
 Odrzuciłaś mnie, dumna i groźna,
 ale męka, łkająca i żywa,
 pod twe stopy mnie znowu przywiodła...
 Rozpaczliwa, obłędna brzmi modła,
 czyż wysłuchasz jej cicha i mroźna?
 I nie spłyniesz w ramiona litosna,
 jak zbawienie, jak szczęście, jak wiosna?

BRUNHILDA.

O, nie klękaj tak przy mnie z błaganiecm,
 o nie całuj mych stóp —
 i kobiety nie wołaj ze łkaniem —
 ja ukryłam jej trupa w habicie:
 we mnie zgaśło, amarło już życie:
 jestem grób...

GUNTER.

O, niech będą przeklęte te oczy,
które ciebie śmiertelnie zraniły,
o, niech będą przeklęte te dłonie,
które w tobie kobietę zabiły!

Wybiega z jękiem, BRUNHILDA opiera głowę o krzyż i stoi nieporuszona. Do komnaty wpelza powoli potworny, nieprzenikniony mrok i zasnuwa wszystko czarną krepą beznadziei...

X.

SZCZYT WIEŻY, otwarty z czterech stron, zawieszony w ciemno-szafirowej kopule nocnego nieba.

Gwiazdy, jak mirjady srebrnych lampek, płoną korne i czyste u stóp Nieskończoności, lub, zebrane w opalowe różańce, szepczą strzeliste, proszalne antyfony na krawędziach Otchłani.

Wchodzi BRUNHILDA.

Staje, zahypnotyzowana czarem i potęgą Bezkresu.

I nagle bezwiednie wzbiera fala boleśnie nieprzewyciężonej, palącej jak potok lawy, a zagadkowej, jak dziwacznie pokręcone płatki orchidei — DOCZESNOŚCI.

BRUNHILDA.

(DIALOG z Tętnem Życia, Wiecznością i Sobą).

Oto przyszłam, Wieczności, ku tobie,
czytać przyszłość ze srebrnych twych run —
ale zakrył mi oczy i słuch
ten dziwny płacz, ten dziwny jęk
zniszczonych stron, zerwanych stron —
mnie chwyta żal, mnie chwyta lęk —
chcę żyć!

Stucham...

Może w ciszy katakumb, w ich pleśni,
 życia dech się obudzi, rozpieśni,
 zmartwychwstań dech, radości dech —
 Podnoszę skroń — o leć, o dzwoń!
 Stucham — wszystko umarłe!
 Związać się nie da zerwana nić...
 Chcę żyć, chcę żyć!

Ja jestem szal, ja jestem burza,
 mój wieher kruszy w miął tarnice,
 okręty w głębie fal ponarza —
 Miałam korale - błyskawice —
 miałam za broń maczugi - grzmoty,
 i miałam z chmur ognistych płaszcze —
 i szumią po nich me tęsknoty,
 jak rozechwiane, smętne haszcze.

Ja jestem szal, ja jestem burza!
 Przech-że ta męka nie przemija,
 co mnie tak strasznie wynaturza,
 tak bezpowrotnie mnie zabija?
 Spętano skrzydła me wichrowe,
 zburzono mocy mej przedmarza...
 Wróćcie wy, banty pioranowe!
 Ja jestem szal, ja jestem burza!

Do stóp ci padam, Wieczności, w pokłonie,
 i łkam — i łkam...
 Mocarko w globów koronie,
 twa kryształna wyżyna — to jest ból, to kłam!
 to są chłodne martwice, to pragnień agońje!
 Ja ci oddam promienie wszystkich słońce w zenicie
 i wszystkie księżycowe, niezemskie symfoniaje,
 za jeden akord — za Życie!

Ja chcę być Chwilą!
Niech rozkute z ascezy moje usta cheiwe
sok rubinowy z czary magicznej wychylą —
niech się zapomną, niech będą szczęśliwe!
Wtedy, gdy mnie baśniany welon djamentowy
w nieopisane spowinie jaśnienia,
wtedy ja przejrzę i pocznę świat nowy,
ze szczęścia, nie z łez cierpienia!

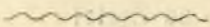
Słucham:
we mnie umarła, nieprzerwana cisza...
W mej piersi—łzami wyżłobiona nisza
na czysty posąg Wieczności...

Podnoszę ramię olbrzymie
mej twórczej, beznamiętnej, wszechwiednej mi-
opieram je o szafiry [łości—
i z nich, wieszczę mocą walkiry,
odecyfrowuję, jak z kart pergaminu,
nadechodzącego dnia imię,
i treści, i formę Czynu...

O — wplątane w orbity, w wyroczne zodyjaki
dziwne tajnice odkrywają znaki!
Oto komety płomienista kiść
lśniące mgławice przecina...

Bije mej woli godzina,
ja muszę iść, ja muszę iść,
objawić nieomylność snów,
błyskawicami mych słów!

Wieczność bierze ją na nieogarnione błękitne skrzydła i niesie
w świetliste harmonje rozwirowanych światów.



XI.

HALA w zamku królewskim, przybrana w girlandy z dębowych liści.

Pochodnie, przytwierdzone do ścian i filarów, kapią bursztynowymi łzami na kamienne flizy.

W środku — olbrzymi stół, pokryty drogą makatą, zastawiony ubitą zwierzyną i srebrnymi rostruchanami.

Pacholki i paziowie z chłopięcą twarzą pod aksamitnym beretem krzątają się z wesołym gwarem.

Przez drzwi, otwarte na ogród, słychać zawodny poszept ial Rena.

Wchodzą przez nie UCZTOWNICY.

HAGEN.

Nie podołałem jego sile
i pod Zygryda twardą ręką
znowu, o hańbo, ległem w pyle,
ze mną ma sława... Męko, męko!

PIERWSZY RYCERZ ZYGFRYDA.

W bój potrzeza iść, nie na turnieje,
on żyje, śniąc, a miecz rdzewieje!

DRUGI RYCERZ ZYGFRYDA.

I cóż ty wiesz? Moc łśni mu z czoła,
w nieznane inny mus go woła.

PIERWSZY RYCERZ ZYGFRYDA.

Więc mu kobiece szaty włóż,
więc go piosenką słodką pieść!

Hej! trzaby płynąć w bezkres mórz!
Hej! niechże gruchnie bitwy wieść!

Wchodzą ZYGFRYD i KRYMHILDA.

KRYMHILDA.

Tak piękny ogród — róż aromat
cieszy, jak rondo, lka, jak tren —
tam w migotaniu gwiazdnych gromad,
iści się dziwnie piękny sen...
Nie lubię w rozgwar iść i tłum...

ZYGFRYD.

Otacza nas wysoki tłum,
samotni w nim klęczymy my,
choć wkoło śmiech i pobrzęk czar...

KRYMHILDA.

Więc idźmy w tłum, więc idźmy w gwar,
rzucajmy wkoło dary łask:
niezmąconego piękna blask.

ZYGFRYD.

Żyjemy w czystym, jasnym pięknie,
nie znając dotąd pęt łubieży:
nasz miłość - ptak jej się ulęknie.
Tyś kwiat w pąkowiu, wiecznie świeży.

KRYMHILDA.

Harmonją być, w myśleniu rość —
to szczęścia dość, to szczęścia dość!

Wchodzi BRÜNHILDA.

SKALD (zbliża się do Brunhildy).

Ty dajesz czar słonecznych słów
dla skołatanych męką głów, —
Walkiro, mów!
Odrzekły „nie!“ stokroci listki,
i nic nie pomógł sok lubystki!
Dobrem zakłęciem z męki zwól —
Ona za górna — a mój ból
jest zatraceniem, jest mi złem!

BRUNHILDA.

I cóż ja wiem, i cóż ja wiem?

Przechodzi, nisko pochylając głowę.

GUNTER.

Królowa tu — w bieli, w wieńcu.
Możeś wspomniała o szaleńcu,
co ledwo, ledwo wierzyć śmie?!...

BRUNHILDA.

O nie, o nie!

Przechodzi.

HAGEN.

Hej! szumi wino w rostruchanie!
Pijmy! Niech każdy zapomina
o swojej trosce, swojej ranie,
niech ją utopi w pianach wina!
Czekają puste ławy nas,
niech nam ochoczko przejdzie wczas!

UCZTOWNICY.

Czekają puste ławy nas,
niech nam ohocho przejdzie wczas!

Zasiadają przy stole.

GÜNTER.

Na chwilę goście oniemieli,
niech nas kto pieśnią uweseli!

HAGEN.

Zaśpiewaj, skaldzie!

Skald siedzi ponury.

UCZTOWNICY.

Zaśpiewaj, skaldzie!

SKALD.

Nie zaśpiewam już więcej,
bo pieśń moja od dzisiaj — skołała.

Ciężkie milczenie.

GÜNTER.

Pij — krew zatętni ci goręcej,
zaśpiewasz nam, zaśpiewasz nam!

HAGEN.

Jakaś cię zmora opętała,
tyś niby wid z mogiłnych jam!
niechże kto inny pieśń nam gra,
niech śpiewa nam, niech śpiewa nam!

BRUNHILDA.

Zaśpiewam ja, zaśpiewam ja!

UCZTOWNICY.

Gęśl złotostrunną dajcie jej —
Królowa śpiewa, hej, o hej!

PIEŚNI BRUNHILDY.

PIEŚŃ MARZENIA.

Rzucam tysiąc uśmiechów do świata,
i maluję na szarych mgłach tęcze,
i z ogrodów nieznanych przynoszę
jaśminowych gałązek naręcze.

Kołysz, kołysz mię, srebrne marzenie!

Powiadają, że są tu cierpienia,
niepojęte, zabójcze, bezdenne,
choć piękne. — Niech idą boleśni
po balsamy w królestwo me sennie!

Kołysz, kołysz mię, srebrne marzenie!

Powiadają, że ból, smok potworny,
oczekuje mej dłoni i miecza,
lecz nie idę z nim w bój, bo on może
tylko życiu, lecz snom nie zaprzecza.

Kołysz, kołysz mię, srebrne marzenie!

Po wytworne i rzadkie storezki
idę w smatne i pełne dam bory

i wysączam co dnia czysty napój —
doskonałość z niebiańskiej amfory!
 Kołysz, kołysz mię, srebrne marzenie!
 ZYGFRYD podnosi się, uderzony, i słucha.

ZYGFRYD.

To o mnie śpiew, to o mnie śpiew!

PIEŚŃ CZYNI.

Idea — wizja nikła i rozwiewna
w kształcie objawić chce pełnię swych kras,
chce żyć dreszczami mięśni i krwi tętnem!
Oto przychodzę, by ci rzec: już czas!
 Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!

Niechaj wybuchnie krzyk gromowej woli,
niech się przeleje w wielki głaźny czyn!
Oto potężna pieczęć Wykończenia
jest odkupieniem wszystkich nędz i win!
 Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!

Niech cię szalone rozpalą pożary,
niech ci się batnym gniewem ściągnie brew,
zrzuć słodkie piękna girlandy - okowy,
wstań jako olbrzym, wstań jak rycerz-lew.
 Idź zerwać słońce buntowniczą dłonią!

ZYGFRYD.

To do mnie śpiew, to do mnie śpiew!

PIEŚŃ WRÓŻBY.

Wyteżam wieszczy wzrok
i wśród dziejowej kurzawy

ja widzę obłok krwawy,
nadchodzi śmierć, nadchodzi mrok!

Nieszczęście blisko — słońce gmach!
Słyszę przyszłości cichy zew —
Już wielkooki pędzi strach —
na ludy idzie Boży gniew,
popłynie krew, popłynie krew!

Zygrydzie, wstań!
Ty, przeznaczenia twego zbieg,
pod sobą w głąb usuwasz brzeg!
Berło twej mocy, skarb ukochań —
to niszczyciela będzie dań!
Twą niedościgłą opuść grań,
Miecz imaj w dłoń,
nadzieja w tobie — ludów broń!
Zygrydzie, wstań! Zygfrydzie, wstań!

Ostrzcie orężę wasze, woje,
czas tępić zło.

On idzie już!

UCZTOWNICY.

Kto idzie, kto? —

BRUNHILDA.

Na czele hufców idzie on,
a za nim jęk, zniszczenie, zgon.
Gdziekolwiek stąpi jego koń,
tam nie zakwitnie więcej błon.
To ten, co zgasi ludów znicz,
on, Boży bicz!

UCZTOWNICY.

Kto?! Imię mów!

BRUNHILDA.

Czyż może myśl w przepaściach snów
wyłowić imię — dźwięk?
Zabierze krwi bezcenną dań,
za hafem pomknie dziki haf,
za nimi płacz, za nimi jęk!
Zygfrydzie, wstań!

ZYGFRYD.

Dość żyć dalekim, cichym snem!
Iść w bój, na czyn! Już wiem, już wiem!
Krymhildo! Czemu oczy w łzach?

KRYMHILDA.

Mój djamentowy pryska gmach.

UCZTOWNICY.

Walkira wieszczą taka blada —
chwieje się — pada —

Gunter bierze w ramiona bezwładną. Ucztownicy opusz-
czają salę, oglądając się w milczeniu.

GÜNTER (nad omdlałą Brunhildą).

On się zbudził jak lew — splomieniłaś mu krew,
bo włożyłaś w twą pieśń wszystkie żary.
Wklęłaś w źrenic twych noc — tęsknot obłąd i moc
i miłości namiętnej bezmiary.
Moja rozpacz cię klnie — nie śpiewałaś ty mnie,
nie wróżyłaś twych źrenic otchłania.

Wścickty szarpie mię ból—pieść go w myślach i tuł
 jego dłońce, co ciebie tak ranią!
 Śpij, o blada ty, śpij! — ja ci pieśń żądlęm źmij
 pociehatka zasycę do ucha:
 na mąk piekło, na žal — ukojenie mam: stal!
 Niech on pieśni Walkiry nie słuca!

Pochodnie zaczynają gasnąć. Gunter z potępieńczą rozkoszą patrzy na ocknienie Brunhildy, wehlaniając chciwością oszalałych zmysłów każde jej poruszenie.

XII.

BRZEG RENU. Rzeka mieni się w srebrnych refleksach księżycowej poświaty i fale z cichą skargą omdlewają na piaskach. Nadchodzą od strony królewskiego ogrodu GUNTER i HAGEN z pochodnią w ręku.

HAGEN.

Ha! Ha! zstąpiła ze swej wieży,
 by bohatera, lwa rycerzy,
 ogniem swych oczu oczarować.

GUNTER.

Milez, milez!

HAGEN.

W milezeniu chcesz pochować
 to, o czem trąbią wszystkie gadki!
 Nie wielkie-ć szczęście wiozły statki!
 Nie warto było w dal wędrować,
 by kwitł innemu kwiat twój rzadki.

GÜNTER.

Milez, milez, bo w skurezu złej boleści,
dłonie szukają rękojeści...

HAGEN.

O, niech ją znajdą, niech pochwycą,
niech zazdrość leczą, zemstę sycą!

GÜNTER.

Nie, zemście nie dam się ponosić!
Ona szła tylko wróżby głosić!

HAGEN.

Zygfryda w sercu ma wróżycha,
bo ezemaż miłość twą odpycha?
Lecz gdy ci Zygfryd zejdzie z drogi...

GÜNTER.

Czemuś ty jemu taki wrogi?

HAGEN.

Tak, ja Zygfryda nienawidzę!
Z nim wszystkie serca w jasnej lidze,
bo on odemnie je odwrócił,
on mnie do stóp swych w walce rzucił,
wziął pierwsze miejsce bohatera,
mnie przynależne! Niech umiera!
Gdy go głęboki dół pochowa,
łacniej wysłucha cię królowa.

GÜNTER.

A siostra moja — jego żona?

HAGEN.

Ona tak cicha, tak zaśniona,
nie całunkami jego żyje,
smutek z jej duszą nierozdzielny:
nigdy nie płoną krwią lilije.
Dla innych niewiast cios śmiertelny,
nie zdoła zniszczyć kras królewny,
smutek jej blizki druh pokrewny.

GÜNTER.

Przed jego krwią ma dłoń się wzdraga.

HAGEN.

Ha, Ha! Mnie cieszy klinga naga,
daj — czekam tylko przyzwolenia.
Ukałem świetny plan zniszczenia.

GÜNTER.

Mów.

HAGEN.

Znam sekret, który nam się przyda,
pancerz nie zbawi już Zygryda!
Kiedy, zabiwszy w boju smoka,
we strudze kąpał się rogowej,
padł mu na plecy liść dębowy
i nie zakrzepła tam posoka.
Tam go ugodzić na śmierć można,
byle dłoń pewna i ostrożna!
Ulfa Krymhilda za mem słowem
miejsce na szacie znakiem wskaże,
bom sereem przyrzekł jej gotowem

czuć, gdy warezą ciosy wraże —
(ze śmiechem)

Ja — nad nim! czuć jej przyrzekłem.

GUNTER.

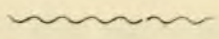
Zabłyśnie cisza nad tem piekłem,
co moją chorą pierś rozdziera!
Nie ja, los zniszczy bohatera!
Gotuj na jutro wielkie łowy.

HAGEN.

Ze świtem strzelców ślę w dąbrowy.
Idźmy, bo gaśnie już pochodnia.

GUNTER.

Oto już w nas się stała zbrodnia...
Oddalają się. Z połyskliwej toni wychodzą na brzeg rusalki,
nucą długą, bezgranicznie smutną, żalną pieśń...



XIII.

WNĘTRZE KATEDRY. Noc. Pośrodku nawy wznosi się katafalk. Na nim w odkrytej trumnie zamordowany ZYGFRYD.

Błede gromnice w srebrnych, wieloramiennych, świecznikach nikłym, rozproszonym blaskiem ledwo uwidoczniają arkady kolumn i ostrolukowe, olbrzymie sklepienia, od których apuszcza się majestatyczny mrok.

Gdzieniegdzie niewyraźnie majaczą posągi na tle przepychu misternej ornamentacji, zawiłych płatanin roślin, potworów i fantastycznych postaci.

Przez jeden z witraży miękko wchodzi miesięczna poświata i ściele się szeroką smugą aż do stóp katafalku.

Przez boczne drzwi wchodzi BRUNHILDA i idzie lunatycznie ku tramnie.

Stoi nieporuszona długą chwilę.
Zaczyna mówić bezdźwięcznie.

Z mego zamka ja szłam w ciemną noc,
oto przyszłam pożegnać się z tobą!
Wszystko schłonął w czeluściach swych rok,
wszystko okrył tak grubą żalobą!
Ja dziękuję ci, drogi, za ból,
który we mnie obudził olbrzymia,
który wziął mnie w żelazne ramiona,
i tak moeno, zazdrośnie mnie trzyma.
Ja dziękuję ci też za mą biel, —
to umarli bywają tak biali —
za mój uśmiech, podobny uśmiechom
tych, co jasno na mękach konali.
Za umarłą dziękuję ci pieśń,
za przebrzmiałe potęgi mej burze,
i za ciężkie bisiory mych łez,
za uwiędłe młodości mej róże,
niespełniony postannietw mych cud,
żar wygasły w wulkanów mych lawie —
a że wszystko to szło z twoich rąk,
bezgraniczny mój ból błogostawię!
Nie słyszałeś bezmownych mych skarg,
nie wstrząsł ciebie mój płacz rozpaczliwy —
Żegnaj, nie tknę umarłych twych warg,
których zawsze bronileś mi żywy!

Patrzy długo w zastygłe i w śmierci przepiękne rysy.

Niosłam ci czynu potężne natchnienie,
niosłam zakłęcie jasnej, twórczej woli,
lecz ty wybrałeś marzenie!

Niosłam ci wszelkiej tęsknoty wecielenie
w słonecznych blasków żarnej aureoli,
lecz ty wybrałeś marzenie!

Pochyla się, by wyszeptać tylko jasnowidzącem przeczuciem
odgadniętą tajemnicę.

Olbrzymka ja — i olbrzym ty —
znów po niejednym awatarze,
połączy nas przeznaczeń dłoń,
zamknie w miłości wirydarze.
Miłości grozę, klątwę, tajń,
zgiębimy w szczęścia oceanie,
z miłości szczęścia, bez jej mąk,
ludzkości nowy ród powstanie!

Tajemnica tonie w nowej fali męczarni.

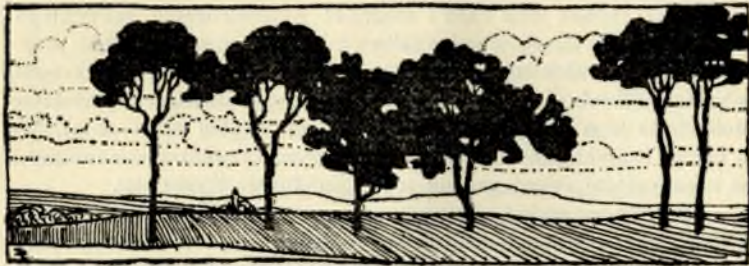
BRÜNHILDA wybucha z jękiem dalekiej reminiscencji:

Miałaś moc cudotwórczą nademną,
i ta moc twoja poszła na marne —

Urywa na chwilę, załamuje ręce nad głową i śpiewa z szalonym nieprzytomnym lkaniem:

Patrz, ze mnie bucha
i czar, i moc,
ja czekam słońca
w bezgwiezdnej noc!





Przeglądy i Sprawozdania.

Z LITERATURY SKANDYNAWSKIEJ.

Pisma pośmiertne Henryka Ibsena.

„Gdy młode wino szumieć poczyna“, komedja Björn-
stjaerne Björnsona.

Nie można się oprzeć dziwnie przykremu uczuciu wobec trzech obszernych tomów (zawierających razem przeszło tysiąc czterysta trzydzieści stron) pośmiertnych prac Henryka Ibsena w wydaniu norweskiem.

Mimowoli nasuwa się uparcie przed oczy twarz zmarłego poety z zaciśniętymi mocno wargami, jakgdyby z obawy, aby przez nie nie wymknął się wyraz, któryby mógł zdradzić myśl, nie przeznaczoną dla świata. Zda się, jakgdyby popełniono gwałt na wielkim człowieku, przemocą otwierając mu zaciśnięte usta, aby mówiły, czego nie chciały wyznać dobrowolnie.

Jeżeli śmierć przerwie pieśń życia, zanim ona zdołała wykazać całą swoją harmonję, jak to się stało u nas niejednokrotnie, nie dziw, że w żalu po cudnych dźwiękach nasłuchujemy, czy nie odezwą się z zagrobu, kończąc śpiew nagle urwany, szukamy w paściźnie poety, czy ze strzępów myśli nie dałoby się wysnuć wątku całości, która mogłaby nam dać pojęcie, cośmy stracili, że pocie nie danem było dośpiewać pieśni.

Ibsen jednak miał czas i możność wypowiedzenia wszystkiego, co kiedykolwiek dusza jego wrażliwa odczuła, a umysł głęboki prze-myślał. Nie zbrakło mu nawet czasu na położenie końcowej kropki, na wypowiedzenie ostatniego słowa, mającego stanowić wyjaśnienie całokształtu jego pracy twórczej. Stało się według planu poety, jego epilog dramatyczny „Naar vi döde vaagner“ (Zmartwychwstanie) był rzeczywiście zakończeniem jego działalności literackiej.

Zmarły znany był ze starannego ukrywania się przed niepo-wołanymi, że szukał wyrazu dla myśli swojej, że nie od razu znalazł dla niej szatę, w której ją przedstawił ogółowi—to też rękopisy jego szły do druku bez najdrobniejszej poprawki, jako ostateczna, najlep-sza, zdaniem autora, koncepcja, nie wykazując śladu najmniejszych wahań niepewności. Krytyk literacki, Henryk Jaeger wspomina, że w r. 1887 Ibsen przyznał mu się, iż nie może odżalować pierwotnego rękopisu „Branda“, który darował komuś. „Jeg syner ikke om at Folk skal se, hvilke Dumheder jeg hargjort for jeg fik mit Arbejde, som jeg vilde have det“—(Nie lubię, aby ludzie widzieli, jakie popeł-niałem głupstwa, zanim praca moja była taka, jaką ją mieć chciałem) wyraził się żartobliwie.

Ilekróć zdawał sobie sprawę z okoliczności i sposobu zrodze-nia się, jakiegoś pomysłu i z rozwoju tegoż w dzieło sztuki, sam pi-sał o tem szczegółowo, jak np. w przedmowie do „Komedji miłości“. Czego więc nie powiedział, powiedzieć nie chciał, czego sam nie wy-dał, widocznie godnem wydania nie uznał.

Nowego zupełnie w pośmiertnych tych pracach znajdujemy bardzo niewiele. Pierwszy tom poświęcony jest utworom przeważnie młodzieńczym: znajdujemy tu zatem nie objęte zbiorowem wy-daniem liryki lub warjanty ogłoszonych wierszy, artykuły prozą treści politycznej i recenzje literackie.

Sensacją dla grzebiących zapamiętałe w pozostałych papierach był niewykończony tekst do opery, mającej nosić tytuł „Fjeld fuglen“ (Ptak górski).

Również nieznanym szerzej był zupełnie wykończony, niby współczesny, ale przepełniony staro romantycznymi motywami świata baśniowego dramat p. t. „Sancthansnatten“ (Noc świętojańska). Za-czerpnięty jest ze świata pół fantastycznego, pół rzeczywistego, a wi-docznie był wystawiany w czasie, gdy Ibsen był kierownikiem teatru w Bergen, tekst bowiem czerpano, nie z rękopisu oryginalnego, lecz z egzemplarza suflera teatralnego. Obie te prace niczem nie zdrad-zają nie tylko gieńjusz, ale nawet talentu nie mają i śladu, będąc prostem naśladownictwem.

Jedyną istotną wartość posiadają kartki pamiętnika poety, nie-liczne, ale rzucające jasne światło na jego dzieciństwo, spędzone w miasteczku Skien, miejscu jego urodzenia. O dzieciństwie tem miało się dotąd skąpe wiadomości, dające pole do wyrobienia się opinii zupełnie fałszywej o ówczesnem środowisku poety.

Z poważnego, niemal ponurego przeważnie nastroju jego wysnuto ogólnie wniosek, że dzieciństwo miał smutne, a stosunki w domu rodzicielskim przykre. Krótkie, skąpe w szczegóły wspomnienia dają jednak zgoła odmienny obraz. Dom rodzinny Ibsena napelniał bezustannie wesoły gwar, bawiono się tu często i to nietylko w ciasnem kółku rodzinnem, lecz w szerokiem kole przyjaciół i znajomych. Na wyobraźnię przyszłego poety widocznie jednak potężniej działał widok pręgierza i ciemnego, starego ratusza, (w którego wilgotnych podziemiach ongi trzymano pod kluczem chorych umysłowo), znajdujących się w rynku, naprost okien mieszkania rodziców, niż śmiech i zabawa w niem rozbrzmiewające, stąd u niego ta przewaga melancholji i powagi.

Przeważającą część pośmiertnego wydania stanowi materiał, cenny jedynie dla specjalistów, krytyków zawodowych, a mianowicie szkice i notaty do wszystkich dramatów, zarówno romantycznych, jak wcielających współczesne poecie kwestje filozoficzne i społeczne z wyjątkiem „Wroga ludu“, który, zdaje się, rzucony został na papier jednym tchem“.

Jak wiadomo, epiczne opracowanie „Branda“ wydał przed rokiem profesor kopenhaski a zarazem ceniony literat, Karol Larsen, otrzymawszy je od jakiegoś Duńczyka, który je znalazł zupełnie przypadkowo w antykwarni rzymskiej.

Nie okazały się tedy te obszerne tomy skarbem, obfitującym w drogocenne klejnoty, nie rzuciły nowego światła na duchową fizjonomję Ibsena, dowodzą jednak pietyzmu dla poety, który imię Norwegji rozslawił po całym cywilizowanym świecie.

Znów przypadkowy traf złączył w ostatnim czasie nazwiska wielkich współzawodników—obok głosu z zagrobu Ibsena odezwał się zapewne labędzim śpiewem rywal jego Bjørnstjerne Bjørnson.

Zestawienie ostatniej pracy Ibsena „Naar vi døde vaagner“ z najnowszą komedją Bjørnsona wykazuje najdosadniej właściwości każdego z poetów. Ibsen-indywidualista raz jeszcze podnosi głos za prawem jednostki, za bezwzględnem prawem, a nawet obowiązkiem szukania szczęścia osobistego, Bjørnson każe interesom osobnika podporządkowywać się pod dobro ogólne, szczęście poszczególnego

członka rodziny bez wszelkiej litości usuwa na drugi plan wobec przyszłości całego rodu.

Trzyaktowa komedia Björnsona p. t. „Naar den ny Vin blomstrer“ (Gdy młode wino szumieć poczyna) posiada wszystkie cechy talentu poety tego: sceny niektóre ma przepyszne, dialog pełen młodzieńczego ognia, temperamentu, który Björnson zachował dotąd w całej, niepohamowanej sile, figury przeważnie uchwycone znakomicie, drgające życiem.

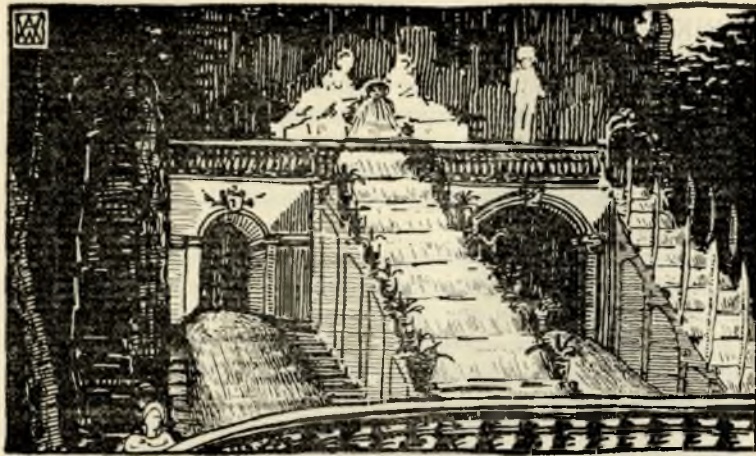
W zawiązaniu węzła dramatycznego, który Ibsen tak kunsztownie umiał zawikłać, Björnson nie celował nigdy; nie posiada go też i ta sztuka, dlatego u postaci jego, bardzo dobrych w charakterystyce ogólnej, rażą niemile czyny zupełnie nieumotywowane. Najlepsze sztuki tego poety psuje dotkliwie ten brak, i tu może po części tkwi przyczyna ich małego rozpowszechnienia poza Skandynawją, która zachwyca się werwą, efektami teatralnymi, w jakich Björnson jest mistrzem, z kurtuazji dla sławnego imienia przeoczając brak konsekwencji.

Podobnie jak kilka ostatnich sztuk, i ta komedia rozgrywa się w sferze wiejskiej, a przedmiotem jej — nieporozumienia między starymi a młodymi. Tylko Jonaszowi Lie ustępuje Björnson pod względem zrozumienia młodzieży, odczuwa on intensywnie jej pęd naprzód, jej pragnienie wyrwania się do samodzielnego życia, ale sercem bliżsi mu ci, którzy przeszłość mają za sobą.

Jeżeli sztuka ma rzeczywiście stanowić niejako ostatnie słowo poety, przyznać trzeba, że doskonale harmonizuje z dachowym jego obrazem, który można sobie było wyrobić na podstawie znajomości utworów jego. Nie marzycielska to ani refleksyjna natura, lecz pełna energii czynnej, której wiek przemóc a nawet osłabić nie zdołał.

Sam człowiek nic nie znaczy — siła jego w związkach z innymi, a chociażby tylko z jedną istotą, z którą nas łączy jedność myśli i uczuć, jak Arwikowie z ostatniej sztuki. Tak wierzył Björnson, gdy wchodził w życie, tak wierzy a schyłku jego.

Józefa Klemensiewiczowa.



WRAŻENIA MUZYCZNE.

(Styczeń, luty).

Sezon koncertowy. Opera włoska. Setna rocznica Chopina.

Tegoroczny sezon muzyczny odznacza się dość dużym ożywieniem: zwłaszcza Warszawska Orkiestra Symfoniczna, pod kierunkiem p. Fitelberga, dała w ostatnich czasach szereg koncertów wysoce interesujących zarówno pod względem doboru dzieł muzycznych, jakoteż wykonawców. Pomiędzy tymi ostatnimi znalazły się nazwiska artystów oślawie wszechświatowej: Ysaye, Pablo Casals, Pugno, Weingartner, Auer, Landowska.

Najwspanialszym koncertem, jak dla mnie przynajmniej, był koncert pod dyrekcją znakomitego kapelmistrza Weingartnera, dyrektora Opery Wiedeńskiej. Pod jego kierunkiem wykonano V-ą symfonię Beethovena, wykonano ją z perfekcją niemal idealną. P. Weingartner uchodzi za jednego z najpoważniejszych znawców muzyki Beethovena: w istocie opińja ta jest najzupełniej usprawiedliwiona i słuszna: nie miałem jeszcze chyba sposobności slyszec tego wiekopomnego arcydzieła, odtworzonego z tak wysce artystycznym poczuciem stylu w najdrobniejszych szczegółach.

Przedewszystkiem — tempo i rytm, które stanowią najniezbędniejsze czynniki wiernego wykonania, czynniki tak nieuchwytnie, że

przez każdego niemal rozumiane inaczej, w danym razie były chyba najzupełniej zastosowane do życzenia kompozytora. Wykonanie symfonji utwierdziło mnie w przekonaniu, że p. Weingartner posiada między innymi nadzwyczaj chwalebny zaletę, dość rzadko niestety spotykaną, mianowicie poszanowanie wskazówek, pozostawionych przez autora.

Nieraz jesteśmy świadkami przeróżnych nadużyć w tym względzie, zwłaszcza muzyka klasyczna najczęściej i najwięcej chyba dostarcza takich dowodów: np. słynny koncert skrzypcowy Beethovena grany był w ostatnich czasach trzy razy: grał go Spalding, Auer, Ysaye. Każdy z nich wykonał go inaczej, żaden jednak nie ustrzegł się pewnych mniej lub więcej znacznych uchybień stylowych, znany zaś wirtuoz francuski p. Raül Pugno z cadownego koncertu fortepianowego Beethovena (c-moll), zrobił istną karykaturę. Traktował go niby jakąś wdzięczną, elegancką kompozycję salonową, zmieniając bez najmniejszych skrępałów tempo, odcienie dynamiczne, zaznaczone najwyraźniej przez autora, słowem — wykazał wielką bardzo niezajomość ducha muzyki klasycznej.

Zapewne, trudno być wszechstronnym, więc też najczęściej, kiedy wirtuoz posiada specjalne zdolności w pewnym kierunku, w kierunku tym wyłącznie niemal pracuje, odtwarzając dzieła mistrzów, odpowiadających najbardziej jego organizacji artystycznej. Idzie tylko o to, że każdy powinien zdobyć się na samokrytycyzm i nie grać tego, co nie leży w charakterze jego talentu. P. Pugno np. pięknie bardzo odtwarza kompozycje muzyki współczesnej, czego dowodzą *Varjacje symfoniczne* (fortepian z tow. orkiestry) Cezara Francka, które w interpretacji francuskiego wirtuoza wypadły jaknajlepiej. Gdyby więc p. Pugno poprzestawał tylko na utworach tego rodzaju, ogólne wrażenie byłoby dla niego daleko korzystniejsze.

Niezwykłe wprost zadowolenie estetyczne wyniosłem z koncertu, w którym brał udział nieznanemu u nas jeszcze zupełnie mistrz wiolonczeli, Pablo Casals. Grał on koncert Schumann'a i koncert Saint-Saëns'a z tow. orkiestry nad program zaś, *incredibile dictu*, Bacha, tylko Bacha, w dodatku aż sześć razy. Rozentuzjazmować warszawską publiczność „nudnym, starym“ Bachem, granym na wiolonczeli solo, jest to dla artysty tryumf nadzwyczajny, niewiarogodny niemal w naszych stosunkach muzycznych. Gra wirtuoza hiszpańskiego zasługuje na wyrazy najwyższego uznania: kolosalna technika, piękny, głęboki ton, nadzwyczaj rozwinięte poczucie artystyczne, składają się na potężną organizację muzyczną.

Na wyróżnienie zasługuje jeszcze występ p. Artura Rabinsteina, który wykonał między innymi wspaniały koncert fortepianowy Brahmsa, oraz piękne, poetyczne Warjacje (na temat ludowy) talentowanego kompozytora p. Karola Szymanowskiego. Niepodobna również pominąć milczeniem koncertu p. Wandy Landowskiej, której występ wzbudził niezwykle zainteresowanie wśród miłośników muzyki starodawnej.

P. Landowska talent swój i umiejętność poświęciła wyłącznie propagowaniu dzieł mistrzów epoki dawniejszej. Prócz fortepianu używa do swych produkcji klawicymbału, na którym z jedyną w swoim rodzaju maestrią odtwarza dzieła kompozytorów zamierchłej przeszłości, znanych nam często tylko z historii. Działalność taka zasługuje na wielkie uznanie, gdyż pomimo wszystkich najbardziej postępowych kompozytorów doby współczesnej, pomimo najnowszych zdobyczy w dziedzinie harmonji, kontrapunktu, instrumentacji i wszelkich mądrości muzycznych, z prawdziwą rozkoszą słucha się zawsze tych prostych, cudnych pieśni przeszłości. W czasach dzisiejszych daje się zauważyć pewien bardzo pożądaný zwrot w tym kierunku: coraz częściej wybitni artyści wydobywają z pyłu zapomnienia dzieła mistrzów dawnych, a każda taka próba świadczy wymownie, iż lekceważenie, z jakim przeważnie traktuje się „staruszków“, jest najzupełniej nieuzasadnione, wypływa poprostu z nieznamomości odnośnej literatury muzycznej i nieusprawiedliwionego niczem aprzedzenia. Zaiste przepiękna to muzyka!

Dość dużo wypadła zanotować dzieł, wykonanych po raz pierwszy w Warszawie: IV-a symfonia Mahlera z sopranowem solo w części ostatniej; szkice symfoniczne „Morze“ Debussy'ego; „Poème d'extase“ Skriabina; Serenada Regera; poemat symfoniczny „Kraina szczęśliwości“ Weingartnera. Nadto na koncertach kameralnych pod kierunkiem p. Melcera usłyszeliśmy kwintet (z klarnetem) Brahmsa, oraz sonatę skrzypcową Regera.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szczegółową ocenę każdego z tych dzieł: co prawda niektóre z nich nie zasługują nawet na to. Do takich zaliczam „dzieła“ Skriabina i Debussy'ego, które z muzyką niewiele mają wspólnego. Są to bowiem bardzo mądre wyroby harmoniczne, kontrapunktyczne, instrumentacyjne, w których autorowie starają się usilnie najbardziej wyszukanyymi środkami technicznymi zamaskować ubóstwo inwencji.

Serenada, oraz sonata skrzypcowa Regera, odznaczają się właściwym kompozytorowi temu mistrzostwem technicznym, które

w czasach obecnych u wszystkich prawie autorów ma, niestety, zdecydowaną przewagę nad stroną duchową.

Poemat symfoniczny znakomitego dyrygenta Weingartnera, aczkolwiek nie zawiera wybitnych piękności, dostarczyć jednak może słuchaczowi dość znacznej przyjemności, gdyż muzyka to jasna, zrozumiała, o inwencji melodyjnej wcale nieprzeciętnej, przytem strona techniczna najzupełniej czyni zadość wymaganiom dzisiejszym.

Wreszcie usłyszeliśmy jeszcze piękny w całym znaczeniu tego wyrazu kwintet Brahmsa, oraz symfonię Mahlera, kompozycję niezupełnie jednolitą co do treści.

* * *

Od połowy stycznia do połowy marca gościło w Warszawie włoskie Towarzystwo operowe pod zarządem p. Castellano. Repertuar składał się wyłącznie niemal z dzieł kompozytorów włoskich, znanych już aż nadto dobrze miłośnikom muzyki operowej. Największem bodaj powodzeniem cieszył się „Cyrulik Sewilski“, dzięki udziałowi niezwyklej w swym rodzaju śpiewaczki koloraturowej, p. Galvany, która w roli Rozyny wzbudzała podziw ogólny nadzwyczajną techniką głosową.

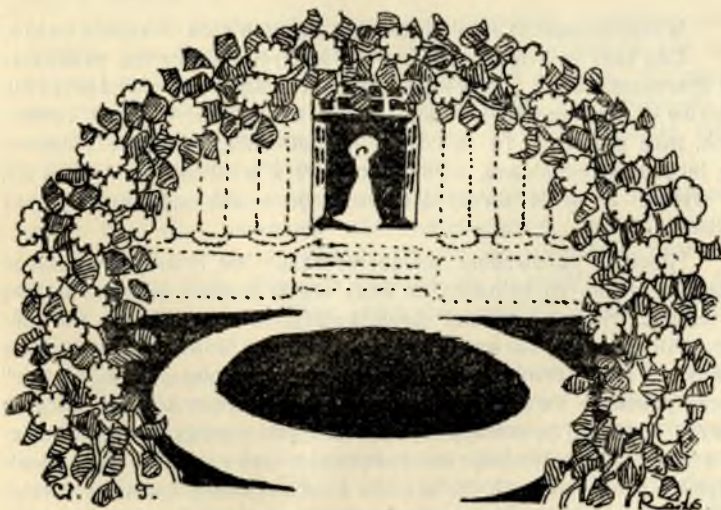
Najwybitniejszą siłą Towarzystwa p. Castellano była p. Bianchini-Capelli, artystka o pięknym, dźwięcznym i doskonale wyszkolonym głosie sopranowym, wyróżniająca się przytem wielkimi zaletami scenicznymi. Inni śpiewacy, chociaż nie zasługują na nazwę wybitnych, dodatnie przeważnie sprawiają wrażenie i tworzą zespół zadawalający. Na wielkie uznanie zasługuje utalentowany kapelmistrz p. Cimini, któremu najbardziej zawdzięczać należy całokształt wykonania. Dodać wypada, że niektórzy dawniejsi artyści operowi, oraz miejscowa orkiestra, chóry i balet, brali udział w Towarzystwie p. Castellano.

Z nieznanych u nas jeszcze dzieł wystawiono „Fedorę“, operę w 3-ach aktach Humberta Giordano, libretto według dramatu Sardou. Dzieło to doznało życzliwego przyjęcia, dzięki ładnej i zajmującej, chociaż niezupełnie oryginalnej muzyce, oraz starannej pod każdym względem wystawie; ostatnio wystawiono niegraną jeszcze nigdzie operę Antoniego Lozzi „Bianca Cappello“.

* * *

22-go lutego przypadła setna rocznica urodzin Fryderyka Chopina. Nietylko u nas, lecz w całym świecie muzycznym obchodzono tę datę pamiętną mniej lub więcej uroczystie. Odbyły się więc liczne koncerty, poświęcone twórczości genialnego pieśniarza, odezty, pisma umieściły cały szereg artykułów, wreszcie w sali Filharmonji, zapelnionej doszczętnie, odbył się uroczysty obchód Chopinowski, podczas którego liczne delegacje z Warszawy i prowincji złożyły wieńce przed popiersiem Mistrza. Prócz tego różne instytucje muzyczne, pragnąc w miarę możności uczcić pamiętną rocznicę, zapowiadają w tym roku jubileuszowym cały szereg koncertów. Charakterystycznie wyróżnił się Kraków: z powodu przyjazdu p. Dąłby uroczystość Chopinowską trzeba było odłożyć, gdyż sala potrzebna była na bankiet dla uczczenia.... cesarsko - królewskiego urzędnika.

A. Zabłocki.





Wyczółkowski, Stachiewicz, Weiss.

Wyczółkowski w swoich obrazach kwiatowych dowodzi cudów.

Cóż tam za bogactwo barw, co za życie! Co za tła, przepysznie zharmonizowane, olśniewające doborem śmiałych, mieniących się kolorów — jak stopy klejnotów! Co za delikatność płatków kwiatowych, jaka prawda! To są rozkoszne malowidła, tworzone z djabelską łatwością techniczną, a pomyślane przez wyobraźnię podobną tej, co wydała z siebie strofy Beniowskiego — niby „dawny lity pas Polaka“.

Niech to porównanie nikogo nie razi. Nie temat jest w sztuce „czemś“, ale to, co człowiek na dany temat powie. Wszyscy patrzą na naturę. Niejeden widział stopy, kwiaty, morze i jeziora tatrzańskie. Ale tęczową barwność dojrzał w stepie Słowacki — bo w sobie ją nosił — ale w drogocenne kamienie pozamieniał „Oka Morskie“ Wyczółkowski — nie zaś inni malarze, którzy twierdzą, iż Tatry są „szare“ i takimi je malują. Tylko Witkiewicz oprócz Wyczółkowskiego umiał tworzyć symfonie kolorystyczne z tych zaszarowanych, w olbrzymie turnie zakątych jezior — bo i on ma duszę szczerze polską, która nosi w sobie zachwyty dla barw, dla życia — bo i on jest urodzonym malarzem, nie marnym kopistą natury w szaroburzych okularach — a mamy ich tylu, tylu.

W jaki sposób malarz tę barwność z siebie wydobywa — te akordy kolorystyczne polskie, których odrębność wyczuła już krytyka Zachodu, mówiąc, że „możnaby je nazwać barbarzyńskimi, gdyby nie były tak doskonale zharmonizowane“ — to jest prawdopodobnie wszystko jedno. Czy to się będzie przejawiało w dążeniu do stylowości polskiej w ornamentacjach książek, szaf, ścian, domów, kościołów i t. p., czy też w śmiałości barw pejzażów, czy w fantastycznych wizjach, czy w układaniu „martwych natur“ i wazonów z kwiatami, realistycznie, dokładnie wykonywanych, czy w kompozycjach lińjami naśladujących Gauguina, czy w witrażach, czy w satyrycznych lub „poważnych“ autolitografjach, czy wreszcie w rysunkach czarno-białych, gdzie przecież soczystość i bogactwo barw się przeczuwa tak, jak w utworze fortepianowym odczuwa się orkiestrę — to postaci rzeczy nie zmienia. Chodzi tylko, aby ta barwność istniała, żyła, wołała o sobie, narzucała się. Jeżeli jej niema, to w 99 wypadkach na sto nie mamy do czynienia z artystą-malarzem, lecz ze zwykłym dyletantem, który nie wiadomo po co nauczył się malować. Nawet talenty czysto linijne, czysto rysownicze, jak Beardsley, Rops, Grotger, miały tę barwność w stopniu olbrzymim, równym prawie potędze ich rysunku.

Otóż ten czysto polski smak kolorystyczny — odrębny, śmiały i bogaty — jest Wyczółkowskiego urokiem, artystycznością, nie mniej, niż jego zamilowanie do olbrzymich lińji i tęgi rysunek, przypominający rzeźbę. W jego kolorycie jest wyobraźnia, jest twórczość, jest prawda wrażeń człowieka, odczuwającego po polsku, bajnie, fantastycznie, gwałtownie i subtelnie zarazem.

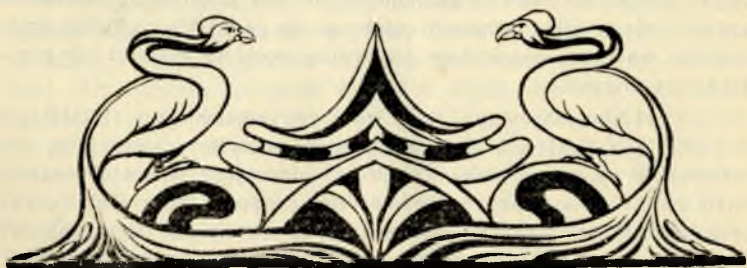
Tych czysto malarskich zalet nie znajdziemy u Stachiewicza. Jest to ilustrator poprawny, ale powierzchowny, w kolorze ubogi. Jego rysunek nie ma indywidualności, nie ma wybitnego charakteru ani siły, ale w kilku główkach zdobywa się na miękkie, subtelne traktowanie, na rzecz prawdziwie kulturalną, pomimo nikłości lub przesłodzenia wyrazu.

Cykl kompozycyjny „Boży Rok“, przedstawiający 12 miesięcy w postaciach świętych, jest w ogólnym pomysle interesujący, ale malarsko i rysunkowo słaby. Te głowy i otaczające je krajobrazy nie wiele nam mówią — ani pośrednio, ani bezpośrednio. Mają cechy przemalowanych fotografji, przyczem zboża np. nie wyzwalają się z pod przemoicy farby, pozostają pokładami farb, kolor zaś ich nie ratuje sytuacji. Naiwność tam byłaby pożądaną, naiwność bizantyńskiej stylizacji na przykład. Nie znajdujemy jej, te głowy są na to

zbyt realistyczne. Autor nie próbuje również naśladować włoskich lub holenderskich prymitywów, nie mówiąc już o tem, że nie dąży ani przez chwilę do jakiegoś swoistego, własnego wyrazu. Są to poprostu głowy lalkowate, otoczone aureolami. Ale gdybyż one były naprawdę lalkami! To by je czyniło niesłychanie zajmującemi. Zbliżało by to je do wierzeń ludowych, nadawałoby dziecinnie naiwny charakter. Takie starodawne rzeźby — lalki przydrożne, które znaleźć można w każdej wsi, jakże wiele mają charakteru, świętości, z jakąż miłością robione! Jest w nich to samo uczucie, co w tych papierowych, białych, żółtych i różowych kwiatkach a wiejskich ołtarzy. Cykl takich świętych zrobić — cóż za temat! Nie! — „Boży Rok“ — to nie takie lalki chłopskie. To są rzeczy, przypominające obrazki, z których chora fantazja Hanusi mogłaby czerpać natchnienie — ale które my widzimy jeszcze, zanim je Hanusia i Hauptmann ożywili wyobraźnią i talentem. Bo nawet „styl“ obrazów z „Gartenlaube“ można naśladować w sposób twórczy — wkładając w nie uczucie, z jakim patrzą na nie dusze proste i naiwne.

Bardzo piękny portret wystawił w „Zachęcie“ Weiss. Jest to portret artysty-malarza Ignacego Pieńkowskiego. Delikatność i siła ujęcia, swoboda i wdzięk ustawienia są tam zdumiewające. Wielki talent Weissa zabłysnął tu w całej pełni, dając znowu coś zupełnie niespodziewanego w jego twórczości. Ten portret traktowany jest zupełnie inaczej niż poprzednie portrety Weissa.

J. Kleczyński.



SFINKS

CZASOPISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE I NAUKOWE

WYDAWANE I REDAGOWANE

przez

WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO.

ROK III. TOM IX.

WARSZAWA.

Adres Redakcji: Hortensja 4.

1910.

SEINKS

WYDAWCA: ...



Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego ul. Erywańska 2/4.

Spis rzeczy, zawartych w tomie IX

„Sfinksa”.

(Styczeń, luty, marzec r. 1910).

I. Studja i rozprawy literackie i artystyczne.

| | |
|--|-----------|
| „Epokowe wydawnictwo“ przez Wł. Bukowińskiego | 1 |
| „Weyszenhoff i „laury“ Wyspiańskiego“ przez Ign. Matuszewskiego | 43 |
| „O wybranych utworach lirycznych Asnyka“, przez Ign. Chrzastowskiego | 166 |
| „Przeciwnik bohatera w „Króla-Ducha“, przez dr. J. Kleinera | 223 |
| „Uzupełnienie“, przez Ign. Matuszewskiego | 235 |
| „Echa Zachodnie. Problemat artystyczny“, przez F. Jabłczyńskiego | 242 i 402 |
| „W Kaplicy Sykstyńskiej“, przez W. Gostomskiego | 270 |
| „Wrażenia teatralne“, przez Wł. Bukowińskiego | 279 |
| „Chłopi“ Reymonta, przez A. Strzeleckiego | 323 |

II. Powieści, nowela, poematy i wiersze liryczne.

| | |
|--|----------------|
| „Jak liść jesienny“, powieść przez W. Sieroszewskiego | 8, 209 i 348 |
| „Pamiętka“, nowela przez G. Daniłowskiego | 119 |
| „Miasto Madonny“, nowela przez Z. Rabską | 423 |
| „Brunhilda“, przez Savitri | 130, 254 i 437 |
| „Genezareth“, przez J. Marcinowską | 98 |
| „Baśń księżycy na morzu“, przez W. Wolskiego | 103 |
| „Tęsknota Hetmana“, poemat przez J. Marcinowską | 179 i 389 |
| „Chadzają borem szumy, głosy“, przez W. Dzierżanowskiego | 207 |
| „Z szarych kartek“, przez M. Szpyrkównę | 238 |
| „Grzmią burzliwe strun akordy“, przez R. Kreczmara | 366 |
| „Jęk“, przez Eleę | 421 |
| „Dasze w locie“, przez W. Zalewskiego | 419 |
| „Charyta“, przez Jadwigę Lipińską | 422 |

III. Studja historyczne.

| | |
|---|----------------|
| „Spisek Smagłowskiego a książę Reichstadta“, przez dr. E. Łunińskiego | 105, 192 i 369 |
|---|----------------|



IV. Przeglądy i sprawozdania.

| | |
|--|-----|
| „Wiek XIX“, przez Ign. Matuszewskiego | 143 |
| „Bossuet i Fénelon“, przez K. Appla | 145 |
| „VI Doroczna“, przez J. Kleczyńskiego | 150 |
| „Henryk Opieński: Chopin“, przez dr. A. Chybińskiego | 303 |
| „H. Poincaré: Wartość nauki“, przez dr. A. Zieleńczyka | 307 |
| „Wystawa obrazów K. Stabrowskiego“, przez J. Kleczyńskiego | 311 |
| „Jeszcze słów parę o VI Dorocznej“, przez A. Kędzierskiego | 315 |
| „Z literatury skandynawskiej“, przez J. Klemensiewiczową | 459 |
| „Wrażenia muzyczne“, przez A. Zabłockiego | 463 |
| „Z Zachęty, przez J. Kleczyńskiego | 468 |

V. Sprawy bieżące i odezwy

| | |
|--|-----|
| „List otwarty w sprawie sprowadzenia zwłok Juljusza Słowackiego“ | 161 |
| „Konkurs poetycki Sflinksa“ | 135 |
| „Konkursy“ | 317 |

VI. Dodatki artystyczne.

| | |
|--|-----|
| Portret Wacława Sieroszewskiego, według portretu Pankiewicza. | |
| Portret księcia Reichstadtu | 104 |
| Portret Kazimierza Stabrowskiego. | |
| Portret Wł. St. Reymonta | 321 |
| Głowa dziewczynki, rysunek dwubarwny St. Wyspiańskiego. | |
| „Grzech pierworodny“, z fresków Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. | |
| „Przodownik“ } reprodukcje rzeźb Jana Rembowskiego. | |
| „Fata morgana“ } | |

NA OKŁADKACH:

Litografia barwna „Gałązka kasztanu“, według rysunku J. Rembowskiego.
Portret Adama Asnyka, według obrazu Jacka Malczewskiego.
Rysunek Jana Rembowskiego.

Rysunki i winiety: Ap. Ankowskiego, J. Boguckiego, W. Bogusławskiej, Ap. Kędzierskiego, J. Kozłowskiego, E. Mejrowej, H. Minikiewicza, Z. Plewińskiej, T. Radwana, J. Rembowskiego, F. Siedleckiego, A. Tabińskiego, A. Wolmana, W. Włodarczyka, J. Wronieckiego.

Książki nadesłane.

Ogłoszenia.

W SPRAWIE

PRACOWNI PSYCHOLOGICZNEJ.

Otrzymujemy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

„Siła narodu, to jego wartość umysłowa, to dorobek myśli, dorzucony do ogólnej skarbnicy wiedzy — to praca na polu nauki. Naród nasz w najcięższych chwilach swego życia nie pozostawia tego pola odłogiem, a niejedno nazwisko polskie zyskało sławę nie tylko w kraju, lecz i daleko poza jego granicami. Warunki tylko tej pracy cięższe, niż gdzieindziej, nie pozwalają jej rozwinąć się w całej pełni i oczekiwane przynieść owoce. Mamy cały zastęp pracowników na polu psychologii eksperymentalnej, rozwija się u nas pedagogia, budzi się potrzeba głębszego poznania psychiki ludzi normalnych i nienormalnych, dorosłych i dzieci, lecz wszelka praca w tym kierunku rozbija się o jedną przeszkodę: o brak pracowni psychologicznej. Brak ten zmusza wielu naszych uczonych do przebywania poza krajem i prowadzenia doświadczeń w laboratorjach zagranicznych, innym odbiera całkowicie możliwość przedsięwzięcia prac samodzielnych, utrudnia nawet popularyzację wiedzy, nie pozwalając wykładów psychologii odpowiednio demonstrować, co zwłaszcza w kształceniu nauczycieli jest rzeczą pierwszej wagi. Badania, prowadzone w pracowni psychologicznej, poza swym znaczeniem teoretycznym dla postępów nauki, mają wielką wagę praktyczną dla różnych dziedzin życia, z którymi psychologia pozostaje w ścisłym i bezpośrednim związku. Tylko znajomość dziecka daje podstawy do racjonalnego wychowania, cała pedagogika dzisiejsza na tej znajomości się opiera: badania inteligencji dają możliwość odróżnić dzieci normalne od nienormalnych i każdej kategorii dać odpowiednie dla niej wychowanie; badania nad znużeniem ustalają zasady higieny pracy, których zachowanie jest niezbędne dla zachowania zdrowia młodego pokolenia; psychologia zeznań niezbędną jest dla prawnika, psycholo-

gja mowy dla lingwisty, psychologja tłuma dla działacza społecznego; badania nad istotą uczuć i sądów estetycznych dla artysty i krytyka literackiego. Z badaniami psychologicznymi pozostają w nierozdzielnym związku badania nad morfologją i biologją układu nerwowego, tak ważne w rozwoju metod leczniczych w chorobach nerwowych i umysłowych. Wobec tej nieodzownej i niczem nie dającej się zastąpić potrzeby nauki naszej 1-szy Zjazd neurologów, psychiatrów i psychologów polskich, odbyty w Warszawie w październiku 1909 r., uchwalil założenie pracowni psychologicznej, powierzając tę sprawę komitetowi organizacyjnemu Zjazdu. Powołani przez ten komitet, jako specjalna komisja pracowni, pragniemy tę zbiorową wolę w czyn zamienić. W krajach szczęśliwszych i bogatszych od naszego laboratorium psychologiczne powstają i są utrzymywane kosztem państwa, lub miasta, albo z miljonowych zapisów dbalych o oświatę bogaczy; nasza pracownia, która nam ubogim ma zastąpić kilka zakładów specjalnych, gdyż oprócz psychologii eksperymentalnej ma objąć badania z dziedziny pedologii, psychopatologii i biologji układu nerwowego, może powstać tylko prywatnymi środkami z dobrowolnych ofiar tych wszystkich, którym dobro nauki polskiej leży na sercu. Do nich więc się odwołujemy z pełną wiarą, pewni, że usiłowania nasze znajdą oddźwięk w społeczeństwie, które w poczuciu obowiązku obywatelskiego poprze podjęte przez nas dzieło. Ofiary wszelkie na cel ten nadsyłać prosimy do Banku Handlowego w Warszawie, na rachunek bieżący Polskiego Towarzystwa Psychologicznego dla „Pracowni Psychologicznej“.

Komisja pracowni:

Dr. med. E. Flatau, Dr. W. Męczkowski. Dr. med. R. Radziwiłowicz, Jadwiga Rzętkowska, Dr. fil. J. Segal, Dr. Wl. Sterling, A. Szyćówna, Dr. fil. W. Weryho.

Warszawa w lutym 1910 r.

Adres dla korespondencji:

**Warszawa, Smolna Nr. 15. Towarzystwo Psychologiczne
z nagłówkiem „PRACOWNIA“.**

KSIAZKI NADESŁANE.

Powieści i nowele.

Gabriele d'Annunzio „Ogień“. Z włoskiego przełożył Leopold Staff. Str. 365. Lwów, B. Poloniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Leo Belmont „Sprawa przy drzwiach zamkniętych“. Zagadka psychologiczna na tle procesu kryminalnego. Z portretem autora. Str. 264. Skład główny w księgarni Powszechnej. 1910.

Zbigniew Brodzki „Chwile“. Str. 226. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Knut Hamsun „Rewolucja, Strach śmierci i inne nowele“. Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Kurjera Litewskiego“. Str. 124. Wilno. 1910.

„Nowele Węgierskie“ w tłumaczeniu Czesława Łukaszewicza. 22 nowele 14 autorów. Str. 249. Lwów, B. Poloniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Zygmunt Michałowski „Bębniarz“, z przedmową Z. Dębickiego. Str. 271. Nakł. Jana Fiszera. Warszawa. 1910.

H. Piątkowski „Mistrz Kłębek“. Powieść. Str. 433. Kraków. G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

Juljusz Zeyer „Król Menkera“. Tłom. z czeskiego Julja Kreczyńska. Str. 114. Tom 628 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“.

Poezja.

Kazimierz Gliński „Królewska Pieśń“. Wydanie trzecie. Z ilustracjami Władysława Barwickiego. Str. 313. Nakładem autora. Warszawa, 1910.

Leopold Staff „Ptakom niebieskim“. Wydanie drugie. Str. 250. Lwów, B. Poloniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Antoni Salimowski „Poezje“ Zdobila: Luta T. Str. 89. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Edmund Wasilewski „Wybór poezji“. Str. 96. Tom 67 „Arcydzieł polskich i obcych pisarzy“. Opracował dr. St. Zathay. Nakł. F. Westa w Brodach. Warszawa, E. Wende i Sp. 1909.

„Żórawce“, wydawnictwo zbiorowe. Str. 135. Z ilustracjami F. Ruszczyca. Wilno. Skł. gł. w księg. J. Zawadzkiego. 1910.

Dramat.

Leo Belmont „Dla honoru“. Dramat w 5-ch aktach. Str. 99
Warszawa, 1909.

Konstanty Gąssowski „Vendeta“ (Zemsta). Powieść sceniczna.
Str. 44. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Tadeusz Konczyński „Pielgrzymi“. Dramat w trzech aktach.
Str. 151. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner i Wolff.
1910.

Tadeusz Konczyński „Srebrne Szczyty“. Powieść dramatyczna
Str. 203. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Gebethner
i Wolff, 1910.

Bolesław Wędrychowski „Dzielna Dziewczyna“. Komedja. Kra-
ków, G. Gebethner i Sp. 1909.

Studja literackie i estetyczne.

Henryk Opieński „Chopin“. Z 74 ilustracjami. Tom X, Wyd.
„Nauka i Sztuka“. Str. 140. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E.
Wende i Sp. 1909.

Tadeusz Rakowiecki „Szkice krytyczne o twórczości Żerom-
skiego“ (Popioły, Walgierz Udąły, Dzieje grzechu). Warszawa. 1910.

Lucjan Rydel „Z greckiego świata“. Str. 217. Tom XXXII
„Nowości Literackich“. Wyd. St. Sadowskiego. Warszawa, 1910.

Mieczysław Treter „Katalog Wystawy Obrazów mistrzów da-
wnych we Lwowie“. Z 50 reprodukcjami. Lwów, 1909.

Dr. Michał Żmigrodzki „Gustaw Konrad Mickiewicza i Faust
Goethego“. Odbitka z Ateneum Kapłańskiego. Warszawa, E. Wende
i Sp. 1909.

Studja naukowe.

Ign. Tad. Baranowski „Materiały do dziejów wsi polskiej“ Nr. 2
„Prac Tow. Naukowego Warszawskiego“ 1909.

„Materiały do dziejów Komisji Rządzącej, Korespondencja Ko-
misji z delegatami do Drezna Ludwikiem Gutakowskim i Stanisła-
wem Potockim“. Wydal H. Konie z przedmową Wl. Smoleńskiego.—
Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Jerzy Kurnatowski „Doktryny Ekonomiczne“. Str. 160. War-
szawa, L. Biernacki i Sp. 1909.

Erazm Majewski „Biologiczne kryterja teorii cywilizacji i zna-
czenie jej dla biologji i filozofji“. Str. 53. Odbitka ze sprawozdań
z posiedzeń Tow. Nauk. Warsz. Warszawa. 1909.

Erazm Majewski „Ważny przyczynek do kwestji mioceńskiej starożytności człowieka“. Str. 65. Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Tow. Nauk. Warsz. Warszawa. 1909.

Antoni Menger „Prawo do całkowitego wytworu pracy“. Z przedmową dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej. Str. 185. Nakład „Prawdy“.

E. Wasmann T. J. „Trzy odczyty o Ewolucji“. Bibl. „Prądu“ Nr. 1. Str. 78. Warszawa. 1910.

Monografie.

Ks. Witalis Grzeliński „Monografia Chęcin“. Z kart zamierzonej przeszłości. Str. 72. Odbitka z „Gazety Kieleckiej“. Kielce, Księgarnia Kielecka. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Podróże.

Stanisław Belza „Obrazy i obrazki Wenecji“. Cz. I, str. 144. Nakład „Ziarna“. Warszawa, 1910.

Józef Smrek „Nad Lemanem“. Kartki z pamiętnika turysty. Obrazki na marginesie Baedekera. Str. 83. Lwów. Tow. Wydawnicze. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Pamiętniki.

„Pamiętniki“ Jana Duklana Ochockiego. Tomy 626, 627 i 629 „Bibl. Dzieł Wyb.“. 1910.

Adolf Starkman „Z notatnika więźnia“. Str. 176. Skład gł. Biuro Ungra. Warszawa. 1910.

Wyd. „Symposion“.

La Rochefoucauld „Zdania i uwagi moralne“. Przel. L. Staff. Str. 96.

Denis Diderot „Kuzynek mistrza Rameau“. Z rozprawą J. W. Goethego. Przełożył L. Staff. Str. 136. Lwów, B. Poloniecki. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Rolnictwo i Ogrodnictwo.

Teodor Bernadzikiewicz „Ogród szkolny, jako środek do podniesienia kultury rolniczej a w szczególności produkcji nasion“. Str. 43. Warszawa, E. Wende i Sp. 1909.

Józef Brzeziński „Hodowla drzew i krzewów owocowych“. Dzieło nagrodzone pierwszą nagrodą na konkursie Akademji Umie-

jętności w Krakowie. Wydanie drugie, przejrzone i dopelnione. Str. 555. Kraków, Gebethner i Spółka, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1910.

Stefan Jankowski „Uprawa Oziminy“ (żyta i pszenicy). Str. 63. Lublin—Kraków. Warszawa, Gebethner i Wolff, Cena 25 kop. 1909.

Władysław Jelski „Plodozmiany łubinowe i użycie ziarna łubinu na paszę“. Str. 40. Cena 20 kop. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.

Szymon Konarski „O siewniku rządowym“. Cena 10 kop. Str. 19. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1909.

Zygmunt Olszański „Krótki poradnik weterynaryjny dla gospodarzy“. Str. 47. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1910.

Varia.

J. Ch. „Most polski“ (z pięciu przęseł) zbudował... Odbitka z „Głosu Płockiego“. Str. 20. Kosztuje złotówkę. Płock. Warszawa. E. Wende i Sp. 1910.

Marjan Dienstl „O „potrzebie“ panoramy grunwaldzkiej“. Odbitka z „Nowej Gazety“. Str. 16. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.

Władysław Grabski „Bilans Królestwa Polskiego w finansach państwa rosyjskiego“ Str. 31. Wyd. Tow. pop. pracy społecznej. Cena 40 kop. Warszawa. 1909.

Władysław Jeleński „Poznajmy prawo!“ Cz. I, str. 68. Cena 10 kop. Skład główny w Redakcji „Prądu“. Warszawa, 1910.

Piotr Piobb „Moralność rozkoszy“. Studjum. Str. 192. Warszawa, L. Biernacki. 1910.

Dr. Stanisław Skalski „Rady i wskazówki dla żon i matek“. Wydanie drugie. Str. 16. Łódź. Nakładem Tow. Akc. fabryki Heinzla i Kunitzera.

Adam Trojanowski „Słowniczek przedziałniczy w pięciu językach“. Wyd. „Przeglądu Technicznego“. Str. 112. Warszawa, E. Wende i Sp. 1910.



ILLUSTROWANA ENCYKLOPEDJA LUDOWA

Wychodzi nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Encyklopedji Ludowej“

pod redakcją **Zygmunta Herynga,**

przy współdziałaniu **profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, Politechniki Lwowskiej i wogóle najwybitniejszych sił naukowych i literackich.**

Wyszły już następujące broszury, wchodzące w skład tego wydawnictwa:

„Jaką być winna Encyklopedia Ludowa“? Z. Herynga. Cena 20 kop.

„Co da Encyklopedia Ludowa robotnikom i włościanom“? Z. Herynga. Cena 50 kop.

„Z czego powstaje pijaństwo i jak z nim walczyć“? Dr. Zofji Daszyńskiej-Golińskiej. Cena 20 kop.

„Czy kobieta powinna mieć te same prawa, co mężczyzna“? Kazimierzy Bajwidowej. Cena 20 kop.

„O budowie i czynnościach ciała ludzkiego“. D-ra med. Stanisława Kraaza. Cena 40 kop.

„Meljoracje rolne“ Inż. Stanisława Tarczynowicza. Cena 20 kop.

Są do nabycia we wszystkich księgarniach.

W DRUKU: } „Geografja“ prof. Wacława Nałkowskiego.
} „O rolnictwie“ Kazimierza Wróblewskiego.

Skład główny na Królestwo: w księgarni M. Arcta w Warszawie,

Skład główny na Galicję: w księgarni K. K. Wojnara w Krakowie.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, ul. Siemiradzkiego 3.

„NOWOŚCI LITERACKIE“

rozpoczęły od 1 października 1909 r. drugi rok wydawnictwa i w dalszym ciągu regularnie wychodzą w 12—15 arkuszowych książkach utworów różnych autorów, raz na miesiąc.

PRENUMERATA:

Kwartalnie rb. 1 kop. 50, w oprawie rb. 2 kop. 10, porto kop. 30.

Dotąd wyszły lub wyjdą dzieła:

M. Domańskiej, F. Galińskiego, K. Kalinowskiego, T. Koneczyńskiego, J. Kotarbińskiego, A. Langego, K. Laskowskiego, J. Lorentowicza, Z. Michałowskiego, W. Przyborowskiego, W. Reymonta, L. Rydla, A. Wysockiego.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

w księgarni St. SADOWSKIEGO w Warszawie,

ul. Złota Nr. 1. Tel. 11-356.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach polskich.

OD REDAKCJI „SFINKSA”

Staraniem i nakładem Redakcji „SFINKSA”
wydany został świeżo

piękny portret JULJUSZA SŁOWACKIEGO, akwaforta Franciszka Siedleckiego,

odbita w zakładzie artystycznym A. Salmona i A. Porcabeufa w Paryżu.

Prenumeratorzy „SFINKSA” nabywać mogą w Administracji naszej egzemplarze tego portretu, odbite na papierze holenderskim, po rb. 1 kop. 50, a z opakowaniem i przesyłką po rb. 1 kop. 80. Cena księgarska rb. 5.

15 pierwszych egzemplarzy numerowanych, odbitych specjalnie na papierze japońskim, sprzedajemy po rb. 10 za egzemplarz, a dla prenumeratorów „SFINKSA” po rb. 7 kop. 50.

Administracja nasza zawiadamia, że posiada jeszcze w niewielkiej liczbie egzemplarzy „SFINKSA” z lat ubiegłych, a mianowicie:

10 zeszytów z r. 1908, zawierających obok wielu innych utworów i prac wartościowych powieść Zofji Rygier-Nałkowskiej p. t. „Rówieśnice”, oraz część pierwszą „Nietoty” Micińskiego. Cena rb. 6, pocztą rb. 7.

12 zeszytów z r. 1909. Cena rb. 8, pocztą rb. 9.

Szanownych Prenumeratorów kwartalnych prosimy uprzejmie o wczesne odnowienie przedpłaty, a wszystkich Czytelników naszych o zjednywanie nam Odbiorców nowych.

Przyjmujemy również prenumeratę na rok 1910, od kwartału pierwszego.

Prenumeratę przysyłać najlepiej wprost do Administracji „SFINKSA” (HORTENSJA Nr. 4 w WARSZAWIE).

S F I N K S,

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY I NAUKOWY

pod redakcją

Władysława Bukowińskiego,

przy najbliższym współdziale

Ign. Chrzanowskiego i Ign. Matuszewskiego

i przy współpracownictwie najwybitniejszych polskich sił
pisarskich i artystycznych.

„SFINKS“ zamieszcza: studja, rozprawy i szkice literackie, artystyczne i naukowe; powieści, poematy, dramaty i wiersze drobniejsze; przeglądy i sprawozdania literackie i artystyczne; sylwetki pisarzy i artystów polskich i obcych; reprodukcje artystyczne dzieł sztuki, rysunki i winiety artystów wybitnych.

„SFINKS“ stara się być możliwie obiektywnym wyrazem i odbiciem współczesnej fali twórczego życia polskiego z różnemi jej odcieniami i zabarwieniami.

Każdy zeszyt „SFINKSA“ zawiera około 10 arkuszy druku (160 str.) wyborowej treści literackiej, podanej w wytwornej szacie zewnętrznej, przyozdobionej i arozmaiconej reprodukcjami dzieł sztuki.

Prenumerata „SFINKSA“ wynosi rb. 8 rocznie, rb. 4 półrocznie i rb. 2 kwartalnie w Warszawie, a rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50 półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Królestwie i Cesarstwie za wydanie tańsze, oraz rb. 10 rocznie i rb. 5 półrocznie w Warszawie, a rb. 12 rocznie i rb. 6 półrocznie pocztą za wydanie wykwiłtne na wytwornym papierze żeberkowym większego formatu.

Prenumerata „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendowaną) rb. 11 rocznie za wydanie tańsze i rb. 13 za droższe w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

Cena ogłoszeń w „SFINKSIE“ za jednoszpaltowy wiersz petitowy lub jego miejsce:

- 1) na I-ej str. kolorowej okładki, na III-ej str. okładki białej i w rubryce „nadesłane“ zaraz po tekście, kop. 50;
- 2) na ostatniej stronie kolorowej okładki, kop. 30;
- 3) w rubryce „po tekście“, na dodanych specjalnie kolumnach barwnych, kop. 20;
- 4) pierwszy boczny margines obwolaty (obok spisu rzeczy) rb. 12.
- 5) drugi boczny margines obwolaty, rb. 8.

Rękopisów otrzymanych Redakcja nie odsyła, listów i przesyłek niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje, odpowiada listownie po otrzymaniu marki na odpowiedź.

Administracja „SFINKSA“, przy ul. Hortensja Nr. 4, tel. 110-99 w Warszawie, otwarta jest codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godz. 10 do 2½ i od 4½ do 6.

Redaktor przyjmuje Interesantów w poniedziałki i soboty od godz. 6-ej do 7-ej wieczorem.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.